

WIAS

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V

Łódź, 5-12 września 1948 r.

Nr 36-37 (165-166)

W NUMERZE

między innymi:

- M. Kowalska — Aby żył „gatunek pisarzy“!
- L. Sobierajski — Problem pacyfizmu
- J. A. Król — „Ostatnia klasa kapitalistyczna“
- T. Orlewicz — Australia — Indie — Afryka
- A. Kamieńska — List z Wrocławia
- W. Strzeński — Corbusier
- L. Budrecki — Współczesna literatura amerykańska
- J. Tepicht — Rozgrywka z agraryzmem jeszcze nie zakończona!
- T. Chróścielewski — Poziemiańska inteligencja rosyjska
- M. Andersen-Nexö — Powrót



Światowy Kongres Intelktualistów we Wrocławiu



Prezydium: od lewej: Aleksander Fadiejew, Jerzy Borejsza, Irena Joliot-Curie, Julian Huxley, Andersen-Nexö.

Józef Chalasiński

INTELEKTUALIŚCI W OBRONIE POKOJU

(Po Światowym Kongresie Intelktualistów w Obronie Pokoju we Wrocławiu, 25-28 sierpnia 1948 r.)

Brutalna walka — pisali Albert Einstein w liście do Kongresu Intelktualistów — nigdy nie zdoła doprowadzić do stabilizacji warunków i nie stworzy odpowiedniej podstawy do rozwiązania naszych najżywniejszych problemów. Wojna oznaczałaby dziś zniszczenie w nieznanym dotąd rozmiarach.

Nowoczesnej wojny nie da się zlokalizować. Ogarnia ona cały świat. Dysponuje naukowymi metodami niszczenia, które zagrażają już nie tylko życiu ludzkiemu, ale w ogóle organicznemu światu przyrody. Manifestujemy więc przeciw wojnie. Przeciw jej okrucieństwu i przeciw jej bezmyślności. Sumienie człowieka i sumienie intelektualisty manifestuje moralne potępienie wojny. Równocześnie jest to manifestacja wiary w możliwość uniknięcia wojny przez zorganizowany wysiłek.

Dostateczny jest powód do takiej manifestacji. Na drugiej półkuli, która nie odczuwała bezpośrednich skutków wojny, wielkie koncerty prasowe prowadzą propagandę za nową wojną. Prowadzą ją pod tymi samymi hasłami obrony kultury i obrony Europy przed komunizmem, które stanowiły dominującą nutę propagandy hitlerowskiej. Kraje Europy, które były terenem wojny i okupacji niemieckiej, mają jeszcze w pamięci niezatarty obraz tej wojny w „obronie Europy“. W muzeum w Oświęcimiu są jeszcze resztki wojennych trofeów hitlerizmu. „Stosy dzieciennych ubranek i protezy oderwane kalekom niszczone w komorach gazowych, włosy obcięte wymordowanym kobietom... 2000 kg włosów ludzkiego...“). Wobec tej wiedzy oświęcimskiej znika beznamiętny spokój intelektualisty i jego sumienie woła na alarm.

„Nie wolno tracić ani godziny — mówił Erenburg na Kongresie. — Niechaj to nasze spotkanie wśród ruin wojennych stanie się początkiem nowej epoki. Bez soli — nawet chleb nie jest chlebem. A wy jesteście solą, wy jesteście sumieniem, wy jesteście mądrością narodów. Musicie poprzysiąc, że odtąd gdziekolwiek rozbrzmiewać będzie głos oszczerzy, podżegacza, szantażysty, — tam zawsze ktoś z was przeciwstawi się mu słowami prawdy i nadziei“.

¹⁾ Ze sprawozdawczego artykułu St. Stomni pt. „Problem Oświęcimia“, „Tygodnik Powszechny“ z 6. VII. 47 r.

Dorzeczna manifestacja intelektualistów przeciwko propagandzie wojennej nie wyczerpuje jednak całego znaczenia, jaki udział intelektualistów ma w akcji przeciwwojennej.

Głos intelektualistów w sprawie wojny i pokoju wnosi nowe istotne elementy. Głos ten oznacza, że wojna to nie jest tylko problem moralny, to nie tylko problem praktycznego doświadczenia w zakresie organizacji społecznej, ekonomicznej i politycznej. Jest to także problem intelektualisty. Analiza naukowa problemów wojny i pokoju ma ogromne znaczenie dla praktycznej działalności człowieka w tym zakresie.

Wiadomo, że nowoczesna wojna jest olbrzymim przedsięwzięciem ekonomicznym i technicznym, w którym rola nauki jest coraz większa. Ten fakt nie wyczerpuje jednak intelektualnego problemu wojny. Czymże jest sama wojna jako zjawisko historyczne?

Z punktu widzenia tego problemu występują dwie zasadnicze postawy. Według jednej istota wojny gubi się w mrokach historii i natury ludzkiej. Nie wiadomo o niej nic dokładnego. Wiedza nasza jest w tej dziedzinie bezradna. A w każdym razie nasza wiedza o wojnie jest tak miżerna, że nie może nam wiele pomóc w przeciwdziałaniu wojnie i w organizowaniu pokoju. Wyznawcy tego poglądu w sprawach wojny odwołują się zazwyczaj z jednej strony do polityków, z drugiej do kapłanów, a nie do intelektualistów. To stanowisko zawiera się w tych wojennych tradycjach ludzkości, dla których wojna jest rodzajem sądu bożego.

W tym tradycyjnym pojmowaniu wojny znajduje oparcie wojenna propaganda. Wyzyskuje ona rozpowszechnione przekonanie, uświęcone przez tradycję, że wojny nie tylko są nieuniknione, lecz także służą konstruktywnemu rozwiązywaniu problemów cywilizacji ludzkiej.

Tej wojennej tradycji cywilizowanego świata przeciwstawia się historyczna i socjologiczna wiedza o wojnie. Wiedza ta mówi, że w historycznym rozwoju wojna tak zasadniczo zmieniła charakter, że jako narzędzie polityki we współczesnym świecie cywilizowanym stała się absurdalnym anachronizmem. Ten pogląd apeluje do rozumu ludzkiego jako tej instancji, która zdolna jest kierować rozwojem społeczeństw na drogach cywilizacji i postępu.

Najbardziej optymistyczni przedstawi-

ciele tego poglądu uważają, że dotychczasowa historyczna i socjologiczna wiedza o wojnie jest już na takim poziomie naukowym, że nauka w sprawie wojny nie ma już wiele do zrobienia. Badania naukowe nie są już potrzebne. Intelektualna dyskusja zbyteczna, ponieważ nie może dorzucić nic istotnego do problemu, który jest już doskonale poznany. Cóż więc pozostaje intelektualistom? Zgodzić się na to, co już o wojnie wiadomo, ogłosić to we wspólnym manifestacie i propagować w imię pokoju.

Gdy chodzi o epidemie lub choroby nagminne, jak gruźlica lub rak, istnieją instytuty badawcze, które przez żmudną pracę naukową dochodzą do źródeł choroby i do środków walki. Lecz gdy chodzi o „epidemie“ wojny, na którą narody historyczne cierpią od samych początków, to tutaj zachowujemy się tak, jak gdyby „bakcył wojny“ był już wszechstronnie i gruntownie zbadany.

Intelektualiści całego świata zebrani na Kongresie zgodni byli w moralnym protestie przeciw wojnie. Czy zdobyli się jednakże na intelektualną precyzyjną stanowiska w sprawie „bakcyła wojny“? Czy przyczynili się do pogłębienia naszej wiedzy o wojnie i do jej ścisłego sformułowania? Nie tego oczekiwano od Kongresu. Miał to być wyraz sumienia narodów, a nie naukowe obrady z zakresu „bakteriologii“ wojny.

Równocześnie jednak Kongres uświadomił potrzebę porozumienia intelektualnego, które może być osiągnięte jedynie na drodze dłuższej i systematycznej współpracy intelektualnej. Pojęcia, jakimi posługiwali się w swoich przemówieniach kongresowców przedstawiciele nauki i sztuki, były tak niejednoznaczne i wywoływały tak różne skojarzenia historyczne i psychologiczne, że składały się na przysłowiową „wieżę Babel“.

Przeciw wojnie i imperializmowi protestowali razem brazylijski pisarz i prawnik amerykański z postępowej partii, który przywołał orędzie Wallace'a do Kongresu. On to broni Howarda Fasta i jego towarzyszy, uwięzionych za udział w akcji pomocy dla antyfaszystów. Czy mówili wspólnym intelektualnym językiem? Pierwszy, przedstawiając w swoim przemówieniu ponury obraz kolonialnej zależności Brazylii od USA, atakował imperializm amerykański jako groźbę nowej wojny. Drugi — najskuteczniejszy środek przeciw wojnie widział w upowszech-

nianiu psychoanalizy i higieny psychicznej.

Moralny protest nie wystarcza. Chodzi o wspólny język intelektualny, który byłby wspólnym językiem Fadiejewa i Huxley'a, Ks. Boullier'a i Haldane'a, Paul Robesona i Wallace'a, Juliana Bendy i G. Lukacsa.

Przemówienia przedstawicieli krajów kolonialnych robiły głębokie wrażenie. Budziły one nie tylko szczere współczucie. One nie tylko uprzytomniały słuchaczom podłoże rozwoju przodujących państw kapitalistycznych. One także, najsilniej ze wszystkiego, uwytkowały strukturę kapitalistycznego świata, w której kolonializm i hitlerizm spotykają się ze sobą.

Zagadnienie imperializmu wysuwało się na czoło zainteresowań Kongresu. Biorąc pod uwagę większość przemówień Kongres był nie tylko manifestacją przeciwko wojnie, lecz równocześnie przeciwko imperializmowi przodujących państw kapitalistycznych. W atmosferze Kongresu czuło się pochód historii. Narody pragnące wolności i swobodnego rozwoju narodowej kultury przeciwstawiały się anglosaskiej hegemonii.

Cóż mogli powiedzieć na to Anglii i Amerykanie? Przecie wielkie imperia powstawały i rozpadały się. Geografia kultury nieraz się zmieniała. Konfiguracje oparte na imperialistycznej hegemonii nie były wiecznotrwałe. Najlepsze wartości kultury Grecji, Rzymu, Włoch, Dantego i Petrarcki weszły do ogólnoludzkiej kultury, ale przodujące centra kultury świata zmieniały swoje miejsca. Dlaczego Anglia i Ameryka miałyby być wyjątkami?

Rozpoczynając obrady Kongresu, Aleksander Fadiejew przypomniał słowa Bernarda Shaw, wypowiedziane w czasie ostatniej wojny: „Gdy Rosja rozbije Hitlera, stanie się ona ośrodkiem duchowym świata. A więc Rosjo, naprzód! Walcz o kierownictwo świata, o sierp i młot, o miecz sprawiedliwości!“

Z drugiej strony trudno było oczekiwać, aby Anglii, a tym mniej Amerykanie, chcieli przemawiać jak przedstawiciele ginącego świata. Nie wierzą w to. Nawet ci z nich, którzy wraz z innymi potępiają imperialistyczną ekspansję kapitalistyczną, nie podzielają przekonania o upadku kultury angielskiej czy amerykańskiej i jej znaczenia we współczesnym świecie. Oni nie potępiają „imperializmu“

w całości. Oni w swoim imperializmie widzą także elementy konstruktywne. Imperializm wywołuje u Anglika zupełnie inne skojarzenia historyczne niż u Polaka czy Brazylijczyka. Pojęcie imperializmu jest zaczerpnięte właśnie z angielskiej historii i z historią Anglii jest najściślej związane. Pojęcie „imperializmu” odgrywa w Anglii zupełnie inną rolę, niż w jakimkolwiek innym kraju, nie wyłączając Ameryki.

Jeżeli klasycznym przedstawicielem imperializmu mają być militarystyczne i hitlerowskie Niemcy, to Anglicy i Amerykanie protestują przeciwko zarzucaniu ich narodom tego typu imperializmu. Jeżeli militarystyka ma być istotnym elementem imperializmu, to zarówno Anglicy, jak i Amerykanie dowodzą, że właśnie w ich historycznych tradycjach brak militarystyki związanej z wychowawczym znaczeniem powszechnej służby wojskowej i społeczną rolą oficerskiego korpusu. Imperializm angielski lub amerykański różni się od niemieckiego.

Umieć postawić się na stanowisku drugiej strony. Stanowisko to przemysłu i zrozumieć. To należy do istoty intelektualnej dyskusji. Tak odpowiadali Anglicy oskarżycielom angielskiego imperializmu. I to był dominujący ton angielskich przemówień.

Imperializm ma elementy powszechne, ale ma również elementy związane ze szczególnymi odrębnościami historii i poszczególnych krajów. Jakże są elementy powszechne, wspólne wszystkim krajom imperialistycznym? Jakże są elementy różniące imperializm według krajów? Jakże są związki pomiędzy imperializmem, nacjonalizmem i kapitalizmem?

Bez oparcia w międzynarodowych sferach kapitału hitleryzm straciłby swą siłę. Ale czy zaborczość i agresywność hitleryzmu i w ogóle nacjonalizmu jest tylko pochodną kapitalizmu? Czy wiele dobrego można sobie obiecywać z faktu, że hitleryzm nie jest przedmiotem naukowych badań międzynarodowych? Ile naukowych instytucji badałoby światową epidemię, która pochłonięła tyle ofiar ludzkich, co hitleryzm?

Związki pomiędzy nacjonalizmem, imperializmem i kapitalizmem a wojną są bardzo złożone. Analiza naukowa ma tu jeszcze wiele do zrobienia. Wiemy już wiele o tym, na jakich kulturach rozwija się najpomyślniej „bakcył wojny”. Kongres uświadomił nam jednak fakt, że większa precyzja intelektualna zbliżyłaby ogromnie do sformułowania wspólnego naukowego stanowiska, co dla intelektualistów jest bardzo istotne.

Julian Huxley słabą stroną Kongresu widział w fakcie, że zbyt wiele mówiono o imperializmie. Nie uwzględnił jednak, jak zasadniczą rolę odegrał imperializm w historii wojen nowoczesnych.

* * *

Kongresowa dyskusja ujawniła, że problem imperializmu nie jest pojmowany jednakowo. Przeciwnie, różnicuje się on w poglądach intelektualistów różnych krajów, zależnie od historycznego rozwoju narodu, do którego intelektualista należy. Kongres ujawnił, że izolacjonizm kulturalny nie sprzyja sprawie pokoju. Unie możliwa on intelektualną analizę problemu wojny z perspektywy historycznego doświadczenia różnych krajów. I pomniejsza rolę intelektualistów w przeciwwojennej akcji.

Znalezienie wspólnego języka w sprawach wojny i pokoju pomiędzy krajami Europy a Ameryką nie jest rzeczą łatwą. Amerykańska wojenna ekspedycja, w której w grę wchodziły koszty, a nie sprawa całego narodowego bytu, to zgłosiła inne doświadczenie, niż walka na śmierć i życie polskiego lub rosyjskiego narodu. Dla tych narodów faszyzm i hitleryzm znaczy zupełnie co innego, niż dla Ameryki i Anglii, a nawet dla narodów zachodniej Europy, w których okupacja niemiecka nie zmierzała do ich zupełnego wyniszczenia.

Wniosek o stworzenie Światowego Komitetu Łączności Intelektualnej był wyrazem potrzeby, jaką się na Kongresie powszechnie odczuwało.

Sprawa wojny i pokoju to także sprawa izolacjonizmu narodów.

Rezolucja uchwalona na Kongresie słusznie zamyka w jednym zdaniu: obronę pokoju, swobodnego rozwoju narodów, niepodległości narodowej i ściślej współpracy narodów. Te rzeczy nie dają oddzielić się od siebie. „Podnosimy głos w obronie pokoju — mówią słowa rezolucji — w obronie swobodnego rozwoju kultural-

nego narodów, w obronie ich niepodległości narodowej, ich ściślej współpracy i przyjaźni”.

* * *

Znaczenie międzynarodowej współpracy intelektualnej w sprawach wojny i pokoju wiąże się z zagadnieniem intelektualnej opinii publicznej.

Jakkolwiek niebezpieczeństwo wojny zawiera się w sprzecznościach i konfliktach kapitalistycznej cywilizacji, to jednak nawet w ramach tej cywilizacji wojna nie jest już obecnie nieuchronną koniecznością.

Dwa podstawowe czynniki stwarzają realne podstawy dla akcji w obronie pokoju. Pierwszym jest fakt, że akcja przeciwwojenna w różnych krajach zyskuje ogromnie na sile przez: to, że znajdują oparcie w ZSRR i krajach demokracji ludowej. Dla krajów tych odrzucenie wojny nie jest tylko sprawą zasad międzynarodowej polityki. One potrzebują pokoju dla odbudowy swojego gospodarstwa i dla realizacji nowego ustroju społecznego. — One poniosły w ostatniej wojnie największe ofiary. Ich ogromne zniszczenie to nie były koszty wojny, lecz ciosy w podstawy narodowej egzystencji.

Arne Rehamn

SPOJRZENIE NIEMCA

(List redaktora berlińskiego „Startu” do redakcji „Wsi”)

Nas — ósemkę niemieckich obserwatorów zaproszonych na I kongres S.F.M.D. — od pierwszego spojrzenia uderzyło w Warszawie niezwykle żywa tętno jej życia. Szybciej tu się decyduje, szybciej wciela w życie, szybciej planuje i buduje. Doznaliśmy wrażenia, że przybyliśmy z bajecznie „śpiącego kraju”.

Bynajmniej nie chcę przez to dać do zrozumienia, że u nas nic się nie robi. W radzieckiej strefie Niemiec także się odbudowuje warsztaty i fabryki. Gdyby nie to, nie moglibyśmy ani marzyć o wypełnieniu dwuletniego planu na 1949/50 rok. A jednak pozostajemy daleko w tyle. Uświadomiliśmy to sobie tu w Warszawie. Czyż można u nas mówić o nowych konstrukcjach mostowych, świeżych murach, robotach ziemnych, jako o zjawisku masowym? Nie przypominam sobie, czy widziałem w Berlinie chociażby jeden nowowzniesiony blok mieszkaniowy. A taki obraz jak doszczętnie wypalona, wielokilometrowa ulica — zabudowana, budynek obok budynku, prowizorycznymi sklepami? Przejście się nieco po Berlinie i przypatrzenie się Leipzigerstrasse. W jej opustoszałych ruinach zatęsknicie za Marszałkowską.

Czyż istnieje u nas „BOS” — urząd planowej odbudowy stolicy?

Zajrzyjcie do Nowego Ratusza i popatrzcie się na naszych „Westdemokratów”, jak to mając zielono w głowie, umieją jedynie wygłaszać wielogodzinne antyczerwone i „antywschodnie” przemówienia, a zapominają o sprawach 3-milionowego miasta. Zdarza się to nie pierwszy raz w historii. Tak, tempo życia i odbudowy Warszawy było dla nas czymś niespodziewanym — niespodziewanym i przepięknym — przykładem i miernikiem.

Znamy przyczyny tej dyspozycji aż nadto dobrze — 12 lat faszyzmu z jego kompletnym paraliżowaniem świadomości społecznej i indywidualności człowieka pracy, do tego jeszcze dodajmy trzy i pół roku oddziaływania z Zachodu niemieckiej, profaszystowskiej propagandy, która te braki niemieckiej mentalności wykorzystuje dla swoich ogólnie znanych celów.

Ta sama ideologia, która w Polsce pozyskała zaufanie większości narodu jest tu paraliżowana, a to po to, by inscenizatorzy wrzasków „Trzymaj złodzieja” mieli pewniejszy grunt pod swe dolarowe i zbrojeniowe machinacje.

Tym niemniej są już i u nas zaczątki tego, cośmy w tak wysokim stopniu widzieli w polskiej młodzieży — młodzieży społecznie wyrobionej, pełnej inicjatywy i zapału.

Jak powiedziałem, nie można nawet myśleć o zestawieniu. Ale ponieważ te zaczątki istnieją, mieliśmy podstawę prosić, by niemiecka młodzież mogła również wziąć udział w międzynarodowej konferencji S.F.M.D. (i dzięki temu też, już po

Drugim czynnikiem jest fakt, że nawet w krajach kapitalistycznych historyczny proces demokratyzacji postąpił już tak daleko, że dla wojny potrzeba moralnej aprobaty narodu.

Wiadomo, jak istotną rolę odgrywa w nowoczesnych wojnach propaganda mająca przekonać naród o potrzebie i celach wojny. Propaganda ta ma na celu zdobycie moralnej aprobaty narodu i narodów dla wojny. Bez moralnej aprobaty narodu wojny nie można prowadzić, tak samo jak bez przemysłu i kapitału.

To też problem propagandy wojennej wysuwa się na czoło zagadnień wojny i pokoju. Problem ten staje w jednym rzędzie obok przemysłu wojennego. Niebezpieczeństwo nowej wojny polega na tym, że koła militarne i kapitalistyczne zmierzają do monopolu propagandy przez opanowanie prasy, radia i wszelkich możliwych środków kształtowania opinii publicznej poszczególnych narodów i całego świata.

Monopol kapitalistycznej propagandy nie jest jednakże jeszcze tak doskonały, aby nie można mu przeciwdziałać. I w tym zakresie rola intelektualistów jest olbrzymia. Propaganda jest nie do pomy-

ślenia bez intelektualistów. Ich zorganizowana akcja może skutecznie przeciwdziałać nie tylko zgubnej propagandzie wojennej, lecz w ogóle propagandzie kłamstwa i fałszywych informacji szkodliwych dla międzynarodowej współpracy.

Doświadczenia hitleryzmu pokazują jak daleko szedł współdziałanie nauki i naukowców w zbrodniach przeciwko ludzkości. — A wszystko to zaczęło się od obrony świata przed komunizmem. Krematoria dymiły w obozach, gdy propaganda hitlerowska głosiła światu krucjatę w obronie zachodnio - europejskiej kultury przed komunistycznym wschodem.

* * *

Sprawa pokoju to w znacznej mierze sprawa niezależnej intelektualnej opinii publicznej świata. Niezależnej i uczciwej. Równocześnie jest to sprawa moralnego autorytetu intelektualistów. Intelektualiści stają w obronie pokoju. Dlaczego oni? W dawnych czasach sprawy wojny i pokoju należały do wodzów wojennych i kapłanów; potem doszli politycy i mężowie stanu, a w końcu przemysłowcy i finansjści. Dopiero w naszych czasach w sprawach wojny i pokoju nabierają znaczenia intelektualści.

Marcel Prenant w swoim referacie przypomniał deklarację Stowarzyszenia Uczonych Amerykańskich (Federation of American Scientists), który w 1945 r., w związku z doświadczeniami z bombą atomową, oświadczyli, że posiadanie takiej broni obarcza Stany Zjednoczone A. P. specjalną odpowiedzialnością w sprawie zakończenia wojny i pokoju, ponieważ w ich laboratoriach powstaje nowoczesna technika wojenna zagrażająca całej ludzkości.



Prof. dr Józef Chalasiński

Ale nie tylko dlatego. Intelektualiści nie tylko przyczyniają się do udoskonalania nowoczesnej techniki wojennej. Oni także dostarczają narodom intelektualnego i moralnego uzasadnienia wojny. Pisarze wszelkiego rodzaju kształtują ideologię swoich narodów: ideologię wojny, albo ideologię pokoju.

W obecnej fazie historycznego rozwoju narodom nie wystarczy wojenny rozkaz pobłogosławiony przez kapłanów. One wymagają uzasadnienia konieczności i celów wojny. W tym zakresie rola intelektualistów jest nie mniej wielka niż w zakresie wojennej techniki.

Jesteśmy jednakże dopiero w początkowej fazie moralnego autorytetu intelektualistów. Dalszy rozwój w tym kierunku związany jest z przekształcaniem się społecznego miejsca i społecznej roli intelektualistów w życiu narodów. W przeszłości intelektualści należeli do wyższych sfer arystokratycznych. Nie posiadali moralnego autorytetu w masach ludowych. Monopol na moralny autorytet wśród ludu posiadało duchowieństwo. Znaczenie intelektualistów w sprawach wojny i pokoju, tak w ogóle w sprawach kierownictwa kwestiami publicznymi narodów, zależy od siły ich społecznych związków z masami ludowymi. Ten moment nie przypadkowo zajmował wiele miejsca w obradach Kongresu.

Sprawa pokoju to nie tylko sprawa niezależnej i uczciwej intelektualnej opinii publicznej świata. To także sprawa społecznego i moralnego autorytetu intelektualistów w masach ludowych każdego narodu i całego świata. Tylko w związku z ludowymi masami intelektualści mogą stanowić siłę zdolną do skutecznego przeciwdziałania się wojennym tendencjom i do organizowania trwałego pokoju.

przełożył: T. Chróścielewski

Józef Chalasiński

Maria Kowalska

ABY ŻYŁ „GATUNEK PISARZY”!

Związek Zawodowy Elektryków i Gazowników w Marsylii pozdrawia gorąco w imieniu trzech tysięcy swych członków Wasz Kongres. Śledzimy z uwagą Wasze prace. Jesteśmy przekonani, że Wasze obrady będą decydującym etapem przegrupowania intelektualistów całego świata, którzy są zdecydowani walczyć, aby zapewnić ludzom pokój i wolność. Niech żyje Światowy Kongres, rękojmi zwycięstwa sił pokoju nad siłami wojny!

Depesza przesłana Kongresowi Intelektualistów w Obronie Pokoju przez grupę robotników i techników Marsylii zasługuje na uwagę nie tylko jako wyraz zainteresowania szerokich kręgów społeczeństw polityczną akcją „inteligentów”. Tradycyjne relacje między światem pracy a światem myśli ulegają w naszych oczach przekształceniom. Świadomość społeczna mas percypuje nową funkcję intelektualisty.

Największą komunikatywność języka artystycznego literatury i bogata skala tematycznej warunkują szerszy zakres oddziaływania piśmiennictwa artystycznego, niż innych gałęzi sztuki. Równie szeroko, choć często nie bezpośrednio, działa społecznie twórczość pisarza — naukowca. Rozważania nad funkcją społeczną pisarza będą miały walor typowości dla prób ustalenia roli intelektualistów w społeczeństwie współczesnym. W obecnej sytuacji historycznej utrwała się nowy typ zawodowego literata. Jest nim pisarz — pracownik kultury, luzujący minione tradycyjne formacje (przykładowo — pisarz — dworak, pisarz — akademik, pisarz — „cygan”).

Ta nowa formacja socjologiczna wyznaczona jest układem warunków historycznych. Modyfikowany typ pisarza — pracownika kultury wyrasta w dwóch systemach społeczno-politycznych: istnieje w państwie socjalistycznym czy państwie demokracji ludowej i powstaje w odmiennej nieco wersji w liberalnych państwach kapitalistycznych w warunkach zagrożenia faszyzmem. Modyfikacje w funkcjach obu typów wynikają z różnicy zarówno pozycji społecznej pisarza, jak i jego stosunku do ustroju. Pisarz państwa ludowego swą rolę społeczną spełnia poprzez udział w budownictwie socjalistycznym na odcinku swej specjalności. Pisarz liberalny odnajduje swe miejsce społeczne wśród walki z napierającym faszyzmem i wśród klęsk i rozczarowań kapitulującej zwolna „demokracji liberalnej”.

Kongres Wroclawski był miejscem spotkania pisarzy socjalizmu i dość szerokiego skrzydła lewicy liberalnej. Dyskusje odcisnęły raz jeszcze wewnętrzną dyferencję między liberalizmem. Brakowało reprezentantów typów społecznych pisarza, kształtowanych przez ideologię faszyzmu i liberalną prawicę. Analiza historyczna efektów i szans działania tych czterech grup wyczerpie, współcześnie istniejące modyfikacje społecznej funkcji pisarza.

Faszyzowska tradycja literacka wyrasta historycznie z prawniczych, nacjonalistycznych kręgów pisarzy demokracji zachodnich. Narodowa myśl niemiecka przechowała schemat roli społecznej, w jakiej pisarz uczestniczy w losach zbiorowości. Od czasów wyzwoleniczych walk niemieckich spularyzował się stereotyp „pięsniarza” — towarzysza bojów rycerza („Schwert und Leier”). Ideologiczna klęska militarystyki po porażce wojnie światowej, specyficzna regresja wśród prawicy liberalnej, ideologicznie ucieczki, rozpowszechnienie teorii klerkizmu, nęchące do „nagłej tendencji” kazwały wytworzyć bardziej skomplikowaną formę udziału pisarza w ustroju i propagandzie poprzez teorię artystycznego mitotwórstwa.

W krajach, do których przesączają się mniej lub bardziej jawnie wpływy faszyzmu, zaktualizowało się zagadnienie społecznego wykorzystania pracy pisarskiej. W totalistycznej Polsce lat 30 dyskusja o roli społecznej pisarza przybrała na sile w roku 34, by z małymi przerwami odnawiać się do końca Polski przedwrześniowej. Oficjalne exposé polskiej myśli faszyzującej w tej dziedzinie stanowiło w 34 r. przemówienie Juliusza Kadena-Bandrowskiego na IV Kongresie im. Volty w Królewskiej Akademii Włoskiej w Rzymie. Obrady Kongresu nie miały bynajmniej charakteru akademickiego. Zasadniczy nurt dyskusji stanowiły polityczne utarczki Marinettiego z opozycyjnie nastawionym Bontempellim i liberalnymi z francuskiego PEN-Clubu. Wśród pacyfikowanych militarystów i wojowniczych pacyfistów Bandrowski zrezygnował z odczytania rzeczowego referatu o Teatrze Państwowym w Polsce i wygłosił demagogiczną orację na temat „Sztuka i państwo”, której trzon stanowiły rozważania nad wzajemnymi relacjami funkcji męża stanu i poety. Symbol roli społecznej literata dostrzegł Bandrowski w obrazie z otwartej Kongresu: „...nad murawą boiska, między postaciami rzeźbionych w marmurze atletów, grupa dostojnych mężów już świętujących, siwych, ciemno odziana (...) Rzekłbyś, o brzo-gu murawy tego pięknego stadionu mroczna wyspa refleksji, odczuć i powagi. A zza krawędzi stadionu dolatuje jakgdyby ciche, twarde jakieś tempo, wybijane przez osobliwej młodzieży Mussoliniego, która (...) miała wiec bystry metronom. To były strzały wiosny swój dzieła nauk strzelania. Przywodzą na waszą pamięć ten obraz wyjątkowy a tak zarazem codzienny, powszedni: mroczna grupa myślicieli, intelektualistów, humanistów nad brzegiem toczącego się życia współczes-

nego zamyślona, wzniosła zadumana — i ów rytm ostry, szybki rytm gotowości, strzału, obrony, organizacji pogotowia czynu ostatecznego, czynu walki”. Konkretny sens tej metafory podtrzymują wywody o absolutnej wolności poety, budującego swój świat „uczucia i marzenia” poza rygorami sprawdzianów rzeczywistości. Poeta „idzie w głąb coraz dalej i dalej, by odnaleźć człowieka wymarzonego a więc wolnego, obranego już, że tak powiem, z kory społecznej, stadnej, człowieka w nieprzemijającej, wiecznej, a zarazem jedynej, niepowtarzalnej, osobistej istocie”. W ten sposób faszyzowska literatura wielkiego fałszu odrzuca próbę rzeczywistości. Operuje ona mityczną konstrukcją człowieka, ucieka przed demaskującą ją prawdą historii. Poeta nie jest badaczem życia i nie jest działaczem; żywe sprawy rzeczywistości materialnej zostawia mężowi stanu, mówiacemu „z głębi chaosu uczynków głosem strażników karabinowych”. Pisarz — „zamyślony u skraju czynnego życia” — pozbywa się tu wszelkiej ludzkiej odpowiedzialności. Odzew, jaki przemówienie Bandrowskiego wywołało w świecie, charakteryzuje głos Romajna Rol-

wygłąda inaczej. Pisarz — egzystencjalista uwolniony jest od wszelkiej odpowiedzialności za sens moralny swej sztuki, podczas gdy faszyzowska teoria działalności pisarza zakładała prymat „postawy moralnej”, kształtowanej normami specyficznej „etyki”.

Charakterystyczną ewolucję przeszedł natomiast humanitarny liberalizm radykalizujący. Po I wojnie światowej liberalowie Europy ulegli psychozje strasznego pacyfizmu. Należne pielegnowanie ogródka onót pacyfistycznych, idea apolitycznego zbliżenia narodów doznały załamania wobec naporu barbarzyństwa. Klerkizm tych kręgów oznaczał nie tyle wzniosłą pogardę wobec życia i „niewtajmniczonych”, ile złudną wiarę w wartość indywidualnej niezależności duchowej, wiarę w sens działalności apolitycznej u ludzi nie umiejących ogarnąć procesów dziejowych. PEN — Cluby przedwojenne kultywowały pieczołowicie tę postawę. Liczne Kongresy poświęcone były elitarnym rozważaniom ściśle zawodowym lub bezradnym pacyfistycznym kwitleniom. Taką charakter miała jeszcze opozycja Jules Romainsa w 34 roku na faszyzowskim Kongresie im. Volty.



Inauguracja IV Kongresu im. Volty w Królewskiej Akademii Włoskiej w Rzymie w r. 1934

landa. Nazywa on z pasją moralny wybór pisarza — faszyzmy sprzedaniem braci za cenę psiej budy, za przywiej artystowskiego „układania słów w kadencji zdań”.

W tym czasie w kraju nabrzmiewała toczona od szeregu lat dyskusja, która nawążywała do najnowszych polemik modernizmu z pozytywizmem (sztuka dla sztuki czy społeczne serwituty literatury). Rodzime tradycje niedobitków modernizmu odegrały większą rolę, niż sugestia zachodniego klerkizmu. Jednak górę wzięły sędziwe tradycje służby społecznej literatury, podjęte i urobione dla potrzeb systemu przez ideologów sanacji. Pod auspicjami Adama Skwarczyńskiego powstała broszura Kołonieckiego „Społeczne zadanie literatury”. Przyznając literaturze wartość wychowawczą, wypaczał on jej funkcję poznawczą. Instrument oddziaływania literatury dostrzegł w tworzeniu mitotwórcy. To miało być jej wyróżnikiem wobec reportażu i publicystyki. Nowa funkcja fikcji literackiej czyniła ją elementem sfalszowanej wizji świata.

Faszyzm polski, niedokształcony teoretycznie, nie rozporządzał także formami prawnymi, które pozwoliłyby rzeczywistnie organizację kultury (OZN dopiero w latach 38/9 wytykał na forum sejmowe z „czteroletnim planem kulturalnym”, z projektem jednego ośrodka dyspozytywnego w sprawach kultury i t. p.). Nie wyprodukowano więc w szerszym zakresie literatury, odpowiadającej tym programowym założeniom. Chwiejność ideologiczna polskiego „małego faszyzmu”, nieustanne kokietowanie „resztkami” sloganów demokratycznych, narastająca groźba konfliktu z Niemcami spowodowały, że nigdy nie doszło do oficjalnego rozstrzygnięcia z linią pisarzy demokracji zachodniej, którzy szykowali się do rozgrywki z hitleryzmem. Charakterystyczny jest tu komentarz Melchiora Wańkowiaka do obrad ostatniego przedwojennego Kongresu PEN — Clubów w USA w 1939 r. Linia polityki zagranicznej wymagała sojuszu z postawą „politemigrantów” niemieckich czy zatrzypanych liberalistów francuskich. „Delegat z Polski” zaznacza na marginesie antyfaszyzowskich uniesień Kongresu dyskretne votum separaturne: „Bo to co dziś szło na nasz młyn, jutro może się odwrócić przeciwko nam”.

Pewne sugestie teorii sztuki dwudziestowiecznego fin de siècle'u liberalizmu zostały swoiście przez faszyzm zużytkowane. Nie wszystkie jednak grupy schyłkowego mieszczaństwa, których polityczne zaplecze i pożywkę mniej lub bardziej uświadomioną stanowiła prawica liberalna, zostały zakaperywane przez faszyzm w okresie międzywojennym. Awangarda wegetowała jeszcze długie lata, by dziś przeżywać swą agonję w lekliwej kapitulacji egzystencjalizmu, w specyficznej formacji francuskiej „trzeciego fałszu” (po włoskim i niemieckim). Funkcja pisarza — jednak, torującego drogę faszyzmowi,

muszą się nazywać zbrodniami i to jest rola nasza, pisarzy”. Kongres zakończył zaś pod zdrowieniem pod adresem żołnierzy zmobilizowanych armii, stojących z bronią u nogi na straży pokoju. W ten sposób w krąg pojęć pisarstwa mieszczańskiego wtargnęła świadomość doniosłości tej funkcji literatury, która w całej pełni ukształtowała się poza zasięgiem ich doświadczeń: w ramach państwa socjalistycznego. Sformułował ją Gorki: „Literatura jest trybuną dla każdego człowieka, mającego w sercu gorące pragnienie opowiedzenia ludziom o przekształceniu życia i o ludzkich cierpieniach, o tym, że należy opiewać człowieczeństwo i o tym, że wszystkim ludziom jest potrzebna wolność, wolność”.

Gorki, teoretyk realizmu socjalistycznego, w artykułach publicystycznych („O pisarzu proletariackim”, „O pisarzach — samoukach” i in.) i w programowym referacie na I Zjeździe Pisarzy Sowieckich w 34 roku najpełniej określił zakres funkcji społecznej literata w rzeczywistości socjalistycznej. — Pisarzowi wskazano tutaj konkretne zadania z zakresu techniki społecznej. Pisarz ten tworzy wiedzę o społeczeństwie, która staje się przesłanką do konkretnego działania, a sama z kolei wypływa z czynnego udziału pisarza w życiu (podkreśla się np. walor szerokich doświadczeń społecznych, jakie daje pisarzowi znajomość jakichś innych zawodów praktycznych). Pisarz radziecki, jak każdy obywatel wspólnoty socjalistycznej, ponosi pełną odpowiedzialność za całość osiągnięć pokolenia. Działalność jego, aczkolwiek w innym nieco wymiarze, niż działalność polityka, obejmuje żywą pełnię spraw narodu, daje inną ich syntezę. Ta funkcja odnowiła powieść radziecką, stworzyła niemal nowy gatunek literacki, jakim jest reportaż sowiecki. Z rozlicznych jego odmian reportaż operatywny ukazuje najsilniej pisarza w nowej roli społecznej i przy nowym warsztacie roboczym. Reportaż operatywny to narzędzie, które pozwala wypełnić pisarzowi trudne zadanie złożenia sprawozdania i sprawiedliwej oceny społecznej pewnego odcinka budownictwa radzieckiego. Reportaż taki parasta w czasie procesu produkcji, w którym pisarz bierze udział jak każdy wykonawca planu. Oto jeden z artystycznych kształtów, w jaki wcieliła się nowa wiedza o nowej rzeczywistości. Jakże daleko jesteśmy od „mrocznej grupy myślicieli, intelektualistów, humanistów nad brzegiem toczącego się życia współczesnego zamyślonej, wzniosłej zadumanej”.

Funkcja pisarza radzieckiego, wykreślona ramami rzeczywistości socjalistycznej i jego pozycją bojownika — realizatora, jest formacją nową i dynamiczną. Rosną szeregi pisarzy — pracowników kultury tam, gdzie pozwalają na to warunki obiektywne. Obserwujemy wydatne kształtowanie typu pisarza zachodnio — europejskiego przez młode wzory. Klęski i poniżenia człowieczeństwa stworzyły typ pisarza obrońcy-kultury. Niema on nie wspólnego z pisarzem-katastrofistą plażującym na gruzach ginącego świata wartości. Jest to dzisiejszy bojownik, który na falach historycznej ewolucji stanie się jutro realizatorem.

Radykalny liberal w przystępie zniechęcenia po Kongresie PEN-Clubów w 47 roku skarżył się na słabość głosu pisarza i wyrażał obawę przed wymarciem tego gatunku. Gatunek pisarzy nie wymiera jednak, a przechodzi trudny okres przystosowania się do nowych warunków, wyznaczających nową funkcję.

W OSTATNIM NUMERZE 34-35 (163-164) z dnia 22—29 sierpnia 1948 r.

Redakcja: Na kongres pokoju; Leonard Sobierajski — Zycie naukowe Wrocławia; Stanisław Cieślak — Plany regionalne; Witold Zalewski — Spotkanie pod lasem; Kazimierz Borzecki — Tradycje młodzieży niemieckiej; Franciszek Jukiewicz — Studenci i nauka; Lech Budrecki — Grupa łódzka; Jan Wróblewski — Łódź a socjologia; Irena Wodźńska — Unus defensor Mariae; Delegacja polska na Kongres; Jerzy Borejsza, Tadeusz Kotarbiński, Jarosław Iwaszkiewicz, Jan Dembowski, Stefan Żółkiewski, Józef Chałasiński, Ludwik Hirsfeld, Leon Schiller, Julian Tuwim, Władysław Broniewski, Zofia Nalkowska, Jerzy Zawieyski, Antoni Słonimski, Zygmunt Wojciechowski, Leon Kruczkowski, Hugo Steinhaus, Maria Dąbrowska; Wiersze na Kongres; Anna Kamińska — Po wojnie, Pierwszy dzień pokoju; Tadeusz Kubiak — Wyznanie wiary; Mieczysława Buczkówna — Dzieciom wojennym, W oczach wojny; Stanisław Pięta — W podróży; Seweryn Wyślouch — Wystawa Historyczna Ziem Odzyskanych; Wincenty Stys — Zagadnienia mechanizacji rolnictwa; Witold Jedlicki — Mity rodzinne; Kp. — „Normalne Kontakty”; Fakty i zdania; Komunikaty; 46 ilustracji; 16 stron.

Leonard Sobierajski

PROBLEM PACYFIZMU

NIE MOŻNA mówić o problemie pacyfizmu, nie wspominając równocześnie o warunkach historycznych, dzięki którym z całą ostrością został postawiony. Łączy on się bardzo ściśle z zagadnieniem wojny jako instytucji, wytworzonej przez określoną historię cywilizacji. Instytucja wojny, tak jak ona przedstawia się dzisiaj, jest wytworem cywilizacji — jak mówi prof. Chałasiński — kapitalistycznej. Czas jej powstania to schyłek XIX i początek XX wieku. W okresie tym do przodującej roli na świecie dochodzą siły społeczne, które socjologia określa różnymi terminami: burżuazji przemysłowej czy plutokracji. Siły te reprezentują kapitał finansowy i przemysłowy narodów świata. Ten etap naszej historii społecznej i gospodarczej, który dzisiaj doszedł do swego punktu kulminacyjnego, otrzymał nazwę kapitalizmu imperialistycznego.

Przełom XIX i XX wieku to gwałtowny wzrost potencjału gospodarczego Ameryki Północnej, który stara się prześcignąć i prześcignąć potencjał gospodarczy przemysłowej Anglii XIX wieku. Początek XX wieku to ogromny skok w uprzemysłowieniu Niemiec. Wkrótce za Ameryką, Anglią, Niemcami i Japonią przejdzie na bardzo intensywną industrializację kraju. Każde z tych państw będzie miało wielkie koncerny. Sprawa wojny czy pokoju będzie rozgrywała się na przestrzeni ostatnich 60 lat między takimi potęgami przemysłowymi, jak United States Standard Oil, Dupont, General Motors a angielską Federation of British Industries czy późniejszymi koncernami japońskimi *) i wreszcie niemiecką I. G. Farbenindustrie. Te siły przy pomocy armii narodowych własnych krajów inicjują cały szereg wojen imperialnych: hiszpańsko — amerykańską, włosko — abisyńską i trypolitańską, angielsko — burską, rosyjsko — japońską. Tych wojen w różnych częściach świata można by wymienić jeszcze daleko więcej. Są to wojny o rynki i surowce, są to wojny o zdobycie coraz większych terenów do eksploatacji przez skoncentrowany w wymienionych krajach kapitał przemysłowy.

Ten moment historii charakteryzuje gorączkowy wysięg o zdobywanie wolnej jeszcze przestrzeni świata. W pierwszej swej fazie nasycza się on podbojami kolonialnymi, w drugiej siły przemysłowe zaczynają walkę między sobą o wyrwanie zajętych już uprzednio terenów.

Wartości materialne, które kapitalizm finansowy i przemysłowy wydobywa z krajów kolonialnych, obraca na zbudowanie cywilizacji, służącej tylko jego własnej klasie. Za te wartości kupuje sobie wiedzę, kupuje dobra kulturalne. Warstwy dolowe — robotnicy i rolnicy — otrzymują tylko tyle, by mogły istnieć biologicznie, tyle tylko, ile trzeba na reprodukcję sił ludzkich, koniecznych do funkcjonowania w roli „robotów“.

* * *

Jakie filozofie działały na korzyść „wojowniczej“ burżuazji? Twórcy tych filozofii to często ludzie, których nie zawsze należałoby posądzać o służebność wobec sfery kapitalistycznej. Tak się jednak składa, że właśnie ich teorie w czasie są bardzo zbliżone i pomocne temu okresowi, w którym kapitalizm przechodzi w fazę imperialną. Początek XX wieku jest pod silnym wpływem pragmatyzmu James'a z jednej strony, intuicjonizmu bergsonowskiego i teorii mitów sorelowskich z drugiej strony. W okresie tym nurtują wyraźne prądy irracjonalizmu. Można przyjąć, że jest to nadbudowa filozoficzna dla epoki kapitalizmu imperialistycznego. Tymi teoriami pragnie on zwalczyć racjonalną, w ujmowaniu procesów dziejowych, myśl Karola Marksa. Wojna w ujęciu tych filozofów zatracca swoje determinaty ekonomiczne, jest natomiast jakimś specjalnym wstrząsem, który ma przywrócić rozbitą równowagę ludzkości. Wygrywa się tu przeważnie przedstawienia materii i ducha. Posłuchajmy Bergsona:

„Cóżby się stało, gdyby siły mechaniczne, wywołane i kierowane przez naukę, same opanowały ludzkość, aby zniżyć ją do gołego materializmu? Cóżby się stało ze światem, gdyby mechanizm ten nagle opanował ludzkość i gdyby narody, zamiast swobodnego rozwoju indywidualności narodowych, wpadły w jednorodność, jak rzeczy? Cóżby się stało z ludzkością, gdyby gruba siła materialna zdobyła przewagę nad siłą moralną?... Śmierć wypowiedziałaby wojnę życiu... Ludzkość kosztem ofiar materialnych i cierpień fizycznych w tej wojnie, ratuje się od upadku moralnego, który byłby jej zgubą“ (**).

G. Ferrero, ten szlachetny humanista, wygłasza w Sorbonie w końcu 1914 r. mowę, w której mówi: „Czy sądzicie, że filozofia, doktryna, teoria, mogłaby pójść za tak niebezpiecznym kierunkiem opinii, uczuć i interesów (bo bardzo duże interesy są z nim związane), któryby wszystkie narody i wszystkie klasy zamienił we wstrętne gromady, pogrążone w czysto ilościowej cywilizacji? Nie; i potrzeba było właśnie wielkich wypadków historycznych, które jedynie zmienić mogły ideowy kierunek mas.“ (***)

Według Ferrero tymi pożądanymi wypadkami historycznymi są wojny, a przede wszy-

stkim pierwsza wojna światowa. Takie głosy można cytować dziesiątkami. Swoje uwienczenie znajdują one w wypowiedziach filozofów niemieckich. Wystarczy wymienić tu Spenglera.

W zacytowanych wypowiedziach i dziesiątkach innych, którymi przepelnione są książki i dzienniki dwóch pierwszych dziesiątków XX wieku, tak czy inaczej apoteozuje się wojnę, apoteozuje się wojnę, której sprawcami była burżuazja przemysłowa Anglii, Niemiec, Włoch, czy Francji.

Przytoczmy jeszcze jeden głos nacjonalisty francuskiego, który dał wyraz swojemu stosunkowi do postawy pacyfistycznej proletariatu i intelektualistów. W związku z otwarciem pałacu pokoju w Hadze w roku 1913 pisze on w „Echo de Paris“: „Chimery ich (mowa o pacyfistach, przypisek nasz L. S.) bowiem przyczyniają się do wzrostu walki klas, której można uniknąć, przez co podważają niebezpieczeństwo nieuniknionej wojny pomiędzy narodami, wojny, tak zdrowej, jak tamta jest zębna... (podkreślenie nasze L. S.)“

Pomiędzy pacyfistami są dwa zastępy: na górze — profesorowie — ideolodzy, na dole — socjaliści. Pierwsi są czynnikami poruszającym sekty, drudzy jej armią. Socjaliści dążą do tego, aby przez pacyfizm, kraje wzajemnie się przeniknęły (la penetration) w celu (którego nie ukrywają) podniesienia masy proletariatu, coraz bardziej spójnej, coraz liczniejszej, przeciw masie kapitalistów. To walka socjalna przeciwstawiona walce narodów. Wiemy, jakie jutro przygotowują te orgie humanitarnej wielkoduszności... Bezpieczeństwo naszych majątków i naszych osób wymaga, aby sprawa haska pozostała fantazją bez znaczenia i wpływu“ (*).

Dla Bergsona wojna jest dobrą rzeczą, ponieważ idzie na rękę tym „najlepszym umysłom“, które oddają się pracy nad „spirytualizacją materii“. Znaczenie to prościej jest powiedziane u dziennikarza francuskiego w 1913 r. Dla niego wojna jest kląpą, bezpieczeństwo — uśmierca kilka milionów osób, które „mogłyby się targnąć na nasze majątki“. Przewroty socjalne w opinii tego nacjonalisty znakomicie udaremnia instytucję wojny. Co parę lat przodująca warstwa posiadaczy rzuci na siebie uzbrojony lud dla wzajemnego wymordowania. Koszty się świetnie opłaca, stan posiadania utrzyma w rękach plutokracji jak dotychczas.

O losach Europy w latach 1914 — 1918, o losach Europy w okresie międzywojennym decydował kapitał finansowy i przemysłowy. Jego rzecznicy polityczni rozstrzygali o sprawach pokoju i wojny.

Gdy angielska partia pracy w 1917 roku manifestowała za zawarciem pokoju, gdy w Rosji wybuchła rewolucja, gwałtownie przeciwstawiająca się dalszemu prowadzeniu wojny, Lloyd George w swoich pamiętnikach mówi o tym okresie: „konieczna była odpowiedź na propagandę pacyfistyczną...“ która operując zrozumiętym zmęčeniem mogła rozwinąć niebezpieczne, anty - wojenne uczucia, podważające morale narodu“ (podkreślenie nasze L. S.).

W roku 1932, gdy imperializm japoński, niemiecki i włoski już dokonują, albo szykują się do nowego skoku, i gdy siły postępowe proponują stworzenie komisji rozbrojenkowej,

*) Echo de Paris z dn. 25 sierpnia 1913, cytuję za Józefem Lange.

lord Londonderry, przedstawiciel rządu angielskiego na konferencję rozbrojenkową, pisze w swym dzienniku: „Jestem tu w zupełnej mniejszości w tej pacyfistycznej i sentymentalnej atmosferze i czuję się zupełnie nie na miejscu dyskutując nad tymi głupio zarzucającymi doktrynami“ (*).

* * *

Okres międzywojenny na tzw. „arenie“ politycznej świata przedstawia fantastyczny obraz Zmasakrowanym w wojnie światowej milionom proletariatu i inteligencji wystawiono w całej Europie „Pomnik Nieznanego Żołnierza“. Dalej zdobyto się jeszcze na jeden „wielkoduszny“ gest: ustanowiono Ligę Narodów z siedzibą w Genewie. Mówiło się tam o rozbrojeniu, o zabezpieczeniu wolności narodów Europy, było to miejsce nowego krasomostwa. Opinie wypowiedziane przez polityków w Genewie absolutnie do niczego nie zobowiązywały rządy państw europejskich. Koncepcje pokojowe Wilsona, propozycje Brianda czy paneuropejskiego Gudenhove-Kalergi odbijały się jak fale od betonowych tam gabinetów polityków europejskich, za którymi stały banki i wielki przemysł. Rządy państw kapitalistycznych nie rzadko wysyłały do Genewy ludzi uczciwych. Ludzie ci naprawdę pragnęli na drodze pokojowej jakoś rozwiązywać wybuchające lub grożące wybuchem w Europie i świecie konflikty. Reprezentantem genewskim mocarstw europejskich pozwolono mówić o arbitrażu, rozbrojeniu, zabezpieczeniu. Dysponenti kapitalistyczni traktowali Genewę jako kataplazm na czujne sumienie tych mas, które miały jeszcze w doświadczeniu groźbę ostatniej wojny. Mieliśmy więc z jednej strony dysputy akademickie, w jaki sposób zapewnić światu trwały pokój, a z drugiej układy mocarstw o tonażu flot wojennych. Od roku 1932 mogliśmy obserwować oraz intensywniejsze zbrojenia na terenie Europy i Ameryki. W państwach kapitalistycznych wydatki na armię kilkakrotnie się zwiększyły.

Na tym tle słowo pacyfizm zaczęło nabierać nowego znaczenia. Pokojowy nurt proletariatu zachodnio - europejskiego imperialiści skanalizowali, wykorzystując go na swój użytek. Samo słowo zabarwiło się złością i sentymentem. Na jego treść składała się przede wszystkim odraza do wojny. Nosili się z nim po Europie apostołowie specjalnego autoramentu, można ich określić mianem liberalistycznych pacyfistów. Pacyfizm w okresie międzywojennym to pojęcie historyczne. Imperializm wyrwał mu w tym okresie jego znaczenie klasowe. Zatracił on wówczas ten sens, jaki nadał mu jeszcze angielski ruch robotniczy, gdy w roku 1917 gwałtownie protestował przeciwko wojnie interwencyjnej, jaką kapitaliści angielscy, francuscy i amerykańscy pragnęli narzucić noworodzącemu się państwu sowieckiemu. Kto tu dokonał przewekslowania? Wydaje nam się, że tego zafalszowania dokonały poglądy humanitarystów w stylu Bertranda Russela. Przytoczmy jego opinie z rozprawki, drukowanej w latach wojny światowej — „Wojna jako instytucja“. Fakt wojny Russel wyjaśniał w kategoriach psychologicznych. Mówił on: „Ostateczna

*) Cytuję za K. Zilliacusem: Między dwiema wojnami str. 90.

podstawa, na której opiera się wojna nie ma charakteru ekonomicznego ani politycznego; nie polega też na żadnej technicznej trudności w wynalezieniu środków, przy których pomocy spory międzynarodowe byłyby rozstrzygane pokojowo. Ostateczną przyczyną wojny jest fakt, że znaczna część ludzi kierowana jest przez impulsy walki, a nie zgody, i zdolna jest do współpracy z innymi tylko w obliczu wspólnego wroga“. Oto legitymacja liberalistycznego humanitarysty dla późniejszej techniki wychowywania narodu niemieckiego do wojny, stosowanej przez Hitlera. Według Russela, wojny światowej nie inspirowały określone siły społeczne, ale fakt, że Niemcy czuli się urażeni w swej dumie, ponieważ Anglia umiała stworzyć imperium światowe, a dla nich już nie było na to warunków. Do wojny według Russela naród niemiecki pchnęła zazdrość, pchnęła niemożność zaspokojenia jego aspiracji na drodze pokojowej.

Ciekawą, jaką interpretacją psychologiczną wynalazł dzisiaj Bertrand Russel dla wyjaśnienia woli wojny, jaką społeczeństwu amerykańskiemu pragnie wzmocnić Departament Stanu.

W dzisiejszej sytuacji słowo pacyfizm nabiera swojego klasowego sensu. Być pacyfistą to zn. walczyć wszelkimi, możliwymi środkami przeciwko instytucji wojny takiej, jaką wytworzyła cywilizacja kapitalistyczna. W rezolucji Kongresu Wrocławskiego intelektualistów potępiają wojnę, w którą świat pragną wepchnąć anglosascy imperialiści. Wróg jest tu wyraźnie określony i określone są wyraźnie siły społeczne za i przeciwko wojnie. Wie się dobrze o determinantach ewentualnego konfliktu. Skoro intelektualiści potępiają wojnę, to potępiają i jej inspiratorów. Jeżeli występują przeciwko nim, to równocześnie wiążą się z tymi siłami społecznymi, którym zawsze zależało na pokoju — wiążą się z masami ludowymi.

Burżuazja przemysłowa państw kapitalistycznych dostrzega wśród mas ludowych ich wolę do wyemancypowania się społecznego, ekonomicznego i kulturalnego spod wpływów, w jakich dotychczas utrzymuje ją klasa posiadająca. Burżuazja przemysłowa widzi, że proletariatu całego świata ma dzisiaj za sobą siły tych państw, które kierują się lub idą ku ustrojowi socjalistycznemu. Oczy potentatów przemysłowych są dzisiaj skierowane na Stany Zjednoczone, Rząd Stanów znalazł się po wojnie w specjalnej sytuacji. Rozbudowany ostatnio do potwornych rozmiarów przemysł amerykański nie znajduje w okresie powojennym rynków dla swoich towarów. Produkcję należałoby poważnie zmniejszyć, co pokrywa się w systemie kapitalistycznym ze stworzeniem stanu bezrobocia, idącego w kilka milionów ludzi, to z kolei pociągnęłyby groźbę zaburzeń społecznych, a przecież chodzi tu, jak powiedział nacjonalista francuski w 1913 roku „o bezpieczeństwo naszych majątków i naszych osób“.

Przed jaką alternatywą stoi zagrożony amerykański kapitał finansowy? Albo... Posłuchajmy zresztą jego meza opatrniczościwego — Marshall'a. Oto co powiedział na zebraniu Izby Handlowej w Pittsburgu w styczniu r.b.: „Lud amerykański często słyszy twierdzenie, że wypadki powołały nasz naród do roli światowego kierownictwa (leadership), które nakłada na nas odpowiedzialność bez precedensu. W tych twierdzeniach zawarta jest prawda. Praktycznym zagadnieniem jest, czy uznajemy i akceptujemy obowiązki i wymagania wynikające z tego kierownictwa, a jeżeli tak, to w jaki sposób mamy je realizować“.

Marshall mówi tu o misji, jaką rzekomo historia nakłada na naród amerykański. Skoro tak, to niech misję tę spełnia klasa do tego najlepiej przygotowana. O kim tu mowa? Słuchajmy dalej: „Ośmielam się powiedzieć, że żadna grupa nie jest bardzo powołana do dochodzenia w sposób dzielny i zdecydowany swych praw do kierownictwa, jak ludzie interesów (business element). Wasze tradycje i instynkty. Wasze doświadczenia w interesach, mówią Wam, że aby być kierownikami, musicie działać jak kierownicy“.

I dalej: „Jeśli businessman tego kraju chce znów odzyskać dawną łatwość osiedlenia się, podróżowania i robienia interesów wśród narodów europejskich, to jest istotne, aby Europejczycy zachowali swoje zaufanie do tego kraju i do trwałości liberalnych instytucji w ogóle“.

A jeżeli świat nie przyjmie proponowanego przez Departament Stanu „Pax americana“? No to istnieje druga alternatywa. Postaramy się narzucić go narodom siłą, bo wojna między narodami — jak powiedział dziennikarz z nacjonalistycznego „Echo de Paris“ — to wojna zdrowa, zdrowsza od wewnętrznej wojny socjalnej. Kilka milionów przyszłych bezrobotnych można rzucić na rzeź, niezadowoleni z systemu wyginą, majątki pozostaną w rękach posiadaczy, a że przy tym miasta Europy znów pójdą w gruzy, że spłoną dzieła sztuki, że biblioteki zamienią się w popiół, że padną miliony dzieci, kobiet, i mężczyzn — nie to, nasze majątki i nasza swoboda poruszania się i prowadzenia interesów zostanie zachowana.

W tych perspektywach słowo pacyfizm ma dziś ostre i jednakowe znaczenie dla robotników całego świata, ma jednakowe znaczenie dla twórców nauki i sztuki pod każdą szerokością geograficzną.

19 — 22 września Zjazd Historyków Polskich we Wrocławiu

25 — 26 września Zjazd pisarzy Oddziału Wiejskiego ZZLP

Nr 38-9 »Wsi« ukaże aktualne problemy historii w nauce i w jej rzucie na literaturę. Numer historyczny »Wsi« ukaże najlepsze pióra historyków współczesnych oraz poprzez głosy chłopskich pisarzy — korespondentów »Wsi« przedstawi społeczne widzenie historii, jej rolę w kształtowaniu się świadomości klasowej i obywatelskiej pokolenia chłopów.

Nr 40 »Wsi« przedstawi po obradach Zjazdu aktualne zadania i nową problematykę stojącą w chwili obecnej przed pisarzami chłopskimi.

*) Patrz: książka Zischki o Japonii.

**) Henryk Bergson: Le Figaro, sierpień, 1914; cytuję za Józefem Lange (z książki „Przyczyny i cele wojny“ 1918).

***) Ibidem.

Jan Aleksander Król

„OSTATNIA KLASA KAPITALISTYCZNA”

Gdyby mnie pytano, co myślę o przyszłości wsi polskiej, odpowiedziałbym pytaniem: „A jakie należy wyciągnąć wnioski z faktu nierównomiernego rozwoju kapitalizmu, chociażby tylko w Europie?”. Przecież historia kapitalizmu w ostatnim stuleciu u nas w kraju a np. we Francji, Niemczech czy nawet Czechach to dzieje dwóch typów kapitalizmu: rozwiniętego i niedorozwiniętego. Gdybyśmy do obecnej wojny mieli za sobą przeszłość Francji, Niemiec czy Czech mieliśmy 20—24 proc. ludności rolniczej a nie 70 proc. Cóż to znaczy? Znaczy to, że sprawa „warstwy chłopskiej” rozwiązuje się już w epoce kapitalizmu. Rozwiązuje, znaczy tu tyle co likwiduje. Kraje rozwijające się kapitalizmem wielkoprzemysłowym o imperialnym zasięgu na kolonie i półkolonie przodowały w tym procesie. Ale na nich się on nie kończy, wystarczy wymienić: Czechy, Szwajcarię i Danię. Zmiana techniki prod., jaką wniósł kapitalizm na miejsce gospodarki feudalnej, pociągnęła za sobą konsekwentnie zmiany stosunków społecznych. Perspektywa industrializacji otworzyła widok na nieuchronną redukcję dotąd podstawowej (liczebniej klasy producentów rolnych (chłopów). Otworzyła równocześnie perspektywę na obraz nieuchronnego odtąd wzrostu klasy, której dziełem miała być i jest produkcja uprzemysłowiona. To w historii kapitalizmu dokonał się już ten przełom ze wsi do miast, z roli do „techniki”. Nie był przytem równoznaczny z porzuceniem rolnictwa na rzecz przemysłu. Wprost przeciwnie, z rozwojem przemysłu wzmacniał rozwój rolnictwa, tylko — że nową techniką i dlatego mógł obniżyć ilość sił pracujących do jednej czwartej w stosunku do proporcji ludności wiejskiej z okresu feudalizmu.

Nie trzeba mieszać dwóch procesów: technicznego ze społecznym. Zmiana techniki produkcji jest historyczną zasługą kapitalizmu, przewrotem, rewolucjonizującym znany nam dotąd tok dziejów ludzkości. Społeczna zaś translokacja chłopów do przemysłu? Dość przypomnieć angielskie rugi z XVI i XVII w. Mało, że odebrano chłopom ziemię, zostali pognani do „manchesterskich” manufaktur, aby dać początek brytyjskiemu przemysłowi i brytyjskiemu imperializmowi.

Przegrupowań ludnościowych dokonywała w Europie siła społeczna, dla której dawni pańszczyźniani, jako źródło dochodów pana, mieli teraz, jako robotnicy, stać się jej źródłem dochodów, klasy przedsiębiorców, armatorów, fabrykantów i bankierów.

Gdyby na Zachodzie chciał odtworzyć i przeprowadzić przez historię w obie strony genealogię warstwy średniowiecznych kmięci, to z całą pewnością w wieku XIX rodów ich głównym „łożyskiem” trafia w miasto, wypełnia je pod nazwą przede wszystkim robotników, potem petits bourgeois, średniego mieszczaństwa i nielicznych firm wielkiej burżuazji. Amerykanie nazywają siebie „narodem wieśniaków” (a nation of villagers) podkreślając tym zwrotem pochodzenie z narodu kolonistów prerynych, wyrebywaczy lasów, i siewców na nowym lądzie, przypominając czym byli, aby tym lepiej rozumiano czym są.

Rychliński zwraca uwagę na to, że do dziś „rdzenny Amerykanin” nie wchodzi do pracy fabrycznej. „Zawody robotnicze pozostają nadal w rękach imigrantów oraz mniej przedsiębiorczych ich potomków^(*)”. Murzyni i imigranci wypełnili najniższy szczebel w społecznej hierarchii kraju businessu.

W Europie Zachodniej wędrówka ze wsi do miast usytuowała chłopów przede wszystkim na pozycji klasy robotniczej. I tak trzeba widzieć historię chłopów w epoce kapitalizmu. Z masowej produkcji rolnej w masową produkcję przemysłową trzeba było mas! Dlatego nie w tym dziwnego, że dawny chłop w nowej cywilizacji stał się robotnikiem. Prawdziwe jego dzieje to nie gałąź rodowa na wsi, usychająca z czasem coraz bardziej, ale główny pień, rozrastający się po miastach i osadach fabrycznych. Tego uczy statystyka. Znika masa ludności na wsi, odnajdujemy ją pod koniec w. XIX w miastach. Od połowy wieku proces ten jest sygnalizowany. Marks przegrana rewolucję 1848 r. tłumaczy słabością proletariatu: jego świadomości i jego liczebności. Ale liczba będzie nieuchronnie rosła. Również zaostrzać się będą (dlatego) przeciwieństwa klasowe, tym samym świadomość proletariatu.

Feudalizm obaliło wielkie mieszczaństwo przy pomocy „motłochu miejskiego” i machlopijskich. Ale znosząc ustroj feudalny i klasę panów nie stworzyło ono ustroju bezklasowego.

W toku rozwoju kapitalizmu powstały jednak przesłanki na taki ustroj. Najemna siła robocza — klasa robotnicza masą swoją przybliżyła się do liczebności dawnej warstwy chłopskiej. Analogie snuć można i po linii jej losu społecznego, bo acz w nowej postaci, podobnego do losu pańszczyźnianych. Ale właśnie ważniejsze są tu różnice. Technika produkcji (rzemiosło, uprawa roli) w okresie feudalizmu dawała pozor pracy uspołecznionej (cechy i folwark — praca na pańskim), dopiero technika produkcji przemysłowej (i jej pochodne, skierowane na produkcję rolną) wytworzyła ją naprawdę. Mechanizm fabryki

i nowoczesnego folwarku wykluczył odrębność pracy opartej o własny, jednostkowy warsztat produkcyjny. Fabryka mogła być albo jak w oparciu o zasadę kapitalistyczno-liberalną „prywatnej własności” w posiadaniu właściciela — fabrykanta albo własnością ludu pracującego a nawet nie robotników fabryki. Byłoby to bowiem zrzeszenie akcjonariuszy i mimo osobistego wkładu pracy (a przy różnej mocy i wartości produkcyjnej różnych fabryk) mutatis mutandis osobliwa, mimikrowa, odmiana trustów i karteli. A fabryka rozebrana na kawałki, rozebrany nowoczesny folwark to — owszem, produkcja może i na własnym warsztacie produkcyjnym, ale oznaczająca powrót do techniki przedprzemysłowej przy ludności (jak w Europie) o trzykrotnym przyroście w ciągu w. XIX. Tendencja prawie fantastyczna, ale wygłos

swój miała. U nas wyrazili ją agraryści, reprezentujący „rodową” gałąź wsi. Teoria powrotu do „drobnej produkcji i drobnej wymiany” i oczywiście „do ziemi”, jako zbawienie i przyszłość ojczyzny, kpiła sobie z tego co w rozwoju kapitalizmu (koncentracja przemysłowa i finansowa) stało się dorobkiem cywilizacyjnym i obowiązującym dziedzictwem.

Zsumujmy fakty: w rozwiniętym kapitalizmie odwraca się stosunek liczebny między dawną ludnością rolniczą a obecną klasą robotniczą na rzecz tej nowej, wyższej siły produkcyjnej. Ona dźwiga ciężar trudu nowej techniki. Nowa technika ją uspołecnia, tzn. odrywa od potrzeby i możliwości pracy, opartej o własny warsztat a włącza w organizm pracy zbiorowej i funkcjonalnej. Im wyższa technika, tym większa koncentracja

produkcji w powiązaniu gałęzi przemysłu, w zasięgu jej organizacji, w dyspozycji finansowej. Im wyższa technika, tym większa koncentracja kapitału produkcyjnego i dochodu społecznego, tym większe zwięźnięcie bazy kumulującej ten kapitał, tym szerszy krąg sproletaryzowanych i spauperyzowanych. Równać się on zaczyna 70 — 80 — 90 proc. ludności kraju. Proces ten jest ustopniowany. W Ameryce odzuwa go, już drobnomieszczaństwo, we Francji również średnie mieszczaństwo. Najbardziej i od początku uderzał w klasę robotniczą, w wytwórcę towarów materialnych, w wytwórcę dochodu społecznego. Z tego dochodu żyły klasy pośrednie i kapitaliści. Z resztek tego zrabowanego dochodu, potężniejąca liczebno masą robotnicze, masy przerastające połowę narodu, masy dobiegające trzech czwartych ludności w krajach rozwiniętego kapitalizmu.

Oto jest klasyczny obraz epoki kapitalizmu. Gdyby jego rozwój był we wszystkich krajach równomierny mielibyśmy i my dzisiaj 20 proc. ludności rolniczej. Klasa robotnicza byłaby klasą dominującą ludnościowo. Dla nikogo nie ulegałoby wątpliwości, że jesteśmy narodem robotniczym, jak dawniej narody były chłopskie, mimo szlacheckiej władzy. Sytuacja nasza jest inna. Mamy w tej chwili sześćdziesiąt kilka procent chłopów na wsi. Mówi ta liczba o historii niedorozwoju kapitalizmu w kraju. Mówi zatem o historii kraju w roli półkolonii w zasięgu oddziaływania państw okapitalizmie rozwiniętych. Na tym on między innymi polegał. Rozwijając się tyle, o ile eksploatował inne kraje, zarzucał swymi towarami (nie dopuszczając do rozwoju miejscowego przemysłu), pożyczkami wykupywał licencje na surowce, własną produkcję i banki.

W kraju kapitalizmu niedorozwiniętego klasa robotnicza była mniejsza a zadania jej dwakroć większe: uwolnić masy ludowe od nędzy i poniżenia społecznego przez obalenie ustroju i wyzwolić naród z roli półkolonii, z szponów zewnętrznego kapitalizmu imperialnego.

Zadanie drugie dotyka jeszcze bardziej skomplikowanych form ucisku kapitalizmu, niż pierwsze. Jaka siła społeczna mogła je przeżyć, dla jakiej była to tylko wyższa i dalsza baza tego samego, śmiertelnego wroga, jaka siła musiała z nim walczyć bez kompromisu? Niejeden z czytelników, odwołując się do rozróżnienia krajów o kapitalizmie rozwiniętym i niedorozwiniętym gotów zapytać, dlaczego i w drugim wypadku również siłą ta jest... klasa robotnicza?

Z tego bowiem, że w kapitalizmie rozwiniętym klasa robotnicza stanowi większość ludności, wyłania się wynikać jej tytuł do przodownictwa, analogicznie zatem, w kapitalizmie niedorozwiniętym rola ta przypadłaby warstwie chłopskiej. Tak właśnie sądził ludomani (poczynając od końca w. XIX) i agraryści. Miłkowski pisał: „w warunkach polskich 70 proc. chłopów ma wskoczyć w 10 proc. robotników i poddać się posłuszeństwu pod ich kierownictwo?” (1935). Ale 70 proc. chłopów tak samo było w Polsce sukcesją kapitalizmu, jak 70 proc. robotników w Niemczech. Dwie różne sukcesje a obie świadome i celowe. Jedna w kraju rozwijającego się kapitalizmu na etapie już imperialnym, druga w kraju eksploatowanym od stulecia przez imperializm tamtych, obcych, wyższych stadiów od przemysłowego, finansowego do faszystowsko — inwazyjnego.

Skutek końcowy podobny: nędza mas ludowych. Tam w większości robotniczych, tu chłopskich. Ale sytuacje społeczno — ekonomiczne różne. Imperializm przemysłowy, finansowy i polityczny rozszerzał się dzięki wykorzystywanej przez kapitalistów siły technicznej klasy robotniczej, dzięki jej ilościowemu rozrostowi. Ulegały mu kraje pozabawione potężnych sił robotniczych produkcji przemysłowej. W pierwszym rzędzie kraje chłopskie padały łupem, schodząc do roli kolonii lub półkolonii. I chłopstwo było tu celowo przetrzymywane w getcie wiejskim. Bicie przez kapitalizm krajowy i zagraniczny nie znajdowało się w bezpośrednim zwarcu z nim, w mechanizmie jego techniki produkcji, jego organizacji pracy i jego przywłaszczania produktu od tych, którzy w tym mechanizmie wytworzyli towar. Dlatego mimo tkwienia w łonie kapitalizmu nie na wsi półkolonialnego kraju skupić się mogła i zawrzeć zasadniczą sprzeczność ustroju kapitalistycznego, jaka rodzi konieczność jego obalenia. „Sprzeczność między społeczną produkcją a kapitalistycznym przywłaszczeniem występuje na jaw jako przeciwieństwo między proletariatem a burżuazją” (Engels „Anti-Dühring”).

W modelu klasycznego kapitalizmu widać epokę dziejów ludzkości. Wejście w społeczną produkcję, w społeczną, dzięki przemysłowej technice. Rozwój tej techniki, wraz z nią rozwój ilościowy klasy robotniczej i zanik tradycyjnej wsi (miasteczka, maszynowa technika pracy, wielkie zmniejszenie ludności). W czym tkwiło zło ustroju? W nowej, wyższej technice produkcji, jakiej system pozwala na niekończący się łańcuch wynalazków, ułatwiających pracę, udoskonalających jej wytwory i reprodukcujących je w dowolnych ilościach? Czy zło tkwiło w upowszechnianiu się społecznej pracy, dzięki której podnosić się może cywilizacja i kultura, rozwijając w człowieku świadomość jego społecznej „natury”, jego mocy, jaką daje

Scrgiusz Narowczatow

O G N I S K O

Od owej chwili, w owym maju
Przebiegło dni niemało,
Gdyśmy się zesłi w obcym kraju,
Wśród gór, nad Elbą białą...
I tam nas obu — piechociarzy,
Ognisko wspólne grzało.

W tę noc nie zbrakło szczap sosnowych,
Chrustu i suchej ściółki...
A syciliśmy ogień zdrowo —
Żołnierze obcych pułków,
Pułków dwóch krajów różnej nazwy
I niejednokiej mowy.

I nieźle było nam ze sobą
Na ranek oczekiwać.
I gwarzyć pod drewnienek chrobot,
Żeśmy na długie wieki,
Na długie wieki — świat, jak żywo,
Ustrzegli przed żalobą.

I ogień nasz wśród nocy świecił,
Jaśniejszy od gwiazd białych
I rzesze pięciu kontynentów
Ogień ten dostrzegali...
Ni wiatr w powietrze go nie poniosł,
Ni deszcze go nie brały.

I nocą mgły traciły siłę,
Gdy z ogniem szły w zapasy,
Wierzyłeś i ja też wierzyłem,
Że nic go nie zagasi
I to był dla nas, Johny Smith,
Pewnik w tamtejsze czasy.

A dziś kolumny ciężkich gazet
Koszmarne cięń zalega
I światu tak, jak przeszłym razem
Cięń grozi... Ja ostrzegam,
Ja cięń rozdzieram... Gdzież ty jesteś
Mój Johny Smith, kolego?

Może gdzieś oskard Twój zażarty,
W Weld żyły węgla lamie?
Może trzewików skrzyp wytartych
W zamglonym Birminghamie,
Słychać, gdy łazisz po bulwarze,
Głodny, w okropnym stanie.

Ale to jedno mógłbym przysiąc —
Co najświętszymi słowy —
Iż w „izbie niższej” ani „wyższej”
Nie słychać Twojej mowy,
I że w dyplomatycznym blichtrze
Nie jeździsz dziś na „łowcy”.

Lecz ja się pytam, czemu milczysz,
I jak Ty milczeć możesz,
I wierzyć w czystość tamtej sprawy,
W błogosławieństwo Boże,
Gdy tam szalenieć jakiś krowawy
Ognisko nasze porze?

Ten ogień żarzy się, nie ostygnął
I nikt już go nie zdolen
Wyłamać z serca ludzi prostych
Bagnetem swych patroli.
Artykułami prasy kupnej,
Sesjami obcej woli!

Tak im powiemy chyba, Johny,
Ty stary mój kamracie,
W imieniu prostych a bezdomnych
W obszernej globu chacie
Powiemy — zbirom i rakarzom,
Co chcą nas wojną tracić.

R. 1948.

przeł. Tadeusz Chrościelewski

*) St. Rychliński, „Przeobrażenia społeczne w Stanach Zjednoczonych” 1937 r.

mu zorganizowane, współpracujące społeczeństwo? Czy zło tkwiło w tym, że potomkowie chłopów pańszczyźnianych przemienili się w robotników — producentów o wyższej technice, mogącej zaspokoić potrzeby wszystkich ludzi? Ze społeczny charakter ich pracy podniósł kulturę człowieka, również człowieka na wsi, w pracy rolniczej? Ze zniknął stan wieśniaczy, jak zniknął feudalny jego odpowiednik — stan szlachecki?

Nie, w tych przeobrażeniach nie tkwiło zło ustroju. Tkwiło ono w sprzeczności pomiędzy tym (przemysłowa produkcja, społeczna produkcja, robotniczenie klasy produkującej), co zawiera się w Engelsa pojęciu: społecznej produkcji a kapitalistycznym przywłaszczeniem. Kapitalistycznemu przywłaszczeniu podlegała wieś, ale tylko w części swej doznawała sprzeczności pomiędzy tym przywłaszczeniem a społeczną pracą (służba folwarczna), w całości natomiast i w pełni tylko klasa robotnicza — proletariatus.

Dlatego jej rola w kraju „chłopskim”, w kraju półkolonialnym nie tylko nie maleje, ale zyskuje na znaczeniu. W niej bowiem, jako ogniwie mas ludowych, w niej przede wszystkim, uświadamia się w imieniu wszystkich mas pauperyzowanych i wyzyskiwanych ustrojowa sprzeczność pomiędzy nimi a burżuazją. Bez niej i poza nią chłopstwa wieś ma przed sobą tylko rewolucję burżuazyjną a nie antykapitalistyczną.

Między rokiem 1913 a 1939 mogliśmy oglądać trzy formy wrastania wsi w kapitalizm. Wokół możliwości reformy rolnej deptała statecznie klasa kulaków. „Piast” życzył sobie reformy z wykupu, czyli dalszej, dobrowolnej, tyle, że przyspieszonej licytacji majątków obszarniczych. Wykupiliby parcele kulacy, dla siebie rezerwując awans społeczny i ekonomiczny. Średnia własność, solidna podbudowa liberalnego ustroju. Lata międzywojenne nie otwały bram przemysłu dla odpływu ludności wiejskiej. Osiem milionów zbędnych na wsi zmusiło ośrodki chłopskiej orientacji antyrobotniczej do pogodzenia się z myślą wydania folwarków ziemiańskich na łup szerszego kręgu chłopskiego niż klasa kulacka. Wobec tego uznano tu rewolucję, ale z r. 1791, niespełnioną u nas Rewolucją Francuską. Zrobiono wszystko, aby zdobyć przez biedotę parceli stało się jej celem ostatecznym. W publikacjach i propagandzie odrodził się kult zagrody, wieczystego znamię chłopskości. Wyraźnie rewolucja miała być powrotem do dawnych form i stosunków, szczęśliwie upowszechnionych na wsi. Ale właśnie dlatego, że rewolucja miała być w treści burżuazyjna, w swoim „na jutro”, lokowała się w łóżysku kapitalizmu imperialnego — faszystowskiego. W takim tylko kapitalizmie była szansa na rozminięcie się z klasą robotniczą, z jej osiągnięciami (produkcja przemysłowa, uspołeczniona, robotniczenie ludności) i celami (obalenie ustroju kapitalistycznego). Projekt „Izby gospodarczej z hierarchicznymi ogniwami”, który miał utrwalić warstwę chłopską w pozycji klasy zawodowej rolników (a to nie w kij dmuchał — 70 proc. ludności!), włączał się żywcem w pierwsze próby korporacyjno-stanowego zorganizowania narodu, jakie podjęła faszystowska sanacja. Z tego samego ośrodka „młodej” myśli ludowej wystrzelały koncepcje, konsekwentnie budujące przyszłość warstwie chłopskiej, jako korporacji właścicieli parcel. Za mało parcel? Za małe parcele? — szukajmy ich za granicami kraju!). Na tej drodze można zrozumieć hasło „Blut und Boden”. I trudno zaprzeczyć zbieżności. Tu się otwierała straszliwa zgodność kraju „chłopskiego”, kraju półkolonii z imperialistą, sposobniącym się do skoku inwazyjnego.

Od dziesiętnastowiecznego liberalizmu Witosa, który głosił „trzeba czasu i wysiłku, czasu i wytrwałości”, a kto „mądry i mocny” dojdzie do swego — doszliśmy w 30 lat później.

*) Patrz: artykuł Tepichta w tym samym numerze „Wiś”.



Kobieta polska

Pablo Picasso

źniej do mitu warstwy chłopskiej, dla której trzeba „miejsca”. W tej fazie mogła być mowa tylko o zwyrodniałym wrastaniu w kapitalizm. Bo chłop Witosa, chłop „czasów Witosa”, to jeszcze ci z „Wesela” Wyspiańskiego, bogacący się zapraszają panie radczynię z miasta na wesele. Po prostu — mieszczańską. Na tej drodze nie znika kapitalizm, ale też nie znika jego szansa rozwojowo produkcyjna w kraju.

W 30 lat potem sukcesorzy w prostej linii oderwać chcą warstwę chłopską od miasta, od klasy robotniczej, oderwać (70 proc.) naród od funkcji industrialnych. Naród chłopski swą wielkość osiągnie przez rozszerzenie miejsca, spełni prawo do ziemi (bo chłopski), inne spełni prawo do przemysłu. Wymlana dóbr potwierdzi zasadę odrębności narodowej i ważności ekonomii rolnej! To nie żart. Trzy lata temu „Gazeta Ludowa” tak sobie wyobrażała cyrkulację gospodarczą pomiędzy Polską a zagranicą, antycypowała plan Marshallowski.

Fakt, że w kraju „chłopskim” wieś przeludniona, wytwarzająca osobliwy rezerwuwar bezrobocia na gospodarstwach od średnich poczynając, a na „kiesie” parceli małorolnych i kacie komorniczym kończąc, nie stanowiła (poza folwarkami) bazy dla zaistnienia sprzeczności między społeczną produkcją a kapitalistycznym wyzyskiem — fakt ten no-

zwoił Leninowi wyciągnąć konsekwentny wniosek, że wobec tego dźać się tu musi inaczej, niż w sytuacji proletariatus, który pogłębia się w przeciwieństwie do burżuazji. „Drobne gospodarstwo indywidualne rodzi kapitalizm i burżuazję stale, codziennie, co chwila, żywiłowo i w skali masowej”. To było odkrycie adekwatne dla kraju o kapitalizmie niedorozwiniętym... „w skali masowej”! I było też zrobione w Rosji!

Istniało tu jedno ogniwo z dwu w definicji Engelsa. Istniało „przywłaszczenie kapitalistyczne”. W kręgu węższym, na miejscu: zatrudnienie siły najemnej przez kapitalistę wiejskiego, system obróbki, lichwa zbożowa i pieniężna, wyzysk bogacza przez spółdzielnię, przez kasę pożyczkową, spółkę nasienną, maszynową itp., przez nacisk ekonomiczny, oddający mu głosami biedoty wiejskiej mandat na sołtysa, wójta, radnego, członka sejmiku, posta, co w konsekwencji wzmagało i rozszerzało jego formy wyzysku ekonomicznego.

I w kręgu szerszym, zewnętrznym, w punktach zbytu i zakupu, gdzie w zależności od koniunktury rynkowej, nakręcanej przez handlowy i przemysłowy aparat kapitalizmu, tracił i jeszcze raz tracił bardziej biedny, mniej bogaty. Brak drugiego ogniwa — „społecznej produkcji” potęgował uczestnictwo wsi w kapitalizmie „żywiłowe”, nieuprzedmiotowione sprzeczności ustroju. Stąd ta odradzająca się potęga mitu parceli, dla nieposiadających, cenna nawet w cudzych rękach, zarabająca folwarcznych, wracająca imigrantów o dobrych zarobkach w Ameryce.

W takich warunkach, kiedy od zniesienia pańszczyzny narodziła tradycja hipoteki i prywatnej własności produkcyjnej, a wieś rozbita na gospodarzy biednych, bogatych i bezrolnych tylko na folwarkach uzyskiwała wjaźnienie w produkcję społeczną, w swej masie podstawowej mimo nędzy i wyzysku nie była w stanie wyłącznie sama dobrać się myśli o konsekwentnej walce z kapitalizmem, sama wytrwać w niej i politycznie ją realizować.

Dlatego znów z analizy nie innego kraju, jak o niedorozwiniętym kapitalizmie wyrosła leninowska teza o roli zorganizowanego proletariatus, który uzbrojony w bojową ideologię, staje się jądrem ruchu rewolucyjnego, skupiającym wokół siebie osocz ludowe, w pierwszym rzędzie chłopską biedotę małorolną i bezrolną, samo bowiem osocze, cierpiąc wyzysk kapitalistyczny, ale pozbawione energii bojowej i ideologicznej proletariatus musiałoby zmarnieć w ślepych, spontanicznych a nieustanłych aktach reprodukcji choć skrawka indywidualnego gospodarstwa a przez nie kapitalizmu i burżuazji.

Rola klasy robotniczej wzrastała w kraju „chłopskim”, w kraju półkolonialnym nie tylko z tytułu przewodnictwa rewolucyjnego. Ona jedna znajdująca się w mechanizmie

sprzeczności między społeczną pracą a kapitalistycznym przywłaszczeniem, wyjść z tego ustroju chciała nie przez „odejście” od kapitalizmu ale przez jego „przewyższenie”. „Odejście” zjawia się zawsze jako program partii chłopskich, działających w interesie kulaków i pozyskiwanych dla nich średniaków. Pokazywaliśmy trzy formy wrastania w kapitalizm. „Piast” łączył kulaków z drobno-mieszczaństwem ale za tę cenę stłaczał w getcie wiejskim biedniackie masy chłopskie. Agrarystyczne programy słowiańskim mesjanizmem rolniczym ułatwiał kapitalizmowi imperialnemu sprowadzić „balkanizujące” kraje „chłopskie” z pozycji półkolonialnej do kolonialnej, tzn., jeszcze bardziej odciąć je od powiązań z industrialną produkcją i zdobyczami cywilizacji technicznej.

Dla klasy robotniczej sprawa celu rewolucji stała inaczej. Ona chciała i chce odziedziczyć po kapitalizmie technikę produkcji przemysłowej, chce jej otworzyć drogę niehamowanego rozwoju. Ona przedłuża tradycję produkcji społecznej, w niej widząc podstawę do zniesienia nierówności klasowych i do utrwalenia społeczeństwa bezklasowego. Sama będąc klasą, pochodzącą ze społeczeństwa klasowego, swoim aktem rewolucyjnym nie zamienia jednego pana na drugiego, jak to uczyniła Rewolucja Francuska. Przeciwnie, kładzie kres stosunkom klasowym, skoro własność produkcyjną (fabryki, kopalnie, usługową komunikację, banki), w której jej udział był dotąd udziałem społecznej pracy, oddaje państwu jako własność społeczno-narodową. Wreszcie — w konsekwencji samej tylko industrializacji — przewiduje jasno przejście większej części chłopstwa w świat pracy pozarolniczej. W ustroju kapitalistycznym oznaczało to przejście z deszczu pod rybnę, w proletariatus, niewolnika burżuazji. W ustroju ludowej demokracji, w ustroju urzeczywistniającego się socjalizmu oznacza wyzolenie chłopstwa z relikwów feudalnego zamknięcia w gromadzie parafialno-sąsiedzkiej i z kapitalistycznej klasy drobnych posiadaczy i proletariatus wiejskiego, wyzolenie w społeczeństwo bez klas, w jedną, wspólną kulturę.

W klasycznym modelu kapitalizmu rewolucja zastąpiła 20 proc. co najwyżej ludności rolniczej na wsi. Płaszczyzna zatem społeczna obejmująca ludzi pracy w warsztatach i instytucjach uspołecznionych, byłaby niepomniernie wielka. Oczywiście i wymowa takiego stanu rzeczy nie mniejsza. Również sytuacja na wsi pomyślniejsza dla realizacji pełnego socjalizmu, 20% ludności roln. oznacza bowiem: 1) wysoką technikę produkcji, w konsekwencji wyższy stan cywilizacyjny (budownictwo, komunikacja, instytucje, inne zawody itd.), po 2) wyraźniejsze i ostrzejsze rozklasowanie, po prostu: majątki ziemskie i średnie wielkochłopskie oraz wyspecjalizowana klasa robotników rolnych. Stosunek posiadaczy do robotników układałby się co najmniej jak 1 do 9. I tu byłoby refleksy małych gospodarstw, oczywiście, ale ilość ich nie stanowiłaby poważniejszego problemu społecznego. Łatwiej oczywiście w takich warunkach byłoby robotnikom rolnym nie parcelować a oddać farmy wzorem robotników innych gałęzi produkcji na własność państwu ludowemu i pozostać w systemie społecznej produkcji.

Proces scalania parcel w większe obiekty produkcyjne, proces rozwoju maszynowej techniki i produkcji społecznej jest na wsi nieunikniony. Będzie to dziełem zarówno kapitalizmu jak socjalizmu. W kapitalizmie droga odkupu gruntów, użycie siły najemnej na prywatnej farmie i wszelkich innych wymienionych już form wyzysku, stosowanych przez kapitalistów wiejskich. Mimo ustroju ludowego stojmy w obliczu takiego właśnie rodzaju „postępu” u nas na wsi. Podstawą dla odnowienia się kapitalistycznych form produkcji jest nienaruszony stan prywatnej własności rolnej chłopów. Ten zatem stan przedłuża walkę klasową na wsi. Zmieniła się jednak po rewolucji i reformach sytuacja, teraz naprawdę osamotnieni są kulacy, na opiekę i pomoc liczyć może podstawowa masa mało- i średniorolnych gospodarstw. Mniejszy wymiar podatku, nasiona, nawozy, maszyny, kredyty, stypendia dla uczącej się młodzieży itd., są dla nich. Proces ten przebiega przez organizacje, zrzeszenia, instytucje, spółdzielnie. Albo zapanuje tu siła biedoty o społecznej odpowiedzialności, albo kulacy. Zatem walka klasowa. Zatem rosnąca świadomość samopomocy biednej wsi. Zatem wyjść w posiadaniu wyższych narzędzi pracy, wyższej wiedzy i organizacji produkcji. Kapitaliści wiejscy metodą posiadania prywatnego, biedni zbiorowego. I ta droga przy sprzyjających warunkach szybkiego rozwoju przemysłu socjalistycznego i nagromadzenia finansowych środków inwestycyjnych, pozwoli im niezależnie się od kapitalistów wiejskich i od własnych obciążeń drobno-towarowej produkcji, która odradzając kapitalizm żywiłowo i w skali masowej będzie znajdować i znajduje masowe ofiary wśród nich samych.

„Dla kogo jest pomyślana spółdzielczość? Przecież nie jest wymyślona dla kopalni, fabryk, hut, tylko dla drobnych wytwórców” — pisze min. Minc w „Nowych Drogach” (Nr 10). Jej cechą podstawową jest dobrovolność. I dlatego spółdzielczość spełni rolę dobrovolnej szkoły uczącej produkcji społecznej i społecznej koncentracji gospodarczej. Ale dlatego ta szkoła i ta nauka będzie walką klasową biednych o wyłączenie kapitalizmu ze wsi, czego chłopom ani dać, ani nadać nie można. Takie rzeczy osiąga się samemu tak dalece, że i „przełom psychiczny” bywa w tym procesie naszym dziełem.

Jan Aleksander Król



Witryna. Domu Uniwersyteckiego. Plac Sorbony — Paryż

Tadeusz Rokitnicki

SPRAWY „KOŁOROWYCH”

(Refleksje po konferencji Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej)

Zanim Gilip Raychodury delegat Indii stanął mi żywo w pamięci, po tygodniu, gdy słuchałem transmisji z Kongresu w Obronie Pokoju i natknąłem się na przemówienie Juliana Huxley'a, który polemizując z tezami Fadijewa i Chałasińskiego wyraził swój żal, iż „niektórzy delegaci” nie ustosunkowują się pozytywnie do... niepodległości Indii, Burmy, Cejlonu oraz do tworzenia samorządów w innych koloniach.

Pięciuset słuchaczy szybko pojęło wymowę tego dziwnego uśmiechu.



G. Taganadha Redoli, reprezentant Indii

„Przyjaciele! znane jest powiedzenie, że mieszkańcy Indii „wzecznie są młodzi”. Jest ono trafne w tym znaczeniu, iż młodo umiera. Ponad 40 proc. wymiera w wieku od 0—15. Jedną z zasadniczych przyczyn jest tu eksploatacja pracy dziecięcej. W jednym tylko Dakarze w 72 plantacjach herbaty ponad 21 proc. ogólnej liczby pracowników to dzieci poniżej 12 lat. W fabrykach tekstylnych Gwaliduru pracuje około 71 proc. dzieci. W wielu miastach — mówca cytuje protokół komisji SFMD — widziało się chmary dzieci pracujących przy czyszczeniu przewodów kanalizacyjnych. W tkalniach Kosziniu pracują dzieci w wieku 4—6 lat. W fabrykach szelaku, gdzie również wielki odsetek małoletnich — niskie sufity, skandaliczny zaduch, pod stopami wściekle śmierdzące kałuże. W fabrykach tytoniu dzieci pracują w klatkach, bez wentylacji, przy zabitych i zakratowanych oknach. Tysiące dzieci pracuje na szachtach, głęboko pod ziemią. Na plantacjach dzieci wykonują te same prace, co dorośli i jak oni, pracują 10 godzin (przerwa 5-minutowa). Nic się nie przedsiębierze, by dostarczyć pracującym chociaż wody. Dzieci poddaje się niejednokrotnie chłoscie, by zwiększyć tą metodą wydajność pracy. Średnia płaca robotnika od pierwszej wojny światowej utrzymuje się niezmiennie w wysokości 15 rupii. Przez ten czas siła nabywcza pieniądza obniżyła się o 400 proc. Zapłata za dniówkę dziecięcą wynosi 2—3 annasy (2 annasy kosztuje w Indiach gazeta). Nieprawdopodobna niskosc tych stawek jest główną przyczyną tak szerokiego praktykowania pracy małoletnich. Oplaca się. By zwiększyć „frekwencje”, płaci się dorosłym obciążonym licznymi rodzinami specjalnie niskie stawki. Toteż do fabryki czy na plantację idą całe rodziny od najstarszego do najmłodszego, by jakoś zrównoważyć nędzny budżet. Nie ma dotąd żadnych świadczeń socjalnych. Uczęszczają punktualnie do pracy, pracownicy z rozwiniętym stadium suchoty, chorzy na malarię, dyzenterię, matki w ostatnim miesiącu ciąży. W przedwzrostym razie przyszłoby umierać z głodu. Poważnie brzmiąca rezolucja, która pozostała na papierze, „państwo” nie zrobiło nic, by polepszyć w jakimkolwiek stopniu warunki pracy i płacy. W nielicznych fabrykach państwowych... panują zupełnie te same stosunki. Przeciętny wiek naszego życia — dwadzieścia trzy lata. Rodzimy się, żyjemy i umieramy w nieludzkiej pracy i najczarniejszej nędzy”.

Na mównicy delegat Algieru, Josif Kraba. Znamy jego kraj dobrze z... bohaterów filmów francuskich, w których cieszą oko malownicze bazyliki bielutkiego miasta. Heroiczni kawalerzyści Cudzoziemskiej Legii galopują w takt „Marsylianki” na dziwnych „zbójców” w zawojach, którzy nie wiedzieć czemu dyszą nienawiścią do europejskiej cywilizacji. „Turystę, który przybywa do nas” — mówi Algierczyk — „zaskakuje kontrast między niebywałym bogactwem kraju a nędzą jego mieszkańców. Algier nie może wyżyć swych dzieci. Przydział chleba wynosi 25 dk. na osobę — chleba z dużą domieszką kukurydzy i innych namiastek. A przecież kraj posiada 10 milionów ha ziemi ornej, doskonałej pod uprawę pszenicy, winogron, tytoniu, roślin

ogrodniczych. 2.910.000 ha lasów daje 400.000 ton drzewa rocznie — jedna szósta produkcji świata. Eksport trawy „alfa” (podstawowy produkt przemysłu papierniczego) daje dochodu 25 miliardów franków rocznie. Otrzymuje eksport fosfatu, żelaza, miedzi. Wysyła się 20 milionów hektolitrowo wina. W naszych lepiankach naszych dzielnic nie ma jednak ani żelaza, ani wina, ani papieru, ani drutu miedzianego. Jakież warunki pracy?” — Mówca cytuje fragment ze sprawozdania jednego z delegatów Krajowej Konferencji Młodzieży: „Pracuję cały dzień przy piecach. Nikt z nas nie ma okularów ochronnych. Oczy wściekle zaczerwienione, pół oślepie od rozpalonego metalu. Nie mamy ochronnych rękawic. Ręce w niezagojonych ranach. Nie mamy drewnianego obuwia do ochrony nóg. Zarabiamy 12 franków za godzinę. Praca tzw. dobrze płatna. Szczęśliwcy, którzy ją otrzymują. Kilogram mięsa kosztuje 300 franków, kombinizon roboczy 10.000 fr”. „Fabryki należą do trustów i spółek amerykańskich, francuskich, angielskich — mówi dalej Algierczyk. —

Stosunki na wsłach: liczba kolonizatorów z Europy, posiadających powyżej 10.000 ha wzrosła od 1930 do 25.153. Parę przykładów: D'Jousse Wkearata — 18.000 ha. Algierskie Tow. w El-Regata — 100.000 ha. Genewskie Tow. w Hetif — 18.000 ha. Ben - Charom — 12.000 ha.

Jednocześnie górna granica 1.338.700 gospodarstw naszych fellaków wynosi 2 ha. Można śmiało powiedzieć, że pomieszczenia, odzież, pożywienie mieszkańców Algieru żywcem są wzięte z epoki kamienia gładzonego. Robotnicy rolni otrzymują od 84 — 110 fr. dziennie. Świadczeń socjalnych nie ma żadnych. Na 38 dzieci w ciągu pierwszych lat umiera 20—25. 50 proc. ludność Algieru to analfabeci. Na półtora miliona młodzieży w wieku szkolnym zaledwie 100.000 — bogatszych — uczęszcza do szkoły. W ciągu ostatnich lat: Towarzystwo Transportu Morskiego zwiększyło swój kapitał ze 143 milionów fr. na 650 milionów fr. Towarzystwo Ziemiście w Blec Taorla z 8 milionów — na 32 miliony fr. Algierskie Tow. Produktów Chemicznych z 42 milionów — na 202 miliony fr”.

Na mównicy młody murzyn, przedstawiciel Senegalu. Jest taki sam i tak samo błyszczą białkami, jak wszyscy śmiešní murzyni z dziecinnych zabawek, popielniczek i popularnych operetek. Mówi zupełnie to samo, co jego towarzyszy z Algieru, tyle, że przytacza inne cyfry.

Na mównicy delegat brytyjskiej Afryki Południowej:

„Prawodawstwo Południowej Afryki posiada więcej ustaw rasowych niż swego czasu hitlerowskie Niemcy. Calkowicie różne normy prawne i etyczne obowiązują czarnych i białych we wszystkich dziedzinach życia, religii, sprawiedliwości, handlu, zatrudnienia, opieki lekarskiej. W Południowej Afryce prawo zabrania szkolenia się zawodowego murzynów. Istnieje specjalna ustawa tzw. „Ustawa o kolorze skóry” — z roku 1926, która zabrania tuziemcom wykonywania prac wymagających kwalifikacji. Po dwóch wiekach „opieki” białych, na 8 milionów murzynów nie ma ani jednego czarnego inżyniera, architekta, nawet mechanika. 8 milionów mieszkańców może liczyć jedynie na pracę dorywczą. Tę dość szczególną politykę pracodawcy dyktuje: 1. łatwość korzystania w takim wypadku w każdej chwili z taniej siły roboczej. 2. niedopuszczenie do zawładnięcia się Zw. Zawodowych. Murzyn w ciągu swego krótkiego, nie przekraczającego zazwyczaj 36 lat, życia nieustannie szuka pracy. Długie o-

kresy bezrobocia czynią życie piekłem. Warunki pracy i płacy urągają wszelkim pojęciom cywilizacji. Ksiądz Michał Scott — bohaterki orędownik naszej sprawy, skazywany za to niejednokrotnie na więzienie, pisze, że w fermach Transvaalu czarni pracownicy rolni poddawani są częstokroć chłoscie i żyją w nieustannym lęku.

W najbogatszych w świecie kopalniach złota stawki czarnych robotników podwyższone zostały od 1917 r. zaledwie o dziewięć pensów. Trzeba wziąć tu pod uwagę niezmierny wzrost cen od tego czasu. Górnicy zaczynają pracować na tych kopalniach w rozkwicie sił, lecz po 18 miesiącach jest to już bezsilny, chory na suchoty starzec. Jeśli śmiertelność nie obniży się, to za jakie 100 lat nie będzie już w Poł. Afryce ani jednego murzyna. Wydatki państwowe na policję i więziennictwo wynoszą 3 miliony f. szterl. Procent przepięszości jest tu najwyższy w świecie. Nie dawno miał miejsce następujący fakt. W prowincji Chateb robotnicy indyjscy postanowili otworzyć szkołę techniczną z funduszy zebranych drogą dobrowolnego opodatkowania się. Wywołało to niesłychane oburzenie białych oraz groźby, iż w razie realizacji zamierzeń, budynek zostanie natychmiast zdemolowany. Jeśli się zdarzy — zdarza się zresztą rzadko i jedynie przy zająciach nie wymagającym kwalifikacji — iż biały i czarny wykonują tę samą pracę, biały otrzymuje 2 — 6 funtów dziennie, czarny 2 szyl. 9 pensów”.

Wypowiedzi cytowane, ponadto wypowiedzi delegatów Chin, Burmy, Cejlonu, Marokko, wskazują jasno i wyraźnie, iż, wbrew propagandzie anglosaskiej, która stara się zasugerować swym najszlachetniejszym jednostkom (Huxley) oraz opinii świata mił o rzekomym kulturalnym i ekonomicznym bogactwie krajów kolonialnych i zależnych, warunki życiowe fantastycznie ubogie ludności tubylczej nie tylko, że nie poprawiają się, lecz w ciągu ostatnich lat uległy znacznej zmianie na gorsze, jednocześnie wybitnie podniosła się krzywa dochodów kapitalisty. Zjawisko to posiada zresztą zasięg ogólnosiwiatowy.

Ponad piętnastu delegatów krajów kapitalistycznych Europy i Ameryki sygnalizuje na tej samej konferencji niesłychane zaostrzenie się kontrastów między nieliczną grupą „monopolistów, trustów i karteli a olbrzymią resztą ludności, której przychodzi płacić wszystkie straszliwe koszty wojny”.

W koloniach proces ten przebiega najdrastyczniej. Przyczyna: celowo podtrzymywane przez eksploatatorów zapóźnienie kulturalne oraz argumentowane tym zapóźnieniem — uporczywe zamykanie odległych granic przed zdobyciami socjalnymi rewolucji liberalnych XIX w. i europejskich ruchów robotniczych.

Na szczególną uwagę zasługują wystąpienia przedstawicieli młodej Francji i Włoch — ukazują wyraziście drugi proces. Wyrósł on z łożyska pierwszego i obecnie zdecydowanie zmienia geografie wpływów kapitalisty. Proces ten przewidział przed 33 laty Lenin — (rozprawa: „Imperializm jako ostatni etap kapitalizmu”). Jest on konsekwencją działania wykrytego przez Lenina „prawa nierównomiernego rozwoju”. Rozchwianie się równowagi między kapitałem USA a kapitałem pozostałych państw o tej samej strukturze gospodarczej — automatycznie pobudziło do działania w skali światowej „prawo silniejszego potencjału gospodarczego”. Polityka ekonomiczna USA niszczy siły produkcyjne bliskich sobie ideowo i strukturalnie państw

i działa w kierunku ich katastrofy gospodarczej, a tym samym zaostrza proces pauperyzacji świata pracy w swym obozie, co mobilizuje dalsze miliony rozgoryczonych na system.

Sygnalizowana przez poszczególnych mówców gwałtowność owych zjawisk świadczy, że imperializm wkracza w swą szczytową, szczególnie ostrą fazę.

W reportażu, który powinien właściwie pokazać całość konferencji lub też sytuację na jednej płaszczyźnie wszystkich narodów, wydobyciem przede wszystkim problem kolonialny. Czynie to, ponieważ:



Delegacja młodzieży zagran. w Warszawie

1) Kolonie stanowią w mechanizmie systemu kapitalistycznego aparat szczególnie ważny. Są one podstawowym rezerwuarem energii zasilającej system. Odmówienie postępowania przez aparat stanowiłoby śmierć systemu.

2) Szczególną cechą struktury społecznej krajów kolonialnych jest niska liczebna klasa, w interesie której leży zachowanie dotychczasowego systemu, (stos. liczniejsze w półkoloniach — krajach zależnych, w koloniach właściwych — Kongo, Kenia, Złoty Brzeg — niemal zero). Liczba proletariatu grubo przekracza miliard — połowę mieszkańców globu.

3) Proletariat ten jest na ogół pod względem miejsca zajmowanego w systemie, grupą nieróżnicowaną — funkcje najniższe szczebel, w koloniach sensu strictiori. Przyczyna: bądź wyraźne uprzedzenie rasowe kolonizatora — przykład Afryki Poł. — bądź beznamiętna polityka izolacji kulturalnej: niepokonalne trudności w zdobyciu awansu kulturalno-społecznego. Proletariat ten nie posiada, lub posiada w stopniu niedostatecznym, uprawnień, jakie liberalne konstytucje i ustawodawstwa pracy gwarantują proletariatu białemu. Te dwie okoliczności wykluczają wytwarzanie się osłabiających ruch orientacji kompromisowych, w rodzaju prawicy socjalistycznej w Europie — determinują jednolity front.

W bardziej zaawansowanych kulturalnie półkoloniach sprzyja krzepnięciu tego frontu polityczne dążności wyzwolenicze. Kolonie i półkolonie, z powodu „wygodnych” luzów w regionalnych ustawodawstwach pracy, które pozwalają na niezwykle zyskową gospodarkę rabunkową, a jednocześnie z powodu łatwości z jaką na wielu terenach opiekunowie, korzystając z pozostawiania swoich wychowanków w archaicznym systemach kulturalnych, odwracają uwagę ich od bezpośrednich spraw świata, który stworzyła Li plunięciem — (m. in. kultywowanie namiętności religijnych, ascezy, anachronistycznych „świątecznych wojen”, regionalnych imperializmów) — uchodzą do niedawna za mocne ogniwa w łańcuchu kapitalizmu.

Dialektyka historyczna i przykład bolszewickiej rewolucji uczy, że tzw. „mocne ogniwa” opartego na wycisku systemu, są w istocie ogniwami słabymi.

Czas wrócić na salę.

Sala entuzjastycznie wita młodzieńczego przedstawiciela Viet-Namu — Nguyn-Van-Huanga. Śniady, krótkowłose chłopiec mówi o ciężkich walkach, jakie toczy niedawno proklamowana republika demokratyczna z francuskimi siłami ekspedycyjnymi, które paląc miasta i wsie, bezskutecznie starają się restaurować doniedawne prawa kolonialne francuskiego imperium: „Nasi żołnierze walczą z zadziwiającym męstwem. Jednym z jego licznych dowodów jest homerycka wyprawa naszej partyzantki aż pod Saigon. Francuzi rzucili przeciwko nam m. in. 15.000 byłych żołnierzy Wehrmachtu, którzy rywalizują ze sobą w okrucieństwie. Na terenach zabranych nam znajdują się liczni... petainowcy, między innymi oślawiony swymi prohitlerowskimi wystąpieniami red. Joulle Aage. Petainowcy „uczą” naszych mieszkańców metodami wystudiowanymi przez gestapo prawdziwej „demokracji”. Potem mówi o reformach socjalnych realizowanych na



Pod angielską opieką... głód w Indiach.

zaplecza frontu i szybkiej drodze młodego państwa, w którym partie liberalne stanowią zaledwie 14% ku republice ludowej. Przedstawiciel ludowej Francji wręcza mu kwiaty.

Gilip Raychodury był skrepowany kanonami głównego referatu. Stanowić on miał podstawę do rezolucji w sprawie zatrudnienia nieletnich. O sytuacji społecznej i politycznej Indusztanu mówi więc młody robotnik rolny, Jan Bhekao: „Indie rodzimych kapitalistów, Ghamszjandasów, Tatów, Dgajuporiów zaprzędanych Londynowi i Waszyngtonowi, nie są krajem wolnym. Pozostajemy nadal w niewoli. Ale jednak ludowy ruch demokratyczny zdołał wyzwolić już prowincję Talangan. Nie podlega już ona ani Kongresowi, ani Lidze Mahometańskiej, ani żadnemu z radzów. 2.000 wsi, 5 mil. Hindusów poznało pierwszy raz, co znaczy wolność, podwójna — narodowa i społeczna. W oswojonych wioskach zawiązały się komitety ludowe, przeprowadzona została natychmiast reforma rolna. Ruch powstańczy obejmuje ostatnio 30-milionowe Madrasa. Nie jest to wiele, jak na 400 mil. naród, ale to dopiero początek. Na Talangan patrzy całe Indie. Prawda, wrzawa w Indiach od dawna, lecz obecnie nie są to już te niepoważane ślepe akty rozpacz, które łatwo dawały się rozlać w misticzno-religijną dewizę „niesprzeciwiania się czynnemu”, tzn. mić lub kierować ku bratobójczym walkom religijnym. Jest to już ruch świadomy celu i zwarty”.

Z grupy żołnierzy Hagany wysuwa się i energicznie wchodzi na trybunę student z półkolonialnego Iraku. Mówi o 20-letniej historii legalnych i nielegalnych organizacji postępowych swego kraju. Przewodzi w nich świeża inteligencja ludowa. Próba sił były żywiołowe demonstracje i strajki, jakimi zareagował obóz postępowy przeciwko służącemu traktatowi przyjaźni z Anglią, z dnia 29 marca 1947: „Walki uliczne rozszerzyły się z taką gwałtownością, że Abdul-Ilal, regent, zmuszony był uchylić układ i dymisjonować reakcyjny rząd Seliga-Ebby. W de-

monstracjach brały udział nawet dziewczęta, które szły na czele manifestacji z symbolicznymi świecami i wieńcami palmowymi. Pierwsze też wznosiły okrzyki: „Precz z angielskim imperializmem”, „Ziemia dla mas ludowych”, „Precz z kułactwem”. Jednakże po kilku dniach zaprzędy kapitałowi angielskiemu regent w porozumieniu z W. Brytanią powołał nowy rząd i rozpoczął ostrą akcję represyjną, w nadziei, iż złamie ruch. Poza to zaś by odwrócić uwagę szerokich mas od walki z imperializmem rozpoczął ostrą propagandę za wojną z Żydami”.

Delegat Algieru, przedstawivszy martyrologię swego kraju, zatrzymał się na chwilę... po czym odrzucił kartki i podniósł głos. Francuskie zadania zaczęło przepalać słownictwo „Marsylianki”: „Ruch wyzwoleniczy rozprzestrzenił się przeważnie wśród ludności berberyjskiej. Ostatnio administracja francuska aresztowała 3 tys. młodych demokratów. Czeka to i nas, tu obecnych. 40 tys. młodzieży strajkowało we wrześniu zeszłego roku. 2.000 górników zamknęło się na 60 dni w kopalni. Po raz pierwszy w historii Algieru strajkowali robotnicy rolni. Zwyciężyliśmy hydrę tyranii, stworzyliśmy Algier Ludu i Demokracji, Algier, który idąc ręką w rękę z bratnimi narodami Unii Francuskiej zajmie należne sobie miejsce w świecie”.

Delegat Afryki Poł. tak kończy przemówienie: „Pomimo to afrykańskie organizacje robotnicze rosną i ogarniają coraz szersze masy. To nie nic nie znaczy, że nie dysponujemy w walce legalnym aparatem. Liczymy się poważnie z tym, że nowy rząd dr-a Malana, do niedawna aktywnego hitlerowca, podejmie wkrótce nową kampanię terroru. Nie damy się. Podtrzymujemy nas przykład obozu postępu całego świata. Za długo gen. Smuts uszcześliwiał Pol. Afrykę „demokracją”. Afryka — dotąd najsłabsze ogniwo kolonialnych ruchów wyzwoleniczych zwycięsko przejdzie ciężką próbę. Wolna Afryka przyniesie wielu milionom szczęście i będzie wielkim bastionem Pokoju”.

W momencie, gdy to mówi, na dalekim Złotym Brzegu ma miejsce pierwsza bodaj w historii tej części Korony Brytyjskiej de-

monstracja w dużym stylu czarnych robotników. Policja dr-a Malana strzela do porzucanych praw weteranów drugiej wojny światowej, jednocześnie Reuter sygnalizuje niepokoje w idyllicznej dotąd Kenii.

Tak to została rozdarta trwała dymna zasłona propagandy, ujrzeliśmy autentyczne oblicze kolonii i półkolonii. W ostatnich latach po wojnie rozwinął się tu wszędzie silny ruch wyzwoleniczy i postępowo-społeczny. Jest jasne, że nateżenie tego ruchu w poszczególnych koloniach i półkoloniach nie jest równe. Te różnice — trzeba wziąć to pod uwagę — załiera w wizji czytelnika i słuchacza równie bojowa treść wystąpienia poszczególnych przedstawicieli aktywnego społecznego tych krajów. Nateżenie ruchu zależne jest od struktury politycznej i prawnej „państwa” czy kolonii, warunków etnicznych, typu i stopnia kultury, wreszcie stopnia izolacji od innych narodów. Dolnym sprawdzianem tego nateżenia jest energia najmłodszych ruchów społecznych w Południowej Afryce, górnym — 100-milionowy zryw angielskich, holenderskich i francuskich kolonii w Pol. Wsch. Azji oraz wrzenie w Indiach.

Jednocześnie wzrasta się wyraźnie aktywność, jak zwykle, gwałtowność i júbilejskiej polityki kolonialnej Anglii. Jedynym, ale za to decydującym błędem tej polityki było wypracowanie metod „wiczystych”, opartych na przekonaniu, iż życie ekonomiczno-społeczne jest niezależne od czasu historycznego. Ofensywa polityczna Anglosasów postępuje obecnie dwutorowo: 1. W koloniach, w których nie dopuścili do wytworzenia się licniejszej burżuazji — rozbudowywanie garnizonów i jawny terror — jak na Złotym Brzegu, w Tanganjce, Kenii. 2. W półkoloniach Bliższej Wsch. i w Indiach, gdzie wykształciły się, mimo wszystko, w oparciu o miejscowych feudałów grupy nacjonalizującej dotąd i niechętniej Anglosasom burżuazji — zjednanie jej za cenę „zdrowego kompromi-

*) Słankowe artykuły kolonialne „Głosu Anglii” m. in. o bogim życiu murzynów i szkolnictwie w Afryce Pol. (Nr 12).

su” — (m. in. zezwolenie na ukonstytuowanie się fikcyjnych „państw” Indusztanu i Pakistanu), skonsolidowanie wspólnego frontu społecznego, by odłąć wspólnie stosować klasyczną metodę odwodzenia uwagi wyzyskiwanych mas od problemów społecznych — Palestyna, właśnie między Pakistanem a Indusztanem.

Metody te już jednak zawodzą: gwałtowny wzrost świadomości społecznej kolorowych sprawia, iż anachronistyczne kolorowe imperializmy i „wojny święte” wyraźnie straciły na dawnej atrakcyjności — silne zniechęcenie szerokich mas ludności arabskiej do sprawy palestyńskiej, słabnięcie waśni religijnych i prądy pojednawcze w Indiach. Burżuazja, stosunkowo nieliczna — dawniejszy błąd Anglii — historycznie spóźniona — dochodzi do pełnoletności w epoce niszczącego stałszy kapital imperializmu amerykańskiego, jest sojusznikiem słabym. Wielka Brytania spóźniła się nie zrozumiałym ongiś ewolucji procesu historycznego.

Spokojny dotąd świat kolonii rozpada się zdecydowanie „na dwie płaszczyzny”: coraz bardziej świadomy i zwarty proletariát i sprzymierzony, na niektórych terenach z miejscową burżuazją imperialista.

W budzeniu się świadomości społecznej kolorowych potężną rolę odgrywa przykład Rosji i demokracji ludowych. Niemożliwe jest uniknięcie przenikania „wieści” przez mur nawet z żelaza. Spokojnie się na konferencji czołwki młodzieży postępowej krajów walczących i krajów, które podwójną wolność już wywalczyły, wolność narodową i społeczną, obecnie kierują siły ku rozbudowie państwa socjalistycznego — stanowią, myślę, istotny sens konferencji. Rozumiejąc to, anglo-amerykańskie władze administracyjne i policyjne starały się za wszelką cenę nie dopuścić do udziału w konferencji delegatów zależnych od siebie narodów, ngerowały nawet... na sali obrad.

Tadeusz Rokitniak

Tadeusz Orlewicz

AUSTRALIA — INDIE — AFRYKA

SPIŻARNIE ŚWIATA

W dziedzinie aprowizacyjnej świat przeżywa okres niedoboru w płodach rolnych i hodowlanych. Braki te sygnalizowane są przez różne instytucje i organizacje przy użyciu rozmaitego rodzaju sposobów obliczeń i dokonywane pod różnorodnym kątem widzenia. W dziedzinie tej grają poważną rolę nie tylko argumenty natury ściśle gospodarczej, ale i tendencje polityczne. Eksport płodów rolno-hodowlanych staje się w rękach krajów o ustroju kapitalistycznym jednym z narzędzi polityki imperializmu gospodarczego.

Wobec takich stosunków, ocena obiektywna, bezstronna i rzeczowa jest szczególnie pożądana. W przygotowaniu takiej oceny bardzo pomocną jest analiza gospodarki rolnej najważniejszych krajów; tych, które są głównymi eksporterami płodów rolno-hodowlanych jak i tych, których ustrój gospodarczy opiera się w ich głównej bazie ekonomicznej na rolnictwie. W skali światowej muszą dojść do całości obrazu i te kraje, które odczuwają w sposób szczególnie drastyczny powojenne zakłócenia na międzynarodowym rynku żywnościowym.

Jeżeli więc dzisiaj pragniemy pokrótce przedstawić sytuację rolnictwa w krajach, odległych od nas o tysiące kilometrów, to czynimy to z pełną świadomością, że świat ze stanowiska ekonomicznego stanowi całość. Tak bowiem jest w istocie, chociaż politycy kapitalistyczni dążą do tego, aby wygodnymi dla siebie barierami poprzecznymi kraje, skłócić je między sobą, a kłótnie wygrać dla swoich egoistycznych celów, dla celów imperializmu kapitalistycznego, broniącego różnymi metodami i chwytami coraz bardziej chwiejących się własnych pozycji.

Dzisiaj zamierzamy mówić o jednym z poważniejszych eksporterów płodów rolno-hodowlanych, jakim jest Australia, a dalej pragniemy opisać sytuację rolnictwa w Indiach, kraju rozdzielonym obecnie na dwa domnia, oraz w Afryce Południowej. Wszystkie te kraje należą do Brytyjskiej Wspólnoty Narodów i stanowią najważniejsze jej członki. Bierzemy pod uwagę oczywiście tylko fragmenty gospodarki tych krajów, ale i te fragmenty powołamy nam w zestawieniu ukształtować sobie pogląd na sytuację W. Brytanii, która przeżywa ciężkie chwile i która bezskutecznie, jak dotąd, walczy o rynki zbytu na świecie ze Stanami Zjednoczonymi A. P.

I. AUSTRALIA

Australia, piąta część świata, jest kontynentem, liczącym blisko 5 milionów km. kw., łącznie z wyspami okolicznymi. Przed wojną według danych statystycznych Australia wykazywała najszybszy i najwyższy wzrost na świecie w produkcji podstawowych artykułów rolniczych. W roku 1937 Australię reprezentował w tej mierze wskaźnik 126 (1928 r. = 100), co dowodzi dużych możliwości rolniczych tego kontynentu. Zbiory pszenicy rosły z 24,6 milionów q w latach z przed pierwszej wojny światowej do 49,1 milionów q w roku 1927. Rośnie też znakomicie powierzchnia uprawna pszenicy, dochodząc w roku 1937 do 5,6 milionów ha. Natomiast plony z 1 ha oscylują w okolicy 8—9 q. Wprawdzie nie wyka-

zuja większych wahań, jak np. w Kanadzie (13 q, 8 q, 5 q) lub Argentynie (7 q, 10 q, 8 q), ale niewiele są wyższe od wydajności w Indiach Brytyjskich, gdzie króluje ciągle gospodarka naturalna.

W roku 1937 Australia zajmowała na świecie szóste miejsce w zbiorach pszenicy. Jej zbiory były znacznie niższe od zbiorów w Związku Radzieckim, w USA, gdzie przeciętne zbiory pszenicy dochodziły do 250 milionów q, ustępowały zbiorom australijskim zbiorom francuskim, włoskim zbiorom w Indiach itp., kształtowały się zaś na poziomie ówczesnych wyników omlotu w Kanadzie i Niemczech. Nie należy jednak zapominać o tym, że zapotrzebowanie rynku wewnętrznego w Australii było stosunkowo bardzo niskie, choćby z tego względu, że ludność jej w latach przedwojennych dochodziła do 7 milionów q (dokładnie — 6.800.000), a gęstość zaludnienia była 1,1 na 1 km². To właśnie zdecydowało o roli Australii jako jednego z głównych eksporterów pszenicy.

Natomiast w zakresie produkcji hodowlanej, a zwłaszcza produkcji wełny, Australia przodowała w ubiegłym okresie. W roku 1937 dzięki olbrzymim ilościom owiec kontynent ten wyprodukował 453,6 tysięcy ton wełny, wyprzedzając zdecydowanie i USA i Argentynę. Ilość ta stanowiła wówczas 1/3 światowej produkcji wełny.

Te dwa zestawienia wskazują na poważny udział Australii w gospodarce świata: udział eksportowy i importowy niemały. Australia jest kontynentem zdecydowanie rolniczym, słabo uprzemysłowionym, choć posiada niemałe bogactwa naturalne, dotąd niewykorzystane. Stąd też eksport australijski składa się w 75 proc. z artykułów pochodzenia rolniczego, w tym masło, mąka, pszenica, wełna, mięso baranie i wołowe, cukier i skóry owcze. Resztę eksportu zajmują surowce, ołów, cyna i cynk. Import jest w całości importem artykułów przemysłowych, fabrykatów i półfabrykatów z wyjątkiem takich artykułów jak herbata lub tytoń, przy czym na pierwszym miejscu stoją w przywozie maszyny i tekstylia.

Naturalną jest więc rzeczą, że na produkcję rolno-hodowlaną położony jest w Australii główny nacisk. Możliwość tego kontynentu zarówno na odcinku rolnictwa, jak przemysłu są poważne, nie są jednak we właściwy sposób wykorzystywane, czemu nie można się zbytino dziwić, znając metody kapitalistycznej i kolonialnej gospodarki i jej wytyczne kierunkowe.

Gospodarka rolna w Australii uzależniona jest w szczególności do dużym stopniu od bardzo wyraźnych wahań ilości rocznych opadów deszczowych i od wysokiego stopnia parowania ziemi. W produkcji rolnej kontynentu pszenica stoi na pierwszym miejscu, zajmując 67 procent ogólnej powierzchni uprawnej, ale pszenica nadaje się najbardziej do uprawy na terenach, posiadających od 15 do 30 cm opadów rocznych. Tymczasem rejestrowane opady w Australii wahają się od 13 do 25 cm. Powstaje problem nawodnienia. Sprawa ta w warunkach australijskich jest o tyle trudna, że istniejące rzeki i zbiorniki wody nie mogą dać z tych samych przyczyn dostatecznej podstawy wyjściowej do właściwego na-

wodnienia. Stąd obserwować można na przestrzeni lat duże wahańia w zbiorach, sięgające 2/3 zbiorów przeciętnych, jak to miało miejsce w r. 1938/39. W roku 1933/34 obszar ziemi znajdującej się pod uprawą zbóż, dosięgnął granicy górnej i dalsze jego powiększenie uzależnione zostało od organizacji nawodnienia, od ulepszeń metod uprawy (słaba wydajność z 1 ha) i od wyhodowania specjalnych rodzajów ziarna siewnego, bardziej przystosowanych do warunków kontynentu.

Poza pszenicą w Australii na dużą skalę prowadzone są zbiory siana (ponad 1 milion ha), owsa (800.000 ha) i zielonej paszy (650.000 ha). Sianokosy są w ilości zbieranej siana nieproporcjonalnie wielkie do innych zbiorów australijskich, ale tu dwa zastrzeżenia musimy od razu poczynić. Przy słowie siano powinniśmy właściwie postawić albo cudzysłów albo dodać od razu określenie wyróżniające: australijskie. To, co bowiem znajdujemy w rubryce sprawozdawczej: siano, nie jest sianem w rozumieniu naszym, ale jest to specjalny rodzaj paszy, specjalna mieszanka, składająca się głównie z pszenicy, lucerny i owsa. Składniki te same z siebie mówią o wartości karmu, jakim jest siano australijskie. Drugie zastrzeżenie to stwierdzenie, że cały dobrobyt Australii w istocie rzeczy zależy od postępu w produkcji wełny, a więc w hodowli owiec. Przyglądając się tabeli ilustrującej wahańia produkcji i cen wełny możemy na przestrzeni lat 1932—1943 stwierdzić, że wahańia w produkcji australijskiej w tej dziedzinie nie mają szczególnie dużej skali rozpiętości, natomiast ceny na wełnę rosły w tym okresie niemal o 100 proc. Te duże wahańia w cenach zależą głównie od wysokości popytu oraz od coraz większego zastosowania surowców zastępczych, a dopiero na trzecim miejscu od podaży wełny, a więc rozmiarów jej produkcji.

Hodowla owiec jest podstawą australijskiego systemu gospodarczego nie tylko z uwagi na produkcję wełny, ale i ze względu na produkcję mięsa. W roku 1937/8 wartość mięsa baraniego, przeznaczanego do spożycia, wynosiła ogółem 15 milionów funtów australijskich, w czym mięso eksportowane liczone na 5,3 milionów f., a mięso, spożyte na rynku wewnętrznym, na 9,7 milionów f. Tu też wymienić należy poważną pozycję, jaką zajmują w australijskiej produkcji hodowlanej i w australijskim eksporcie skóry owcze. Duży dział produkcji hodowlanej — to mięso wołowe, którego wartość produkcji obliczono na rok przed ostatnią wojną na 22,7 milionów f. Spożycie wewnętrzne przekraczało wówczas 75 proc. produkcji, reszta zaś o wartości 4,4 milionów f. szła na eksport przede wszystkim do W. Brytanii i wytrzymywała ostrą konkurencję z mięsem pochodzenia argentyńskiego dzięki zastosowanym nowoczesnym metodom zamrażania.

Dla porównania z innymi obszarami gospodarczymi warto podać, że w roku 1943 liczba owiec w Australii wynosiła blisko 125 milionów sztuk, bydła — 14 milionów, koni — 1,5 miliona, trzody chlewnej — mniej więcej tyle co i koni, oraz ptactwa — około 11,6 milionów.

Obecne starania czynników rządowych idą w tym kierunku, aby zapoznać farmerów z

nowoczesnymi metodami uprawy, bardzo niedawne są bowiem czasy, kiedy ziemia w Australii była uprawiana aż do wyczerpania, a później porzucano ją odłogiem. Maszyny rolnicze i nawozy sztuczne znajdują coraz więcej nabywców. Założono sieć szkół rolniczych i farm eksperymentalnych. Postęp w stosowaniu właściwych metod uprawy powinien być szybki.

Trudno nam obecnie operować bliższymi danymi o strukturze agrarnej Australii. Posiadamy niewiele w tej mierze danych cyfrowych. Z tych jednak zestawień, które mamy przed sobą, można wnosić, że liczba pracujących w rolnictwie spada. Należy to tłumaczyć zastosowaniem maszyn rolniczych i odpływem do miast w miarę postępu uprzemysłowienia. W grupie zawodowo czynnych na rolnictwo przypada 550.000 osób (bez rodzin), podczas gdy w przemyśle było 866.000, w handlu 451.000, w administracji — 232.000, w transporcie — 223.000 i w górnictwie — 68.000 pracujących. Spada również ilość gospodarstw z 253.000 w roku 1938 do 245.800 w roku 1942. Wzrasta jednak ogólny obszar gospodarstw rolnych o 16 milionów ha w tym samym okresie. Oznacza to te same tendencje, jakie panują w rolnictwie USA, a więc tendencje do koncentracji środków produkcji przy kontynuowaniu trybu gospodarki kapitalistycznej.

Sprawy rolnictwa australijskiego są w szczególnym stopniu uzależnione od handlu zagranicznego. W ostatnich latach przed wojną produkcja eksportowa Australii (a więc płody rolno-hodowlane) spotykała się z coraz większymi trudnościami. Na te trudności złożyły się niskie ceny artykułów rolniczych i kurczenie się zagranicznych rynków zbytu. Światowe ceny hurtowe miały w latach przedwojennych wyraźną tendencję zniżkową. Jeżeli przyjmiemy rok 1928 za 100, to otrzymujemy ogólny wskaźnik cen hurtowych w roku 1937 — 50, przy czym dla artykułów przemysłowych mamy wskaźnik — 69, a dla artykułów pochodzenia roślinno-zwierzęcego — 45. Najniższy poziom cen hurtowych na świecie panował w ramach dziesięciolecia (1928 r. — 1937) w latach 1934 i 1935 i wówczas wskaźnik dla cen artykułów przemysłowych wynosił 49, a dla rolniczych — 35.

Na kurczenie się dla Australii zagranicznych rynków zbytu złożyły się dążenia szeregu krajów (głównie europejskich) do osiągnięcia samodzielności gospodarczej w dziedzinie aprowizacyjnej. Te dążenia mimo zwiększenia ogólnej puli produkcji rolnohodowlanej na świecie spowodowały ogólną zniżkę cen.

W konsekwencji takiej sytuacji poziom eksportowych cen australijskich spada w roku 1938 do 65 proc. poziomu w roku 1926. Australia musiała pójść dla utrzymania równowagi ekonomicznej na ustalenie nowego stosunku wartości funta australijskiego do funta sterlinga w relacji 100:125. Uniknięto przez to zwykły kosztów utrzymania, która występowała gwałtownie w wyniku spadku cen na artykuły eksportowe. Gdyby się nie udało zahamować wzrostu kosztów utrzymania stopa życiowa w Australii musiałaby być obniżona, co groziło nowymi komplikacjami natury gospodarczej. Operacja finansowa po-

legająca na zdeprecjonowaniu funta australijskiego, nie mogła jednak odegrać swojej roli, wobec dalszego spadku cen światowych na artykuły rolnicze. Wobec tego rząd australijski nawiązuje do zaleceń Międzynarodowego Komitetu Pszenicznego z roku 1933 i dąży do zawarcia międzynarodowej umowy, mającej ograniczyć obszar ziemi przeznaczony pod uprawę pszenicy. Oczywiście kontrahentami tej umowy mają być głównie producenci artykułów rolniczych na świecie. Kto to jest? Związek Radziecki, USA, Argentyna

uchwycenia pewnych wskaźników porównawczych, dotyczących możliwości tego kraju. Nie określają one jednak jakiegoś stanu trwałego z uwagi na specyficzną zależność produkcji rolnej Indii od opadów. Ponadto w Indiach uprawiany jest: jęczmień, owies, kukurydza i proso.

Ważną pozycję w rolnictwie zajmują rośliny oleiste i strączkowe. Pierwsze z nich są w dużej mierze przeznaczone na eksport, ponieważ jednak eksportuje się je w stanie nieprzerobionym, odbywa się to z dużą stratą



i Kanada oraz Australia. Z wyjątkiem naszego sąsiada — to kraje o ustroju kapitalistycznym. A więc umowa ta, jeżeli dojdzie do skutku, będzie umową szczerą, w skali światowej fragmentaryczną i będzie umową grabieży i rabunku dokonanych na żywym ciele narodów świata. Rzecz jasna, że zawarcie takiej umowy jest bardzo problematyczne, ale sama sprawa rzuca ponuro cienie na perspektywy aprowizacyjne świata.

II. INDIE BRYTYJSKIE; OBECNIE: INDIE I PAKISTAN

Indie, wielki obszar, niemal osobny kontynent z ludnością ponad 400-milionową, podzielone zostały na dwa odrębne państwa: Hindustan i Pakistan. Podział polityczny przy iluzorycznej samodzielności na prawach dominialnych zastrzył walki narodowościowe i wyznaniowe, wpędzając oba kraje w stan chaotycznej migracji ludności, w odciepienie pogłębiającej się nędzy i głodu szerokiego mas. Cała sprawa jest taktyką W. Brytanii. Przyszłość pokaże, jak się ukształtują stosunki na odcinku politycznym w Indiach. Notujemy to jednak, co przyniosły nam ostatnie miesiące, aby podkreślić, że kraj którego rolnictwem chcemy na chwilę się zająć, jest na drodze ciekawych przemian i że przemiany są przedmiotem zainteresowań całego świata.

Bierzemy Indie najpierw jako całość gospodarczą. Gęstość zaludnienia wynosi tu przeciętnie 122 ludzi na 1 km², a więc 100-krotnie większa niż w Australii, a poza Japonią — największa w Azji. Przyrost naturalny jest bardzo wysoki, bo dochodzi w prowincjach centralnych do 43,7 promille. Jest on jednak równoważony bardzo wysoką śmiertelnością, która wynika z częstych epidemii, głodu i katastrofalnych warunków sanitarnych.

Indie są krajem rolniczym z perspektywami na zmianę swego modelu gospodarczego na kraj przemysłowo-rolniczy, o ile finansjera międzynarodowa temu nie przeszkodzi. Na razie 67,7 proc. ludności pracuje w rolnictwie. Siły roboczej w Indiach nie brakuje. Ale przemysł miejscowy ma do dyspozycji w przytłaczającej większości robotników niewykwalifikowanych, a rolnictwo pracuje metodami pierwotnymi. Tradycyjna bierność ludności, a przede wszystkim jej niski poziom życia, do którego z konieczności przyzwyczaiła się, sprawiają, że wydajność pracy we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego Indii jest znikoma. Równie charakterystyczne dla tego kraju są dwa momenty, które decydują w konkretnych przypadkach. Są to: całkowite uzależnienie produkcji rolnej w Indiach od warunków atmosferycznych oraz dominująca rola miejscowego prawa zwyczajowego w kształtowaniu życia gospodarczego kraju i warunków ekonomicznych ludności.

Gleba w Indiach jest glebą suchą, stąd też podobnie jak w Australii sprawa nawodnienia będzie decydującą o przyszłości rolnictwa hinduskiego. Mówi się, że budżet rządu centralnego opiera się na przewidywaniach meteorologicznych. O powodzeniu bowiem zbiorów decyduje monsun południowo-zachodni, który trwa od czerwca do końca września. Jeżeli ten monsun nie przyniesie odpowiedniej ilości opadów, Indiom grozi głód. Dlatego też ten kraj, rolniczo bogaty, wielokrotnie sygnalizuje klęskę głodową.

Do czynników hamujących rozwój gospodarczy Indii, zaliczyć wypada również bardzo małą ilość kapitału rodzimego, inwestowanego w rozbudowę przemysłu. Jeżeli natomiast taki kapitał jest, to nie przejawia większej przedsiębiorczości i obawia się ryzyka, a w konsekwencji dominuje kapitał anglo-saski. Naturalnie, że utrzymanie charakteru rolniczego Indii leżało w interesie W. Brytanii, która pragnęła dla siebie zachować jak najdłuższą chłonność rynku indyjskiego dla swej produkcji przemysłowej. Szybki jednak wzrost wykształconej ludności Indii rozpoczął na rozwój tego kraju w kierunku uprzemysłowienia.

Zbiory w Indiach odbywają się czasem dwa, a w niektórych miejscowościach i trzy razy do roku. Głównym artykułem uprawy jest ryż, który zajmuje ponad 1/3 całej powierzchni użytkowej. Zbiory w ubiegłych latach wynosiły około 30 milionów ton ryżu. Gdzie uprawiany jest ryż, tam nie ma mowy o uprawie pszenicy, pszenica bowiem wymaga wręcz odmiennych warunków glebowych niż ryż. Zboże to jest ziewane niemal we wszystkich prowincjach Indii na mniejszej lub większej powierzchni. Zbiór pszenicy wyniósł np. w roku 1942/43 około 11 milionów ton. Oznacza to, że Indie zajmują trzecie miejsce na świecie co do ilości uprawianej pszenicy. Jeżeli zaś chodzi o jej eksport — to Indie zajmowały w światowym wywozie tego gatunku zboża — piąte miejsce. Dane te podajemy dla

dla gospodarki indyjskiej, a ilości są poważne, bo zbiory dochodzą do 4 milionów ton.

Głównymi artykułami eksportowymi rolnictwa są: juta i bawełna. W roku 1943/44 wyprodukowano około 14 milionów bel juty, z czego połowa poszła na eksport głównie do W. Brytanii. Produkcja bawełny wynosiła w tym samym roku 5 milionów bel. Należy też zwrócić uwagę, że rozszerza się w Indiach aklimatyzacja bawełny amerykańskiej, co w skutkach daje lepsze wyniki niż w Ameryce.

Osobne miejsce zajmuje w Indiach produkcja herbaty i trzciny cukrowej. Produkcja herbaty w roku 1943/44 wynosiła 552 miliony lbs. 80 proc. rocznej produkcji idzie na eksport. W roku 1933 w obawie przed nadmierną zniżką cen wskutek nadprodukcji herbaty, Indie, Ceylon i Jawa zawarły porozumienie mające na celu ograniczenie produkcji. W wyniku tego porozumienia ceny w okresie pięcioletnia przedwojennego poszły o 58 proc. w górę. Obecnie istnieje tendencja, aby zwiększyć zapotrzebowanie rynku wewnętrznego na herbatę. Produkcja trzciny cukrowej obecnie zaspakajaa potrzeby własne Indii i dzięki wysokim taryfom ochronnym przemysł cukrowy ma szanse dalszego rozwoju.

Indie są na świecie jedynym wielkim producentem laku eksportującym przed wojną około 800.000 cwt. laku. Dużą wagę przywiązuje się do hodowli drzew gumowych, przy



czym istnieje tendencja, aby zmniejszyć eksport gumy w stanie surowym, natomiast rozwinąć własny przemysł gumowy i ograniczyć nadmiernie kosztowny w tej mierze import. Produkcja jedwabiu w Indiach przed wojną chyliła się ku upadkowi, chociaż około 1 miliona ludzi utrzymuje się z hodowli jedwabników. Prymitywne hodowli i produkcji nie pozwolił na prowadzenie z powodzeniem rolgrywki z konkurencją zagraniczną. I tutaj wprowadzono jeszcze przed wojną wysokie taryfy ochronne.

Odcinek rolnictwa wymaga w Indiach szczególnie starannej i wnikliwej opieki rządu. Chodzi tu o poważne zdobycze, którym na drodze stoi bezwład, cechujący hinduskiego rolnika i jego niechęć do nowoczesnych metod produkcji i uprawy. Pierwsze kroki w dziedzinie podniesienia i usprawnienia produkcji w Indiach zrobiła Imperial Council of Agricultural Research. Zalecenia jej były szybko wprowadzone w życie i dążyły nie tylko w kierunku opracowania właściwych metod uprawy, ale i usprawnienia aparatu rozdzielczego przez wyeliminowanie długiego łańcucha pośredników, jaki istniał pomiędzy małym producentem, rynkiem hurtowym i konsumentem.

Oto kilka ogólnych danych o gospodarce rolniczej Indii. Z uwagi na utworzenie dwóch państw na tym terenie wypada nam zapoznać się z tym, co każdemu z nich dostawało się z dobrodziejstw inwentarza. Po dokonaniu podziału dominium Indii nie utraciło prawie niczego z naturalnych i przemysłowych bogactw Indii Brytyjskich. Pakistan stał się natomiast krajem stosunkowo bardzo ubogim w minerały i przemysł. Pakistan w porównaniu do dominium Indii — to kraj zdecydowanie rolniczy o dużym odsetku ludności koczowniczej, zajmującej się hodowlą bydła. Potencjał gospodarczy Pakistanu, a raczej jego głównej bazy ludnościowej — muzułmanów, tkwi głównie w przestarzałych półfeudalnych latyfundiach. Dominium Indii ma obiektywnie znacznie większe możliwości rozwojowe i w dziedzinie rolnictwa i w dziedzinie przemysłu.

W rolnictwie dominium Indii objęło ogółem 13.557.904 ha powierzchni uprawnej dla 6 podstawowych kultur (juta, bawełna, herbaty, ryż, pszenica, trzcina cukrowa) Pakistan przejął ogółem — 4.652.142 ha. W podziale tym Pakistan otrzymał tylko większą od Indii powierzchnię uprawną juty, natomiast zdecydowanie przeważa dominium Indii w innych kulturach, zwłaszcza zaś w powierzchni uprawnej bawełny.

Warto przeanalizować dwie pozycje, stano-

wiące podstawowe pożywienie ludności, a więc ryż i pszenicę. Pakistan posiada 2 miliony ha ryżu i 1,2 miliona ha pszenicy. Dominium Indii zatrzymało 6,8 milionów ha ryżu i 1 milion ha pszenicy. Dominium Indii liczy mniej więcej 240 milionów ludności, a Pakistan — do 80 milionów osób. Stosunek ten wyraża się więc jak 1:3. Podział co do powierzchni uprawnej został zatem pozornie dokonany idealnie. Kwestia ryżu staje pod znakiem zapytania. Gdybyśmy przyjęli równomierny rozwój rolnictwa w obu krajach, sytuacja mogłaby nie nastęrczać poważnych kłopotów. Ale rolnictwo dominium Indii w połączeniu z silnym zapleczem przemysłowym ma szanse szybkiego rozwoju i większego dynamizmu. Tego nie można powiedzieć o Pakistanie. Przeciwnie, gospodarczo będą się pogłębiały i na tym odcinku. Można przyjąć stopniowe podwyższenie się stopy życiowej w dominium Indii przy stopniowym (w porównaniu) spadku tej stopy w Pakistanie. Oczywiście występuje tu kwestia poziomu, z którego start się odbywa. Trudno jednak mniemać, aby przeciętny poziom życia mas w Indiach i Pakistanie był zadawalający. Takie twierdzenie zakrawałoby na bolesną ironię. I tu tkwi sedno zagadnienia. Ahi Indie ani Pakistan nie mogą sobie pozwolić na obniżenie i tak katastrofalnego poziomu życia rolnika i robotnika. Indie mają warunki na pokonanie trudności. Inną rzeczą jest, czy z tego będą umiały lub mogły skorzystać. Pakistan warunków obiektywnych na to nie ma, bo jest krajem biednym, odciepiętym od portów, krajem feudalnych zwyczajów i latyfundiów. Obydwa kraje są z natury predestynowane do ścisłej współpracy gospodarczej. I tu i tam należy oczekiwać poważnych reform gospodarczo-społecznych, które obydwaj kraje powinny we własnym interesie przeprowadzić jako swoją sprawę wewnętrzną bez ingerencji hamującej czynników obcych.

III. ZWIĄZEK POŁUDNIOWO-AFRYKAŃSKI

Z Australii poprzez Indie przechodzimy do Afryki Południowej, trzeciego, wielkiego i ważnego w Imperium Brytyjskim zespółu gospodarczego. Kraj ten ma ciekawą historię, która płacze się w pamięci naszej młodości na tle walki Boerów. Od roku 1931 Afryka Południowa jest państwem dominialnym, złączonym z Imperium jedynie osobą wspólnego monarchy.

Potencjał rolniczy Związku Południowo-Afrykańskiego jest bardzo ograniczony. Tylko 30 proc. terytorium południowo-afrykańskiego ma przeciętną 60 cm opadów rocznych,

wplynęła w sposób dodatni na rozwój produkcji rolnej, ale przyszedł spadek cen na płody rolno-hodowlane na rynkach światowych, który automatycznie wpłynął na ceny na rynkach wewnętrznych.

W dalszej konsekwencji spada naturalnie udział rolnictwa w dochodzie społecznym Związku Południowo-Afrykańskiego. Z 20 proc. w roku 1924/25 spada on na 13 proc. w ostatnim roku przedwojennym. Nie uległ analogicznym wahaniom stan zatrudnienia w rolnictwie. Utrzymywał się on na poziomie 64 proc. ogółu pracującej ludności kraju, co spowodowało dalszy spadek stopy życiowej rolników. W rezultacie obserwujemy odpływ ludności z rolnictwa do przemysłu i miast. Pozostawali w zasadzie ci, którzy produkowali lub pracowali przy produkcji ochranianych przez państwo artykułów rolniczych, a więc takich, jak: cukier, żyto, masło i kukurydza. Taka polityka protekcyjna utrzymywała w rolnictwie farmerów używających niewydajnych gospodarstw metod produkcji.

Na roli pracują w olbrzymim odsetku robotnicy kolorowi, których miejscowa statystyka dzieli na Hindusów, kolorowych i tubylców. Z zestawień wynika, że w rolnictwie pracuje 17.000 Hindusów płci obojga, 82.000 kolorowych i 600.000 tubylców. Razem stanowi to 699.000 par rąk do pracy, pozostających w kregach dyskryminacji rasowej i upośledzenia prawnego. Nadspodziewanie dużo w rolnictwie pracuje Europejczyków, bo blisko 200.000 osób. Jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę, że Europejczycy trzymają w swych rękach 107.000 gospodarstw, to okaże się, że na każde gospodarstwo przeciętnie przypadnie po 2, natomiast kolorowych — 8 osób. Bardzo ciekawy jest podział ziemi uprawnej pomiędzy Europejczyków a kolorowych. W roku 1939 Europejczycy prowadzili 107.536 gospodarstw o ogólnym obszarze 100.721.671 mórg, tubylcy zaś — 105.700 gospodarstw, pokrywających 100.433.000 morgi. Przeciętna przypadająca na jedno gospodarstwo jest niemal identyczna z tym jednak, że w stanie posiadania Europejczyków 85 proc. ilości gospodarstw to farmy o powierzchni 2000 mórg, a tubylcy mają 46 proc. gospodarstw poniżej 100 mórg. Cyfry te są charakterystyczne dla polityki kolonialnej i chociaż nie są jaskrawe jednak mówią za siebie.

Przypomina się nam w tej chwili opowiadanie jednego z znanych, który był w Związku Południowo-Afrykańskim. Przed budującą się dom zajeżdża wspaniałą limuzyną. Z limuzyny tej wysiada elegancko ubrany „biały”. Jest to murarz, któremu jeden kolorowy podaje kieliszek, drugi wapno, trzeci cegłę itd. Obrazek jak z bajki.

Cieszymy się, że robotnik jeździ sam własną limuzyną, ale pamiętamy o tym, że rzecz dzieje się w kraju, w którym kopalnie złota są podstawą struktury ekonomicznej, a udział tego tylko przemysłu w narodowym dochodzie wynosi netto 20 procent a w dochodach państwa — 40 proc., że Europejczycy-fachowcy są tam z kolei cenieni na wagę złota.

Ale tubylcy, ci, którzy właśnie są zmuszeni do usług dla białych? Ci na pewno we wrocławiu ogólnego dochodu narodowego Związku nie uczestniczą w żadnej proporcji. I tu znajomy dodał: — A wiecie o tym, że na jednym z wieczorów dancinowych zakazano orkiestrze grać, ponieważ w lokalu przeznaczonym dla białych, znalazła się osoba, której babka była „kolorowa”? A wiecie, że sierżant Armii Jego Królewskiej Mości tylko dla tego, że jest Hindusem, nie może zająć miejsca w autobusie, przeznaczonego dla białych, choć orderami i kaletwem świadczył o swojej lojalnej służbie dla Imperium?

Oto obrazki, które przy analizie ekonomicznej muszą grać decydującą rolę.

Zagadnienie stopy życiowej ludności tubylczej ilustrują dane wydobyte z tabeli handlu zagranicznego Afryki Południowej. Eksport szedł poza złotem — w 75 proc. do W. Brytanii; w pozycjach eksportowych figurowały artykuły rolnicze i płody hodowlane oraz pochodne, na pierwszym miejscu, przerstając w swej wartości dwukrotnie pozostałe składniki eksportu Związku. Ludność kraju obliczono w roku 1940 na 10.600.000 głów, w tym 2.188.200 Europejczyków. Zbiory w roku 1939 wyniosły ca 500.000 ton pszenicy, kukurydzy 2.500.000 ton itd. Proporcje są wyraźne i konsekwencje eksportu jasne, bo na eksport właśnie składa się: kukurydza, masło, ser, stonina, cukier itp. Ciekawe jest natomiast, że w pozycji importu mamy również żywność i to o wartości mniej więcej 50 proc. takiej samej pozycji eksportowej. Skład importu wskazuje na to, że w tej dziedzinie przeznaczony on jest całkowicie na potrzeby Europejczyków.

Eksportem i importem kieruje polityka kapitalistów, których człowiek interesuje wyłącznie jako narzędzie do pracy lub mięso

DWA TYPY GOSPODARSTW

PO НИЖЕ 100 МОРГ



ПОВЫШЕ 2000 МОРГ



hodowli uzależniony jest od nagminnie występujących susz, wielkich opadów i gwałtownych burz.

Rząd miejscowy czynił duże wysiłki, aby rozwinąć do maksimum produkcję hodowlano-rolną. W grę wchodziły tutaj: poważne dotacje, specjalne taryfy ochronne, szczególnie niskie stawki za przewóz artykułów rolniczych, popieranie badań naukowych w dziedzinie agrarnej, ułatwienia w nabywaniu gospodarstw itp.

Ta ochronna polityka rządu oczywiście

armatnie. Kalkulacja jest prosta: im gorzej jest tym, którzy mają do sprzedania tylko swoją pracę, tym lepiej kapitalistom. Bilans całej transakcji wypada dodatnio dla „białych”, a katastrofalnie dla tubylców. Kryteria gospodarki kapitalistycznej świecą tu swoje ponure triumfy. W ślad za tym idzie jednak coraz bardziej rosnące poczucie krzywdy społecznej, gospodarczej, rasowej wśród tych, którym nie dane było urodzić się „białymi”. A krzywdą nie wydaje się pozycja ważną w bilansie strat i zysków. Tadeusz Orlewicz

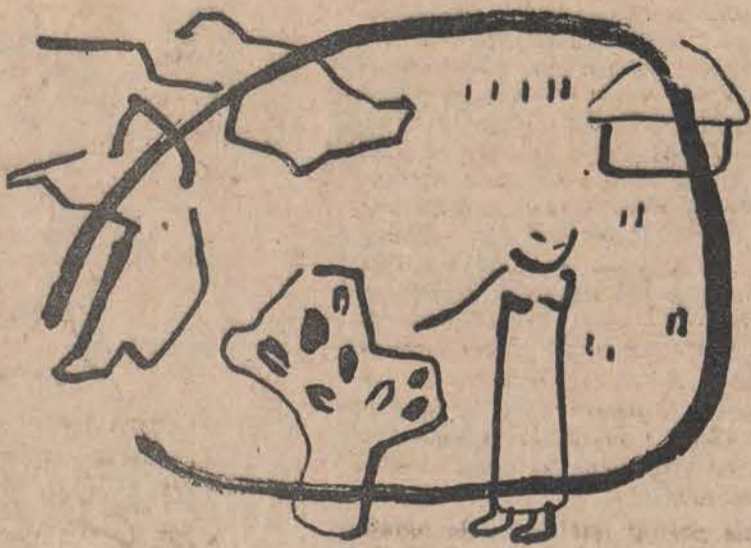
W I E R S Z E

Aimé Césaire

K O Ł O

Koło jest najpiękniejszym i jedynym w swoim rodzaju
wynalazkiem człowieka
Istnieje słońce, które się obraca
Istnieje ziemia, która się obraca
Istnieje twoja twarz, która obraca się na osi twojej szyi
gdy łkasz
Lecz wy, minuty, czy nawiniecie na szpulę życia
chleptaną krew
sztukę cierpienia wyostrzoną jak kikuty drzew przez
noże zimy
łanię pijaną od niepicia
która nieoczekiwanie kładzie mi na cembrowinie studni
twoją twarz żaglowca pozbawionego masztów
twoją twarz
podobną do wioski uspionej w głębi jeziora
która odradza się w dniu kielkowania trawy
i wyrasta z roku

przełożył Włodzimierz Słobodnik



Jan Čarek

ŻOŁNIERZ NIEZNANY

Jam jest żołnierz egipski,
lucznik —
Jam jest perski wojownik — jest nas ogrom,
deszczem strzał wypuszczonych zaciemniamy słońce,
tysiące, a nikogo nie oszczędził pogrom.

Jam jest wojownik grecki,
kocham swą matkę, wielkie słone morze,
walczę pod Troją, ginę w Termopilach,
w falandze pierwszy biję się pod Maratonem,
od Platej niosą mnie na ciężkiej tarczy,
gdy we krwi tonę.

Ja jestem rzymski żołnierz, nie wódz, nie centurion,
lecz ostatni w szeregu,
brzegi morza zalałem krwią,
swym ciałem zgnoiłem Galie.

Jam nie rycerz w pancerzu, tylko jego giermek,
zostawiłem żonę i dzieci,
ruszyliśmy na koniach, skoro świt zaświecił
do Ziemi Świętej —
Jezu Chryste, nie opuszczaj mnie!

Jestem pijany żołdak i wojna jest moja,
kocham wino, kobiety i rwę się do boju,
w karczmie gram w kości i walczę najradziej —
jam żołnierz na barykadzie.

Jestem żołnierzem Austrii,
krwawię we Włoszech, krwawię pod Sławkowem,
tysiąckroć padam,
tysiąckroć dźwigam się znowu.

Nie jestem wojownikiem tylko jednej ziemi,
żołnierz całego świata,
jestem stary jak ziemia, któż zliczy me lata,
ilem razy zabijał, ilem razy padł,
paliłem wioski, gwałciłem dziewczęta,
zmęczyły mnie pochody i krew mi jest wstrętna,
ciężar w glinę mnie wgniata, wina mnie przytłacza —

Ja, żołnierz wieczny,
na ziemi klękam i płacę.

Z czeskiego przełożył K. A. Jaworski.



Madeleine Riffand

RYSUNEK NA SZKLE

Myślę o Duong-Mai.
Rysuję jednym palcem
na szybie jej więzienia.
W centrum to nosorożec.
Biały człowiek w czarnym ubraniu
zasztyletował go. Widzi się krew
wspinającą się po schodach Banku.
Widzi się, jak odważnie walczą z jarzmem
kształtne kopyta i bodzie złoty róg.

Ta kobieta widziana z profilu,
która obmywa zranioną pierś zwierzęcia,
to mała wieszczka pół ryżowych
lub po prostu jakaś chłopka
z płonącej pobliskiej wioski.
Jej ruchy są ptasie lecz spojrzenie ołowiane.

To nie las zwierający się
wokół białego nosorożca.
To tłum partyzantów
wrośniętych w swój teren
jak sosny w skałę.
Skurczonymi ciałami oślaniają oni ziemię ojczystą.

Muszę obwieść jedną grubą kreską
mój rysunek zrobiony z pary
na czerni i chłodzie.

To koło jest murem
który przeciwstawimy napływowi krwi.
Jest to krąg tych, co bronią życia
przyszłych zwycięzców.

przełożył Włodzimierz Słobodnik

Jean Follain

WIGILIA KIRASJERA PRZED BITWĄ

Widać było przez okno jak zajada polewkę.
z fajansowego talerza
w błękitny deseń.
Siostry jego o kokach złocistych
krzątały się po izbie
dzierżąc pokolei każda
trójramienny spizowy kandelabr;
blask płomieni chwilami
barwił mu epoletę na rouge saturne;
świeżo bielone ściany
chłonęły światłość niebios;
w pałacyku swej klatki
gil spał,
gdy pancerz jego wypukły
odbijał wszystko
i ciężkie białe chusty
skrzyżowane na piersiach obu dziewczyn.

przełożył Allan Kosko

Anna Kamińska

LIST Z WROCLAWIA

Muzyka nie jest najlepszym, ani dokładnym sposobem wypowiedzenia się. Nie jest też pewnym środkiem porozumienia, mimo, że nie musi być tłumaczona na obce języki i daje odpocząć całej, technicznej aparaturze dźwiękowej Wrocławskiego Kongresu Intelektualistów w Obronie Pokoju. Sztuka jest podobna, mimo całą różnorodność form, jedna. Najpopularniejszą niemal i najwięcej sympatii skupiającą postacią Kongresu był wielki gość Polski — Pablo Picasso.

A jednak powierzenie pierwszego słowa muzyce byłoby czymś niebezpiecznym i niepokojącym, gdyby nie było także wyrazem ufności i założonej wiary w porozumienie, wiary, która w końcu została przecież usprawiedliwiona i zamknięta przez rezolucję pokojową, uchwaloną olbrzymią większością uczestników Kongresu.

Tak wygląda Kongres po otwarciu go przez Iwaszkiewicza. Pod muzyką można podłożyć wszystkie, najróżniejsze treści zależnie od kulturalnego kontekstu. Poza tym atmosfera, nastrojów wspólnie przeżyty — zobowiązuje. Toteż wielojęzyczność Kongresu zdawiona na początek przez dobry kosmopolityzm Beethovena i Szopena odezwała się i w referatach i w dyskusji.

Kongres był na dobrą sprawę pierwszą tak ogólną imprezą i język jego rzeczywistości adekwatny do współczesności zostanie może sformułowany dopiero przez stały Komitet Łączności Międzynarodowej Intelektualistów, powołany przez Kongres.

Niemniej słabą stroną Kongresu musiała być jego ogólność właśnie, będąc jednocześnie tak ważnym walorem. Zjazdy międzynarodowe fachowców, uczonych jednej profesji, zjazdy pisarzy, mające swoje tradycje, mogą sobie pozwolić zapewne na precyzyjniejszy język dyskusji, na rzeczowość i praktyczność.

Kongres Wrocławski, był zebraniem politycznym, był wielkim wiecem filozofów. I to jest zresztą jego ważność: ostateczne przełamanie izolacjonizmu, rzekomej autonomiczności kultury. Tu nikt nie musiał nikogo przekonywać o zasadniczo politycznym charakterze dręczących świat i ludzkość problemów. Uczni i artyści całego świata zmanifestowali swoje polityczne zaangażowanie. Niezależnie od różnic światopoglądu filozoficznego, stwierdzano w każdym przemówieniu zależność kultury od spraw ekonomicznych i społecznych, świadome lub nieświadome uczestnictwo twórców kultury w wielkich ruchach politycznych.

Świat jest rozdarty — powiedział Iwaszkiewicz. I zebranie najpoważniejszych ludzi naszego czasu w obronie pokoju stało się okazją do nagłego spojrzenia z wysoka, do użycia słów, które nie mają zastosowania w drobiazgowych zabiegach dnia codziennego, jak samo słowo: ludzkość. Oczywiście takie spojrzenie ogólne, ocena sytuacji kultury w wielkiej grze polityki światowej — wymagała pewnych kryteriów humanistycznych, zagadnienie, temat niejako zebrania był sprawą humanistyki, nauk zapóźnionych w stosunku do rozwoju nauk przyrodniczych, fizyki i biologii współczesnej, bardziej, wyraźniej stronniczych i wygrywanych praktycznie. W przemówieniach uczestników Kongresu, naukowców i artystów można było odnaleźć w strzępach elementy wielu systemów humanistycznych. Kongres pozwolił zaobserwować brak wspólnego języka humanistów, nieokreśloność i niezgodność pojęć. Same pojęcia: wojna i pokój. Wojna — czy jest sprawą społeczną, czy sprawą współzycia poszczególnych ludzi, czy wynikiem niedoskonałej natury ludzkiej czy nawet psychologiczną, do której można by zastosować leczniczą metodę psychoanalizy. Oczywiście ważniejsze tu było samo potoczne pojęcie wojny, a jeśli mówię o tym, to dlatego, że Kongres był jednak zjazdem intelektualistów i że w formie listu zawiera się prawo patrzenia oczyma naiwnego. Oczywiście więc jest, że socjologiczne, naukowe dyrektywy referatu prof. Chałasińskiego nie mogły być użyte w dyskusji. Cel zjazdu miał być praktyczny, a wiele przemówień, analizu-

jących sytuację kultury w poszczególnych krajach, było natychmiastową ilustracją do tego referatu polskiego profesora, łączącego wojnę z określonym etapem historii i rozpatrującego jej typy w zależności od systemu ekonomiczno-społecznego, od systemu własności. „Droga do pokoju oznacza równocześnie drogę do nowego ustroju społeczeństwa” — powiedział prof. Chałasiński i nazwał ten ustrój wyraźnie — socjalizmem, nie twierząc jednak, aby walka o pokój musiała się opierać na tej jednej teoretycznej interpretacji.

Sprawa pokoju dla współczesnej ludzkości jest tak wielką i prymitywną sprawą, jak dla poszczególnego człowieka głód, miłość i śmierć. Wobec niebezpieczeństwa grożącego kulturze wystarczy jakaś obszerna, moralna zgoda i woła o pokój.

Przemówienia przedstawicieli państw kolonialnych i tych, które znajdują się w bezpośrednim zasięgu imperializmu światowego, były istotnie relacjami, które mogłyby wstrząsnąć spokojem wszystkich naukowych gabinetów i pracowni artystów. Wojna trwa w Hiszpanii, Grecji, Palestynie, Chinach. Wojna zamaskowana prawem i neutralnością ekonomicznych transakcji jątrzy kraje kolonialne. Wraz z pokonaniem hitlerowskich Niemiec nie wygasł rasizm. Ludzi dzieli się na gatunki, obywateli jednego państwa na obywateli pierwszej i drugiej klasy. Losy murzynów amerykańskich są tego najlepszym przykładem.

Pan Rogge ze Stanów Zjednoczonych prawil o konieczności racjonalnego wychowania ludzkości, proponował też psychoanalizę dla przyspieszenia emocjonalnej dojrzałości świata. Te higieniczne propozycje nie były przekonywujące dla tych, którzy odkrycia podświadomości nie uważali za rewolucję umysłową naszej epoki, jak pan Rogge. Natomiast prawdziwa i piękna dojrzałość emocjonalna byłaby zdolnością głębokiego wzruszenia się losami uciśnionych narodów i klas. Póki istnieje na świecie nędza, poniżenie społeczne, wyzysk i pogarda człowieka, wolelibyśmy nie zwracać sobie głowy, ani podświadomością, ani amerykańską filozofią semantyczną, proponującą uzdrowienie ludzkości w ramach warunków zastanych, czyli po prostu w ramach kapitalizmu imperialistycznego.

Przemówienia intelektualistów z krajów kolonialnych były skargami i oskarżeniami. Epoka nasza, chlubiąca się rozwojem nauki i poszukująca racjonalistycznych autorytetów i to niezależnie od filozoficznego światopoglądu — słyszeliśmy i duchownych na Kongresie — nie potrafi już ukryć statystyk. Analfabetyzm w wielu krajach przekracza 80 proc. ludności. W wielu państwach nie istnieje faktycznie wolność pracy naukowej i artystycznej. Któż broni uczonym belgijskim robić doświadczenia z uranem? Tymczasem cały zapas tego pierwiastka znajduje się w Kongu Belgijskim jest dostępny tylko dla uczonych jednego państwa. Do Belgii nie dociera ani uncja. Postępowi pisarze brazylijscy — stwierdza Jorge Amado — i inni nie mają wjazdu do Stanów Zjednoczonych. Wszyscy pamiętają niedawno fakt aresztowania w Ameryce wielkiej uczonę, reprezentującej na Kongresie Francję i Polskę razem — Ireny Joliot-Curie. Poeta Pablo Neruda wygnany z ojczyzny ukrywa się przed rządem swego kraju.

Wobec tych faktów, wobec ordynarnie drastycznej sytuacji wolności na świecie, ostre wystąpienie Fadiejewa, który nazwał Amerykę policjantem, dążącym do zamiany całego świata w komisariat, a zadanie inteligencji wszystkich krajów określił jako budowanie kultury powiązanej z ludem i codzienne, praktyczne uczestnictwo w życiu politycznym — było usprawiedliwione. Dopełnił je następnie Ehrenburg, mówiąc o drugiej, demokratycznej i postępowej Ameryce, krytykując wszelkie podziały kultury w przestrzeni geograficznej i społecznej. Zakwestionował nawet podział na kulturę socjalistyczną i burżuazyjną. „Nie ma już kultury burżuazyjnej, dziś widzimy tylko burżuazyjne barbarzyństwo”.

Ze mimo to zarysował się w dyskusji pewien zasadniczy spór ideologiczny —

nie było dla nas dziwne. Oczywiście jest, że złe manery, o które oskarżył p. Taylor — historyk angielski przewodniczącego radzieckiej delegacji mogły tylko z pozoru dotyczyć kręgu towarzyskich zwyczajów i zawierać się we wzorze dżentelmena. Dobre czy złe manery intelektualisty to nie tylko sprawa odmiennego wychowania, jak się okazało. W okresie, gdy cały świat wciągnięty jest do walki politycznej, gdy robotnik i urzędnik, gdy zwykły szary człowiek, którym to terminem lubią się posługiwać Anglicy i Amerykanie, nie zdoła utrzymać swej neutralności — niezależnie od manifestowanego stosunku do polityki, dziś i manery oznaczają czasem opowiadanie się za lub przeciw.

Podobnie samo pojęcie pokoju okazało się dziś bardziej uzbrojone, bardziej dynamiczne niż mdły humanitaryzm dawnego pacyfizmu. Wiersz napisany we Wrocławiu przez Eluarda zawiera może zbyt wiele tego dawnego humanitaryzmu, litującego się nad człowiekiem ginącym na wojnie ponieważ jest niewinny, bezbronnym i nieświadomy spraw, o które walczy, za które umiera. Dzisiejsze jednak dyskusje o pokoju dalekie są od chęci kompromitowania walki w ogóle, kompromitowania żołnierza i bohaterstwa wojennego, pokazywania bezsensu walki w ogóle. Termin „mięso armatnie” nie dałby się zastosować wobec tych, którzy w wierszu Eluarda „luttent contre la guerre luttent pour la vie”. Wspominano ze złości o żołnierzach walczących z faszyzmem w ostatniej wojnie. „Biliśmy się o pokój” — mówił Ehrenburg. Dzisiejszy pokój wypowiada wojnę: imperializmowi i faszyzmowi, kapitalizmowi i rasizmowi. Toteż zgoda na taki pokój jest istotnym osiągnięciem wielojęzycznego Kongresu. Zgoda ta oznacza dziś więcej i nawet coś zupełnie przeciwnego do zwykłego „świętego spokoju” dla intelektualistów.

Żądanie pokoju jest żądaniem określonego pokoju. Żądanie kultury żądaniem określonej kultury.

Inna rzecz, że wizja pokoju ma zapewne treść zgoła odmienną dla przedstawicieli Wielkiej Brytanii i Ameryki, odmienną dla krajów Europy znajdujących się w zasięgu planu Marshalla, a odmienną dla państw opierających się ustrojowo o socjalizm. Zwykły, szary człowiek — kategoria z publicystyki i filmu amerykańskiego, kategoria z drobnomieszczańskiej powieści społecznej — i szczęście tego szarego człowieka są troską dobrej woli Amerykanów. W wyobraźni historycznej socjalizmu pojęcie klasy społecznej odgrywa bardziej dynamiczną i heroiczną rolę w wizji pokoju. Jasna jest rola literatury w kształtowaniu tych społeczno-moralnych pojęć i wyobrażeń. Literatura, na której wychowano młodych faszystów w Niemczech i we Włoszech nie podawała zapewne dostatecznych racji dla potępienia wojny, dla umiłowania pokoju.

Tak więc sprawa wychowania przez kulturę musiała być decydującym problemem Kongresu w Obronie Pokoju. Pisarz, intelektualista, reprezentant kultury — to samo nie znaczy już — pokój. Intelekt nie zawsze zbawia i ocala. Wojna pokazała to nadto wyraźnie. Nie znaczy to jednak, aby trzeba było szukać innej podstawy pokoju poza rozumem, powierzyć się tylko siłom moralnym: wierze, dobrej woli, przyjaźni i manifestacji w rodzaju strajku filozofów na białych schodach domu Trumana — jak proponował Ray Anand — przedstawiciel Indii na Kongresie. Śmiech w kulak musiałby towarzyszyć naiwnej wierze w przewagę samych bezbronnych czynników moralnych wobec potężnego aparatu polityczno-gospodarczego dążącego do wojny. Niektórzy z mówców zdawali się, niestety, wyrażać tę naiwność. Ludzie są sprawcami wojny, więc i ludzie mają w swoim ręku możliwość zapobieżenia jej. Najwność tego rodzaju wiary nie polega na zbytym zaufaniu w dobre siły tkwiące w człowieku; polega ona na zwykłym niewiedzeniu systemu, na lekceważeniu struktury, która naprawdę jest przyrodzona, ale też rządzi się swoimi prawami i używa ludzi i całych grup ludzi do swych celów.



Pablo Picasso



Irena Joliot-Curie



Jorge Amado

Rys. M. Rudnicki

Tak więc jeśli istnieje intellectus diaboli, wierzymy, że obejmuje on wszystkie systemy myślowe irracjonalizmu i mistycyzmu, że przeciwnie — kultura oparta na uczciwej, rzetelnej myśli naukowej, literatura czerpiąca z realizmu doświadczenia społecznego — pracuje dla pokoju mimo przeszkód, mimo przeciwnego tła polityczno-ekonomicznego. Za mało było czasu, aby Kongres zdołał opracować realniejsze propozycje co do udziału naukowców i artystów w obronie pokoju. Mimo, że przewodniczący w drugim dniu Kongresu Julian Huxley parokrotnie zalecał dyskutantom trzymanie się realnych problemów pokoju, zadanie wypracowania takiej problematyki i polityki kulturalnej Kongres musiał przekazać utworzonemu stałemu Komitetowi Łączności. Wyznaliśmy w ten sposób niewątpliwie nasze rozczarowanie. Świadczy ono o pewnym bagatelizowaniu trudności porozumienia się co do spraw zasadniczych. Pięknie brzmiąca rezolucja zdawałaby się nam dość mdła i łagodna, gdybyśmy nie obserwowali trudności, w jakich powstała, żyjemy już w naszym kraju w klimacie kulturalnym, w którym sprzeczności ideologiczne nie wydają nam się tak ostre, jak są w istocie. Nie jest to najmniej ważna refleksja po Kongresie, składania do baczniejszej uwagi, do szerszego, ogólniejszego widzenia świata, niż to się robi na codzień w naszych wewnętrznych walkach i sporach.

Władysław Strzebiński

CORBUSIER



Le Corbusier

Przystępując do twórczości Corbusier'a najchętniej odczuwamy rytm epoki, różniący się od ustalonych kanonów okresu ustabilizowanego kapitalizmu. Można się nie zgodzić z jego poszczególnymi pracami, co więcej należy je krytykować (bo to jest warunkiem postępu), lecz musimy sobie uświadomić: cele, kryteria i metody pracy w architekturze współczesnej są zasadniczo odmienne od klasycznie ukształtowanych w ciągu ubiegłych stuleci narastania kapitalizmu. Mieszkanie, dom, miasto, urbanistyczne ukształtowanie kraju — są inne, niż chociażby w wieku XIX.

Cieżar pracy nad dokonaniem tych zmian w głównej mierze, obok innych architektów, spadł na Corbusier'a. Nie było takiej dziedziny planowania architektonicznego, w jakiejby on nie stworzył projektów inicjatywnych i zapoczątkowujących nowe rozwiązania.

Ich znaczenie nie wynikało tylko z tego, że Corbusier był po prostu lepszym architektem, niż inni współcześni. W tym wypadku on dawał prace takie same, w tym samym duchu co inni, tylko lepsze. Robiłby projekty teatru jeszcze bardziej ozdobne niż gmach Komédii Francuskiej, projekty willi mieszczanskiej jeszcze bardziej pseudostylowych, niż otaczające i projektowałby domy czynszowe jeszcze pakowniejsze i dające jeszcze większy zysk, niż domy innych architektów. Jednym słowem: poszedłby jeszcze dalej w spełnianiu zasadniczych postulatów, stawianych architekturze przez społeczeństwo mieszczańskie - kapitalistyczne.

Inicjatywność jego projektów wynika ze związku z podstawowymi faktami naszej epoki:

technicznym (niezmierny wzrost sił produkcyjnych);

społecznym (walka klasy robotniczej o wzięcie w swoje ręce tych sił i takie pokierowanie nimi, by służyły nie celom wyzysku i bogactwa się, lecz potrzebom człowieka i społeczeństwa).

Jasne, że architektura, która służy tym nowym celom, musiała dać rozwiązanie nowe, niepodobne do rozwiązań, jakie dawała architektura, służąca wyzyskowi, oparta o podświadome uznanie nierówności klasowej i wolność liberalistycznego laissez-faire (dom pojęty jako pakowna bryła, dająca komorne i ozdobiona ornamentyczną stylową fasadą, stylowość i dekoracyjność jako pochodne różnic klasowych, automatyczny rozrost miast i praktyczna bezsilność jakiegokolwiek planowania urbanistycznego, któreby podważało święte prawo własności prywatnej).

Różnica, jaka dzieli pracę Corbusier'a od pracy architektów wcześniejszych, wynika z nieluzowania tych kryteriów architektury mieszczańskie. Doniosłość jego pracy polega nie tylko na tym, że jest on najlepszym architektem świata, lecz przede wszystkim na tym, że architekturę swoją związał z dążeniami innej klasy i jej odmiennym ideałem doskonałości architektonicznej.

Dla należytej oceny jego znaczenia należy rozpatrzyć poszczególne zagadnienia architektoniczne, jakie stawiał przed nim.

MIESZKANIE

Znany wszyscy typowe mieszkanie, jakie się ostatecznie ukształtowało w wieku XIX. Najlepiej je określimy, jeśli powiemy, że to jest pudełko do przechowywania nagromadzonych skarbów, możliwe szczególnie zamkniętych (okna, kotary, gardiny, firanki, ciemne boazerie lub tapety, zaciszny półmrok zasłonięty od sąsiadów i słońca). Święty przybytek rodzinny zamkniętej w swym gnieździe i pilnie strzeżonej szych skarbów, swych tajemnic i swoich chorób dziedzicznych.

Ze stanowiska właściciela domu najważniejszą zaletą takiego mieszkania była jego pakowność. Mieszkanie musiało dawać największe oprocentowanie włożonego kapitału, t. zn. największe komorne.

Jest to typowe nastawienie towarowo-kapitalistyczne. Prace człowieka przetwarza się w towar, dający się ocenić, skalkulować i wli-

czyć w zysk posiadacza nieruchomości. Wartość lokatora mierzy się wysokością zysku, jaki się od niego wyciąga. Wartość człowieka mierzy się ilością przedmiotów, posiadanych przez niego w mieszkaniu.

To pudełko obmurowano od zewnątrz (fasada) i od wewnątrz (wnętrze mieszkalne) — dekoracyjną, ozdobną ornamentyką. Im bogatsi mieszkańcy domu, tym większa ilość ornamentów.

Zadanie architekta: — wpakować w tę samą jednostkę powierzchni jak najwięcej lokatorów (by dali jak największy dochód gospodarzowi domu) i jak najdrożej wyglądającą ornamentykę. Bogactwo zysku, bogactwo ozdób i zupełnie nie liczenie się z istotnymi potrzebami człowieka.

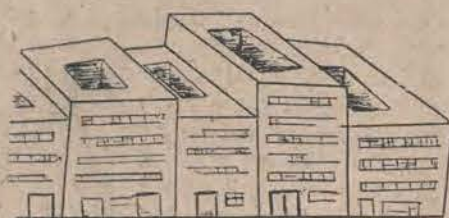
Mieszkania projektowane przez Corbusier'a należy określić przede wszystkim jako mieszkania dla człowieka. Dostęp światła, dostęp słońca. Dostosowanie nie do ozdoby pani Dulskiej, lecz do warunków rzeczywistego życia. Zgodność z prawdziwymi potrzebami przebywania w mieszkaniu. Nie pakowność mieszkania staje się miernikiem jego wartości, lecz jego związek z trybem życia zamieszkującego w nim człowieka. Tak zamiast poprzedniej oceny mieszkania, jako pakownego pudełka, powstaje nowe kryterium: jego funkcjonalizm. Plan mieszkania wyrasta w wyniku badania potrzeb człowieka, jego czynności i jego trybu życia. Funkcjonalizm jest wyrazem mieszkania, dostosowanego do istotnych potrzeb człowieka na poziomie współczesnych osiągnięć wiedzy.

Funkcjonalizm wyprowadza plan mieszkania z przemyślanego układu czynności człowieka, składających się na całokształt jego procesu zamieszkiwania. Układa ich kolejność, wiąże je ze sobą, organizuje ich następstwo. Mieszkanie przestaje być pakownym pudełkiem, w jakie się witać człowieka. Plan funkcjonalny wyrasta nie z narzuconego schematu, lecz z rzeczywistych potrzeb rzeczywistego, realnego człowieka. Rzecz jasna — dostarczenie każdemu człowiekowi mieszkania funkcjonalnego jest możliwe tylko przy osiągnięciu kultury w pełni humanistycznej — kultury pełnego, zrealizowanego socjalizmu. Narazie obserwujemy osiągnięcia fragmentaryczne i częściowe. Tylko tam, gdzie ustaje dążenie do rentowności i zysków, tylko tam, gdzie motorem działania staje się dążenie do zaspokojenia potrzeb ludzkich — możliwe jest budowanie mieszkań sfunkcjonalizowanych, obliczonych nie na dochodowość, lecz na zaspokojenie potrzeb ludzkich. Dążenia Corbusier'a nie znalazły pełnej realizacji. W okresie międzywojennym przyjeły się one na terenie budownictwa samorządowego i budownictwa spółdzielczego. Zwycięża idea nie wtedy, gdy ona poszukuje rzeczywistości, lecz wówczas, gdy rzeczywistość poszukuje idei i realizuje ją.

W warunkach międzywojennych funkcjonalizm mieszkaniowy Corbusier'a często ulegał wypaczeniu i realizował się niejednokrotnie w postaci wytwornie sfunkcjonalizowanych mieszkań dla bogatszych warstw społeczeństwa. Taki był nacisk realnego układu sił i potrzeb.

DOM

Dom, budowany w okresie gospodarki prywatno-kapitalistycznej, narastał, regulowany jedynie automatyzmem dążności do zapewnienia odpowiednio rentownego dochodu z parceli. W miarę wzrostu ceny parceli ta sama rentowność mogła być osiągnięta tylko przez coraz intensywniejszą zabudowę placu. Podnoszono wysokość budynków i obudowywano parcele ze wszystkich stron. Coraz większą część parceli zostawała zabudowana. Powstawały ciemne podwórza — studnie. Łańcuch takich parcel stwarzał nieprzerwany łańcuch zabudowy wzdłuż ulicy. Od ulicy była ciągłość fasad, od wewnątrz ciągłość ciemnych podwórz-studni.



W projektach Corbusier'a dom stał wśród zieleni i przestrzeni, orientowany podług słońca. Dom, który zabezpieczał higienę i dawał widok na przestrzeń i naturę tak potrzebną dla równowagi psychicznej. Dom tak postawiony wykluczał poprzednio istniejącą gęstą i ciasną zabudowę miast. W konsekwencji należało zrezygnować z poprzedniej zasady rentowności parceli na rzecz rozwoju pełni sił fizycznych i psychicznych. Zamiast zabudowy ciągłej — zabudowa przerywana.

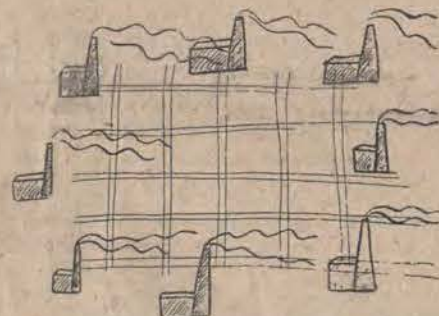
W związku ze zmianą otoczenia domu następuje zmiana typu projektowania. Architekt XIX-wieczny projektował zasadniczo tylko płaską fasadę, nie rozumiejąc, że dom wyrasta z przestrzeni i istnieje w związku z nią. Jedynym elementem architektonicznym, jaki istniał przy ciasnej zabudowie parcel, była płaska fasada wychodząca na ulicę.

Przy zabudowie przerywanej dom występuje w całej swojej bryle widzianej ze wszystkich stron. Zamiast zdobniczo fasady — istotnym elementem piękna staje się podział

bryły, jej rytm i proporcje. Dom zaprojektowany funkcjonalnie, tzn. wyrastający z rzeczywistego uszeregowania czynności ludzkich, dom, którego plan i poszczególne części są wyrazem ruchów i przystanków (czynności) — zlewa się z tym rytmem ruchów człowieka. Rytm domu staje się wyrazem rytmu życia ludzkiego. Proporcja, regulująca przejście od jednej czynności do drugiej, staje się proporcją budynku i zasadniczym składnikiem piękna. Ten związek z rytmiką funkcji ludzkich zakłada konieczność przejścia do czterowymiarowej, czasoprzestrzennej koncepcji architektury. Rytm architektury staje się odbiciem rytmu człowieka. Zamiast estetyki zdobniczej, zamiast estetyki bogatych ozdób powstaje estetyka funkcjonalna. Odbywa się zmiana podstaw estetycznych.

MIASTO

Miasto kapitalistyczne narastało automatycznie zabudową działek ziemi przez każdego z ich właścicieli. Miasto narastało żywotowo i jego rozwój zależał od nieskończonej ilości przypadków. Większość domów, ich typ, ich gęstość zabudowy, powstawanie tych lub innych dzielnic — zależały wyłącznie od posiadanych kapitałów i koniunktury. Urbanista był w tym wypadku bezsilny. Najwyżej mógł on wykreślić na planie miejskim kierunek przyszłych ulic, lecz nie panował nad procesem ich realizacji. Wiemy jak miasta amerykańskie w procesie gwałtownej rozbudowy przekroczyły granice wytyczone im przez (bardzo dobre zresztą) plany pierwszych lat wieku XIX i jak pod koniec tego wieku stały się piekłem dla ludzi. W ustroju prywatnej własności miejskiej urbanistyka sprowadza się właściwie do przelewania swoich pięknych marzeń na papier bez możliwości jakiegokolwiek realizacji. Rzeczywista rozbudowa miasta zależy wyłącznie od woli tysięcy właścicieli nieruchomości miejskich, używających wszelkich wybiegów, by zamiast pięknie pomyślanego planu urbanistycznego zwyciężył prywatny zysk. Schemat miasta kapitalistycznego sprowadza się do prostokątnej szachownicy ulic. W śródmieściu domy są wyższe, mieszkają tam warstwy zamożniejsze i domy są bardziej luksusowe. Na peryferiach domy są mniejsze, mieszkają warstwy mniej zamożne, domy są niższe i nie odznaczają się luksusem. Dookoła miasta wzniosły się fabryki i domy ich przy każdym wietrze zadymia miasto.

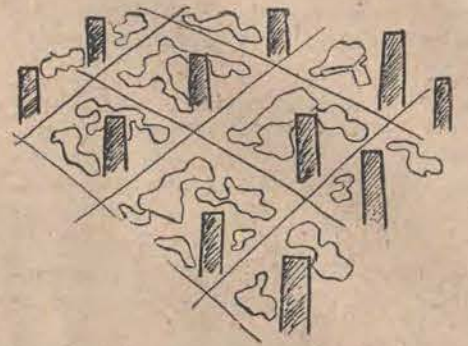


W wyniku powstawały miasta zadymione, zabudowane domami różnych wysokości. Kamienicznik budował taki dom, na jaki było go stać. Nikt nie mógł się wtrącać ani do sposobu zabudowy parcel, ani do wysokości domów. Zamiast miasta, rozplanowanego zgodnie z potrzebami człowieka, powstawały miasta, w których święte prawo własności panowało nad człowiekiem. Nawet urządzenie stref zieleni i parków wymagało konieczności wykupu ziemi, co siłą rzeczy wpływało na to, że ilość zieleni była niewystarczająca.

Pierwszym projektem miasta planowo zorganizowanym był projekt Corbusier'a ogłoszony w roku 1920. Tam po raz pierwszy wystąpiła zasada funkcjonalizmu w zastosowaniu już nie do poszczególnego mieszkania lub domu, lecz w zastosowaniu do całości miasta. Było to miasto funkcjonalne, gdzie każda jego część, każda dzielnica wynikała z wyznaczonej czynności. Charakter każdej części był z góry wyznaczony i każda część posiadała taką zabudowę, jaka wynikała z jej przeznaczenia.

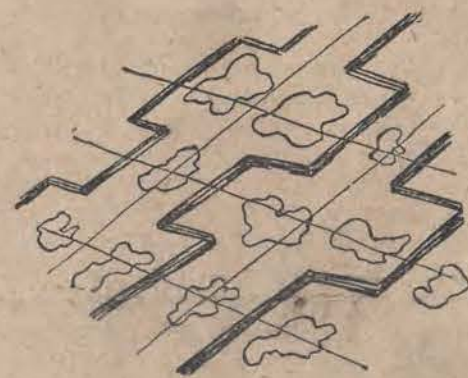
Miasto dzieliło się na następujące części: 1) dzielnica handlowo - administracyjna wraz

2) z otaczającymi mieszkaniami dla tych pracowników, którzy stale musieli pozostawać w pobliżu tej dzielnicy i 3) dzielnica przemysłowa. Te trzy dzielnice oddzielone od siebie pasami zieleni otoczone były szeroką strefą zielenią, gdzie nie wolno było nic budować i która na zawsze miała pozostać w takim charakterze. Poza tą strefą w promieniu 4-8 km mieściły się 4) osiedla mieszkaniowe, dla zasadniczej masy pracowników śródmieścia, związanych ze śródmieściem środkami szybkiej komunikacji.



W dzielnicy administracyjno - handlowej dla uzyskania największego nasłonecznienia i maksimum zieleni rozsunięto domy, wprowadzono zieleni i słońce, a konieczne zagęszczenie ludności i zmniejszenie obszaru tej dzielnicy osiągnięto przez podniesienie domów do wysokości 24 pięter. W ten sposób niezbędną gęstość zaludnienia na 1 ha uzgodniono z warunkami zdrowotnymi.

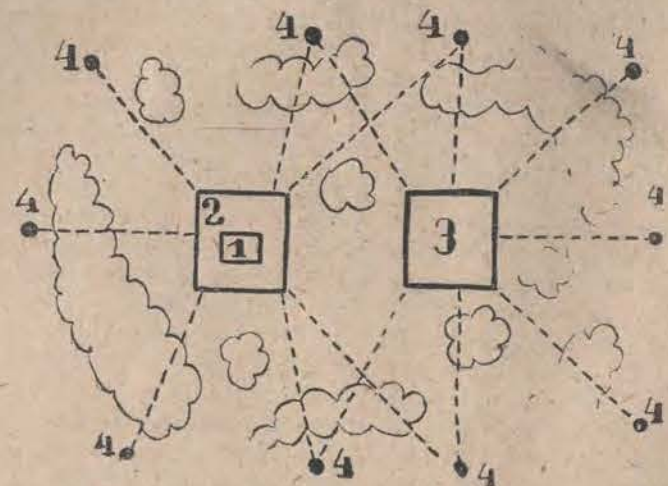
W otaczającej dzielnicy mieszkaniowej dla wprowadzenia również największej ilości zieleni i słońca podniesiono domy do 12 pięter, pozostawiając pomiędzy nimi duże przestrzenie parków, placów sportowych i t. p.



W warunkach roku 1920 miasto takie było szczytowym punktem myśli urbanistycznej, kształtującej miasto, które służy człowiekowi, lecz nie godzi się z prawem własności prywatnej. Ten pierwszy projekt urbanistyczny wieku XX dowiódł, że architektura i urbanistyka posiadają założenia wykonawcze tak potężne, że nie mogą być zrealizowane w warunkach liczenia się z prawami właścicieli nieruchomości.

Projekt ten stał się punktem wyjścia dla szeregu realizacji i planów urbanistycznych, przeprowadzonych w Europie Zachod. Wiedeń otoczył się pasem takich osiedli. Powstały one również we Frankfurcie. Komunistyczne gminy miejskie pod Paryżem, z chwilą objęcia władzy, przystępowały również do budowy osiedli robotniczych. W Polsce powstały w ten sposób Warszawskie Spółdzielnie Mieszkaniowe i osiedle Montwiłła - Mireckiego w Łodzi. Jak widać — tylko inicjatywa społeczna (samorządowa lub spółdzielcza) podejmowała się rozwiązania tego typu zagadnień. Były to jednak rozwiązania cząstkowe nie przekształcające całego miasta, lecz tylko je poprawiające. W Związku Radzieckim wskutek realizowania socjalizmu stała się możliwa budowa całych dużych miast.

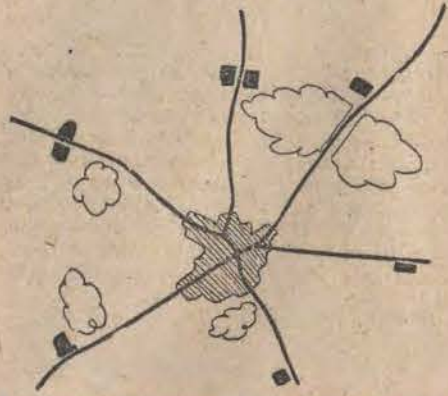
Schemat Corbusier'a zapłodnił urbanistyczną myśl architektów szeregu krajów. W oparciu o mniejszą lub większą praktykę budowlaną powstały poszczególne schematy ukształtowań urbanistycznych, jak np. charak-



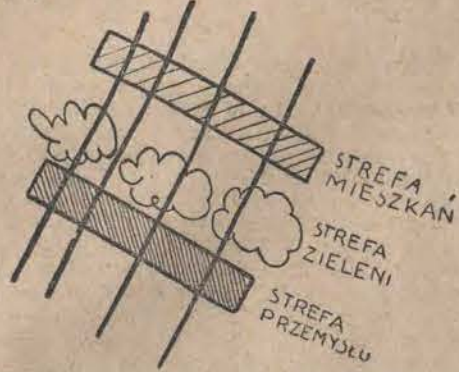
terystyczny dla Wiednia i miast Republiki Weimarskiej schemat pierścienia osiedli otaczających dotychczasowe miasto.

Anna Kamińska

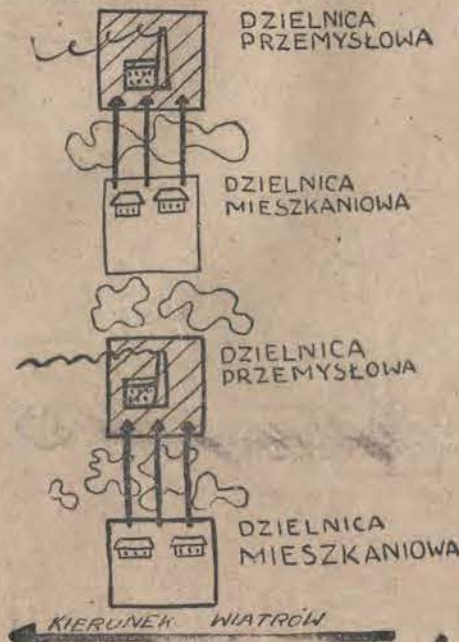
Marksistowska historia nauki *)



W Związku Radzieckim przy wielkim budownictwie pierwszej pięcioletki ustalono schemat pierwszych nowo budowanych miast, polegający na streficznym podziale miast na dzielnicę przemysłową i dzielnicę mieszkaniową.



Później schemat ten wskutek doświadczeń praktycznych przekształcił się na schemat przejściowo następujących po sobie dzielnic przemysłowych i mieszkaniowych.



Architektura, jak każdy objaw kultury, powstaje w toku walki. Wielkie okresy sztuki powstawały w okresach rewolucyjnych przemian społecznych. Jeśli tamte minione okresy nosły wyzwolenie tysiącom lub dziesiątkom tysięcy, to jakże olbrzymi powinien być wzrost wszystkich wartości kulturalnych w epoce, gdy klasa robotnicza walczy o swoje wyzwolenie, mając w zapleczu całą ludność pracującą globu ziemskiego. Tą skalą należy mierzyć wkład Corbusiera w proces walki proletariatu o stworzenie swej kultury, jako dialektycznej nadbudowy nad kulturą epok minionych. Władysław Strzemiński

TRADYCYJNA idealistyczna historia przedstawia naukę jako historię idei. Jest to z jednej strony szereg wielkich nazwisk, galeria geniuszy, z drugiej ciąg pomysłów, teorii, odkryć naukowych, które depczą sobie po piętach, często wyłączają się, czasem uzupełniają. Zależnie od temperamentu historyka nauka wykazuje kierunek postępu, poznanie ludzkie się rozszerza lub też wygląda ona w swej historii jak taniec niedźwiedzia na rozpalonej blasze. Historiograficzne schematy i podziały kreślą nauce jakoś wewnętrznie zdeterminowane tory. Np. po epoce racjonalizmu nastaje mistyczny irracjonalizm i wszystko tłumaczy się pełną wewnętrzną autonomizacją.

Aktualne powodzenie powieści biograficznych o uczonych i monografii popularno-naukowych świadczy o wybitnej ważności dydaktycznej przedmiotu historii nauki dla światopoglądu współczesnego człowieka. Historia nauki dostarcza nie tylko wiadomości o świecie, ale podsuwa autorytety, daje podstawę wysokim, subtelnym pojęciom moralnym. Zapewne wzór ludzki uczoney Marii Curie-Skłodowskiej oddziałuje dziś silniej na grupy młodzieży niż postać króla Jana Sobieskiego, czy bankiera Rothschilda, o którego karierze marzył bohater jednej z powieści Dostojewskiego. Moralne walory pracy uczonego, intelektualisty zawierają doniosłą i pozytywną siłę wychowawczą. To też niezwykle ważne jest w jakim systemie podaje się fakty z dziedziny historii nauki. Tu o osobne opracowanie prosiły się tak popularny przed wojną cykl wydawnictw „Biblioteki Wiedzy”, a z drugiej strony upowszechniane biografie w rodzaju książki Ewy Curie, pokazującej tak decydujący etap w historii nauki światowej w konwencji sentymentalnej powieści obyczajowej, sprowadzającej się do anegdoty życiowej wielkich ludzi.

Książka Prenanta o Darwinie mieściłaby się w tym cyklu tylko ze względu na niewątpliwie wartości dydaktyczne, na piękną, łatwą do popularyzacji formę. Wyróżniałaby się zaś przede wszystkim naukowością i zdecydowanie marksistowską interpretacją dzieł myśli naukowej.

Marcel Prenant — biolog francuski, profesor Sorbony paryskiej daje w swej książce o Darwinie przejrzyste exemplum marksistowskiej historyczno-naukowej monografii. Jego książka nie jest fenomenem, jest zachętą do naśladowania, jest wzorem dydaktyki marksistowskiej, ze względu zaś na żywość i powiązanie ze współczesnością jest rodzajem niemal publicystycznym.

Prenant pokazuje nam Darwina w dwóch szeregach historycznych. Pierwszy — to historia Anglii, dojrzewanie ustroju kapitalistycznego, rozwój społeczny i kulturalny klasy mieszczaństwa angielskiego, do której Darwin osobiście należy, klasy właśnie przejmującej władzę po szlachcie rodowej systemu feudalnego. Drugi szereg — to dzieje umysłowości angielskiej epoki XIX wieku, nie tylko w środowisku naukowym, ale właśnie w kulturalnej sytuacji klas wzajemnie uzależnionych. Oba szeregi wiążą się ściśle. Darwin może być wyjaśniony tylko przez czynniki obu szeregów. Nie chodzi jednak tylko o Darwina — geniusza, wielkiego obserwatora i pisarza, którego Prenant pokazuje czytelnikowi w ludzkich i przystępnych wymiarach. Chodzi przede wszystkim

*) Marcel Prenant. Darwin. Tł. Adam Czartkowski. Książka 1947.



Eugène-Marcel Prenant

o darwinizm, jako o teorię naukową, która przerosła swego twórcę, angielskiego burgeois złotej epoki industrializmu i imperiaizmu angielskiego. Darwinizm nie kończy się na Darwinie. Konsekwencje naukowe darwinizmu i dla biologii i dla socjologii wyprzedzają dopiero Marks i Engels i to przede wszystkim prądowi pozytywizmu, który wraz z autorytetem Comte'a odwracał się od terni zagłębiającej się w nienukowe wązkie zagadnienia początku życia i człowieka.

Tak więc Prenant daje Darwinowi podwójne tło historyczne, tło epoki w ustroju i w życiu umysłowym. Na tym tle Darwin staje się dla czytelnika czymś zrozumiałym i jasnym, geniusz zostaje wytłumaczony w sposób o wiele bardziej przekonujący i budzący zaufanie, niż by to zrobił Kretschmer ze swoją antropologiczną koncepcją geniusza. Darwin wynika, ogólnie biorąc, z kultury epoki burżuazyjnej Wielkiej Brytanii. Prenant dowodzi przez analizę obu szeregów historycznych epoki, że darwinizm „wisiał w powietrzu”. Mieścił się on w tendencjach ustroju kapitalistycznego i wynikał z sytuacji nauki i umysłowości klasy panującej w Anglii. Fakt, że nie od razu został przyjęty — nie przeczy tej tezie. Te koła, które zwalczały teorię, koła klerykałne, występowały z interesami własnej klasy, której zależało na utrzymaniu religijności wśród robotników dla tym pewniejszego trzymania ich w uległości wobec systemu. Gdyby Darwin możliwy był dwa wieki temu, niewątpliwie sponałyby na stoście razem ze swoją pracą o wasonogach. Książka Prenanta, w sposób naukowy przy pomocy metody historycznej marksizmu, wykazuje ścisłą zależność pracy intelektualnej od polityki, bo tak możnaby nazwać szereg pierwszy w jego dynamice, oraz odwrotnie — wpływ nauki na świadomą politykę społeczną.

Mówić o apolityczności nauki, neutralności pracy uczonego badacza w jego laboratorium byłoby, jak wynika z pracy Prenanta, nonsensem. A resztą „mówić” nie zmieniałoby faktu, że „wbrew czy mimo woli i świadomości własnej, intelektualista wyraża w swej pracy dążenia swojej klasy społecznej; produkt jego pracy umysłowej jest przez ustrój użyty na jego podtrzymywanie lub szkodę. Pojęcia, którymi operuje system naukowy, czerpane są z systemu pojęć współczesności. „Konkurencja i dobór — pisze Prenant — złożyły się na dobór naturalny. To nie było możliwe w byle jakim okresie i w byle jakim kraju. Nie umniejszając geniusza Darwina można śmiało rzec, że myśl o doborze naturalnym była dzieckiem ustroju kapitalistycznego”.

Zestawiając myśl Darwina ze współczesnymi zdobyczami naukowymi Malthusa, Lyella i Wallace'a, opierającymi się na pojęciu walki o byt, pisze dalej Prenant: „Idea ewolucji wisiała w powietrzu, ale raczej w powietrzu środowiska kapitalistycznego, niż w powietrzu pracowni biologów”. Czyż można ostrzej sformułować zasadę polityczności nauk w okresie, w którym „burżuazja i nauka stają w jednym szeregu w celu zapanowania nad światem”?

Jednak nie sam Darwin stanął w tym frontowym szeregu. Dosadnie kreśli Prenant postać Darwina — mieszczaucha, nie obcego przesądom swego czasu i sfery, odnoszącego się pogardliwie do dzikich, a entuzjastycznie do cywilizacji kolonizującej świat dzikich, poświęcającego nawet swój humanitaryzm dla patriotyzmu — w czasie amerykańskiej wojny o zniesienie niewolnictwa między Północą a Północą.

Darwin, którego teoria zrewolucjonizowała i naukę o człowieku i naukę o społeczeństwie — sam nie był ani trochę rewolucjonistą. „Ponieważ jest obciążony właściwościami klasy, do której należy — czytamy u Prenanta — nie zdaje sobie sprawy ze znaczenia społecznego wyniku swych badań. Jego odkrycia budzą w nim tylko wątpliwości religijne. Dla wydobycia z dzieła Darwina całej prawdy rewolucyjnej trzeba było Marksa i Engelsa, ludzi tej samej epoki, ale związanych z proletariatem”.

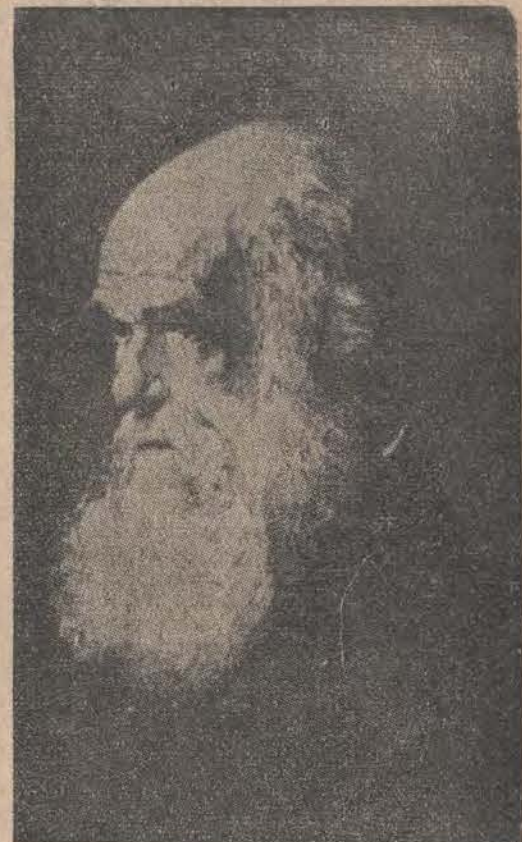
Darwinizm stał się naukowym uzasadnieniem materializmu historycznego Marksa i Engelsa.

Niemal równoczesne i analogiczne odkrycie Wallace'a nie stało się rewolucją umysłową nie tylko dlatego, że zawierało mniej naukowych argumentów. Nie zrywało ono jeszcze tak dokładnie, jak darwinizm z teologiczną interpretacją. Darwinizm ostatecznie uczynił biologię nauką laicką.

W pobieżnej recenzji interesuje nas przede wszystkim wartość dydaktyczna książki Prenanta o Darwinie dla naszego polskiego środowiska czytelników. Wiemy, że ludzie, którzy nie czytają czasopism społeczno-literackich, uważając je za wielkie ulotki propagandowe, czytają jednak „Problemy” w przekonaniu, że nauka nie ma nic wspólnego z polityką.

Książka Prenanta w rękach czytelników „Problemy” to dla nas jest chyba przede wszystkim jedno: uhumanistycznienie „naukowych” zainteresowań współczesnego człowieka. Zainteresowanie nauką naszej inteligencji znaczyło co innego, niż „ciekawość” do wiedzy młodzieży chłopskiej i robotniczej. Mieściło się ono w szeregu manii, inwentarstwa treści kulturalnych. Powiększenie bagażu plotek naukowych nie wpływało na światopogląd, na społeczno-polityczną postawę; zakątek wiedzy był odizolowany od praktycznej działalności człowieka. Prenant zmusza do przewekslowania żądy „wiadomości” na tory humanistyki, zmusza do wyciągnięcia konsekwencji światopoglądowych z wiedzy.

Uczenie nie jest tylko wkuwaniem zasad. Darwin, rok taki i taki, teoria ewolucji, dobór naturalny. Uczenie się, które w normalnym przebiegu szkolnym i przeważnie uniwersyteckim jest przyswajaniem przedmiotu „historia nauki”, winno zmierzać do rozumienia historycznego wiedzy. Ten aspekt humanistyczny nałożony na naukę tak ścisłą, jak biologia, odsionit w wypadku Darwina perspektywiczność samej biologii. Oczywiście, że prawa tej nauki nie mogą być przeniesione mechanicznie na historię i socjologię, błąd ten popełniali socjologowie, zwłaszcza Malthus i Lange. Opierając się na darwinowskim pojęciu walki o byt Engels wprowadza teorię walki klas, jako odpowiednik jej w cywilizacji ludzkiej, w kulturze wyrosłej na użytku przez człowieka broni i narzędzia. Tu zaś kończy się biologia, a zaczyna historia. Wokół sprawy Darwina w końcowych dziesiątkach lat XIX wieku narasta cały krąg zagadnień kulturalnych,



Darwin

cały splot teorii moralnych i politycznych, które bez społecznej interpretacji darwinizmu zdawałyby się nieuporządkowanym chaosem fantazji. Tu należy i Dühring i Kropotkin i sam wreszcie marksizm, jako najbardziej naukowa konsekwencja socjologiczna darwinizmu.

Poznanie Darwina w ten sposób niewątpliwie rozbija typ inteligentnego, inwentarskiego wykształcenia. Zdobywanie wiedzy staje się procesem dynamizującym umysłowo. Marksistowska interpretacja nauki w książce Prenanta wskazuje i ustala typ nowego inteligenta, nie tylko wiedzącego, ale i rozumiejącego, nie kolekcjonera wiedzy, ale praktycznie używającego jej w kształtowaniu społecznego światopoglądu.

Ten „oświatowy” walor książki Prenanta staraliśmy się podkreślić, zdając sobie sprawę z niepełności recenzji. Czyli czytelnik znajdzie też w książce Prenanta roman d'aventures myśli ludzkiej.

Paul Eluard

SPIĄCY

Pogrążeni we śnie mają białe ciała, zielonawo pożyłkowane i przezroczyste jak kryształ górski. Uda śpiących przepuszczają promienie słońca. Ciała śpiących są mniej odporne niż najwykleszy marmur, można je krajać lub ociosywać nożem kuchennym.

Ale zimna i twarda noc kruszy się jak lupek, kiedy dotknie ich powiek.

PIASTUNKA

Piastunka i rusalka. — zawsze łączyłem te słowa. To znaczy, że śliczna rusalka była mi drugą matką, tą, która zawsze zabiera z miłości dziecka wszystko co jest najlepsze.

Porywała mnie, układała nad wodą i dawała do zabawy trzcinę albo wodorosty morskie.

Kołysała mnie fala, żagiel przepływającej łodzi wyginał się łagodnie nade mną, — wysoko widziałem niebo i obłoki, widziałem jak wiatr chwiał smukłymi czubami topól i zaraz zasypiałem przy wotrze śpiewu kobiet piorących nad strumieniem i przy nawoływaniu jaskółek.

UBIERALNIA

Gdy śpiewał imbryk z wodą weszła do swojego pokoiku, ażeby się przebrać. Strumień powietrza wpadł oknem i zatrzasnął drzwi. W jednej chwili wygładziła na sobie białą i prostą nagosć i ożywiła leniwe włosy. Poczem wślizgnęła się w suknię wdowy.

Przełożył Juliusz Rogoziński.



Ernest Hemingway



Richard Wright



William Faulkner



John Steinbeck

Lech Budrecki

Współczesna literatura amerykańska

TRADYCJE

Kiedy po raz pierwszy dotarli do Polski wiersi o istnieniu świetnej rzekomo, współczesnej nam prozy amerykańskiej, ze zdumieniem powtarzają nazwiska: Hemingway, Dos Passos, Faulkner, Steinbeck, Saroyan. Owszem, o kilku spośród nich słyszano już przed wojną. Czytano jakieś przekłady, słyszano o ich działalności. „Rój” wydał „Pożegnanie z bronią”, „Trzech żołnierzy”, a nawet „Manhattan Transfer”. Ale ówczesne kręgi literackie nie dostrzegły w żadnym z tych utworów rewelacji. Hemingwaya umieszczono w jednym rzędzie z pacyfistycznymi powieściopisarzami typu Remarque'a czy Gläsera, a Dos Passosa nazywano „eksperymentalistą”, przyczem w najlepszym i w najszcześliwszym już razie rozpatrywano jego związki z Virginią Woolf. Toteż gdyby zapytano się ludzi robiących pisma literackie w owym czasie, a tym samym nadających ton opinii publicznej w danej przynajmniej dziedzinie, co rozumieją pod terminem „powieść amerykańska” odpowiedzieliby niewątpliwie: „Dreiser, Lewis, Sinclair, Anderson”. A przecież pisarze ci stanowią inną, daleko wcześniejszą epokę w dziejach powieści na terenie St. Zjednoczonych. Próby wyznaczenia związków między powieściami Faulknera, a „Nokturnem” Norrisa byłyby czynnością równie nierozsądną jak doszukiwanie się filiacji między Reymontem a „Breź”, Czyżby znaczyło to, że ani „Winesbury Ohio”, ani „Tragedia amerykańska” nie wyjaśnia nam niczego jeśli chodzi o zrozumienie „Myszy i ludzi”. Nie, tak źle nie jest. By dobrze zorientować się w linii po której biegnie rozwój współczesnej prozy amerykańskiej, trzeba poznać jej poprzednie słabości. Właśnie w żyjącym jeszcze Lewisie, w zmarłym niedawno Dreiserze znajdziemy wiele ciekawych przyczynków do „brutalnych” opowiadań, do rozpaczliwych wołań Henry Millera i do beznadziejnych konkluzji zawartych w książkach Ryszarda Wrighta.

Amerykański fin de siècle zbiega się z okresem gwałtownych wpływów naturalizmu, szerzących się na terenie tego całego kraju i konkurujących z zachwytem nad Kiplingiem i Stevensonem. W historii walk między zarządami kolei a farmerami dostrzegamy Norris wieczny problem, na rozwiązanie którego na próżno sili się „ludzkość od wieków”. To docierał społeczny mistycyzm secesji. Równocześnie przychodzi kultura Zola, powstają pierwsze usiłowania stworzenia konstrukcji powieściowej, na wzór „Rougon Macquartów”, gdzie ukazano upadek społeczeństwa uwarunkowany biologiczną dekadencją jednostek. Zaraz później możemy czytać fragmenty, jakby zaczerpnięte gdzieś z „Germinal” czy z „Ziemi”, opowiadania o lynchu, o strajkach, o głodzie i nędzy proletariatu. To do literatury amerykańskiej wkraczał Teodor Dreiser, jej największe nazwisko w tym okresie. „Siostry Carrie” ukazują się w 1900 roku, wkrótce potem wychodzi „Jennie Gerhardt”, a później „Finansista” i „Tytan”. Nieomal równocześnie debiutuje Upton Sinclair, zdobywając sobie od razu wielki rozgłos. Działalność artystyczna tych ludzi stała się ustawicznym protestem wobec warunków społecznych, jakie narzucał panujący ówczesnie ustroj. Obraz rzeczywistości zawarty w ich powieściach był bezspornie wykrzywiony. Co do tego nikt nie ma już złudzeń. Rzadko kiedy udawało się Dreiserowi powtórzyć tę prawdę o świecie, którą podali francuscy powieściopisarze pierwszej połowy XIX wieku, a Upton Sinclair pozostał już na stałe na pozycjach drobnomieszczańskiego radykalizmu. Dostrzegał wprawdzie ciosy spadające na proletariat i klasy średnie, widział ich przyczynę: gwałtowny wzrost i rozkwit imperializmu, pozostał jednak (tak samo jak i Dreiser w większości swych dzieł) na pozycjach moralistycznych. Potępiano kapitalizm ze względu na skutki etyczne, jakie za sobą pociągał, nie zaś z racji jego aktualnej roli w rozwoju historycznym. Morgan i Carnegie byli niebezpieczni dla przebiegów społecznych, gdyż wprowadzali nową konwencję „dodatnich” zachowań. Robotnicy w „Nafcie” czy w powieści „Król-Wegiel” okazali się postaciami dużo bardziej wartościowymi moralnie niż potencjalni finansowi. Stąd narodziła się przeciw koncepcja „dwa narodów” brudząca tak bardzo w przeciągu 20-lecia.

Nic więc dziwnego, że nazwiska autorów „Tragedii amerykańskiej” i „Dżungli” rzucano się zaraz po wskazaniu Sherwooda Andersona i Sinclaira Lewisa, tych dwu czołowych prozaików początków 20 wieku, a zarazem bar-

dzo wpływowych artystów. Obaj są już nieco młodszy i główne ich dzieła, zbiegające się zresztą ze sobą, przypadają: „Winesbury-Ohio” na r. 1919, a „Główna ulica” na 1920. Obaj piszą o małych miastach, które właśnie wówczas opiewali w swych wierszach Robert Frost i Edward Lee Masters. Mówiono o nieznanym Ameryce, tworzącej się dopiero i oparowanej przez wielki kapitalizm. Umotywowano przemiany zachodzące właśnie w dalekich stanach jeszcze bardzo luźno związanych z życiem metropolii u Sherwooda Andersona, a już cywilizujących się w powieściach Lewisa. I tu padły oskarżenia, ale złagodzzone, pozbawione prokuratorstwa tonu — jak stale rozbrzmiewał na kartach dzieł Dreisera. Wybór tematu jest także znamienny. Środowiska drobnomieszczańskie, urzędnicze, a więc te, które jeszcze nie doznały najboleśniej szych ciosów ze strony rozrastających się towarzystw, koncernów i trustów. Zresztą katastrofy drobnej własności nie przepuszczano poprzez kryteria artystyczne, starannie ją „ukrywano”. Lewis wskazuje na doskonałego obywatela, na typowego przedsiębiorcę średnich klas. Jest nim właśnie p. Babbitt, rzekomo niepowtarzalny portret „przeciętnego” Amerykanina. Patriarchalność i niczym nie zmacona nuda mieszkanców miasta Zenith są oskarżeniem (wobec konwencji) tak, jak oskarżeniem jest sama postać Babbitta podawana jako najzupełniej oczywisty wynik kapitalistycznej cywilizacji w jej amerykańskim wydaniu. Ale najdramatyczniejsze momenty życia Stanów Zjednoczonych, po które sięgnęli młodzi następcy Lewisa zostały przez niego przemilczane. Usunięcie kwestii murzyńskiej, sprawy lynchu, rezygnacja z demonstrowania czynników ówczesnej sytuacji proletariatu i ekspropriacji, jakiej podległa mała własność zalamująca się w czasie walki konkurencyjnej, to pierwsze zafałszowanie, którego dopuszcza się autor „Dr. Arrow-smitha”. Zjawiska niewątpliwie ujemne, ściągające na siebie potępienia natury estetyczno-etycznej ze strony odbiorców przestały interesować amerykańskich pisarzy. Kończył się właśnie kryzys ekonomiczny tak gwałtowny w ostatnich 10-kach lat minionego wieku. Dochodzili do głosu progresywiści, opór literatury słabł. Legenda Rockefellera, urok wielkich bankierów i przedsiębiorców zaczęły przedostawać się na teren sztuki. Ujmowano ich nadal w kategoriach etycznych, przy zupełnie różnej jednak klasyfikacji wartości. Wielkość, nadczłowieczeństwo oto terminologia tych wszystkich, którzy Carnegiego nazywali herosem naszych czasów. A równocześnie rodzą się nowe kierunki. Do rąk młodych pisarzy dochodzi Proust, wzrasta entuzjazm dokoła Dostojewskiego i Gide'a. W 1921 roku pojawia się „Ulysses” Jamesa Joyce'a, wkrótce potem docierają do Ameryki dzieła Virgini Woolf. W Paryżu powstaje ośrodek literacki najmłodszych prozaików z Gertrudą Stein na czele. Tam zachwycają się Joyce'em i „Stroną Guernantes”. Debiut Cummingsa przyjmują się owacjami. Gertruda Stein mówi o literackiej wartości języka, o retorycznej teorii narracji, o pięknie prozy niezależnym od jej skali sensów. Behaviourizm w zakresie psychologii, nowe koncepcje czasu, simultaneistyczne zasa dy kompozycji, wreszcie umiejętność operowania nieskomomentowanym monologiem wewnętrznym oto hasła pasjonujące młodzież literacką Stanów Zjednoczonych na początku 20-lecia. Kontakt z najwzrostłymi osiągnięciami prozy zachodnio-europejskiej wywarł swój wpływ. Nie darmo Bernard Fay nazywał Gertrudę Stein nauczycielką „prawdziwego” kunsztu pisarskiego. A przecież jednym z jej najpojętniejszych i najbliższych uczniów był wtedy, mało znany jeszcze, Ernest Hemingway.

ZAGUBIONE POKOLENIE

Zagubione pokolenie, tak nazwano prawie wszystkich wybitniejszych pisarzy amerykańskich ostatnich lat. To etykieta, którą nakleiono im nie w Europie, a jeszcze w Stanach Zjednoczonych. Objęto jedną nazwą różnorodnych prozaików, nieraz bardzo odległych od siebie przekonaniami artystycznymi i ideologicznymi. Łączyły ich ze sobą daty urodzin i debiutów, łączący inteligencje środowisko, w które weszły i które w dziełach swych mieli reprezentować. Były jeszcze książki podpisane ich nazwiskami, wszystkie krytycznie utosunkowane do północno-amerykańskiej rzeczywistości społecznej XX wieku. A jednak należałoby podzielić całe pokolenie na poszczególne grupy, uszeregować choćby ze względu na tradycję estetyczną, a co za tym idzie ze względu na tradycję poznawczą. Lata 30-te przyniosły przeciw zjawiska najzupełniej nieoczekiwane. Odgrzebano Dreise-

ra, naturalizm nazwano aktualnym. Wytworzył się silny obóz pisarzy, dla których „Siostry Carrie” i „Jennie Gerhardt” pozostały nadal wielkim i godnym naśladowania wzorem. „Brutalność” powróciła na karty powieści. Młody prozaik autor romansu historycznego i tomu opowiadań o łazikach, trochę w stylu Sherwooda Andersona — John Steinbeck przystępuje do tych kilku młodych pisarzy, wielbicieli „Tragedii amerykańskiej”, wśród których główną rolę odgrywali: Erskine Caldwell, James T. Farrell, John O'Hara i Edward Dahlberg. 20-lecie przynosi im sławę i rzadką popularność. Wówczas dołącza się do nich początkujący autor murzyński, Richard Wright. Ale nazwiska te, choć znane i cenione w całej Ameryce nie docierają oczywiście przed 2-gą wojną światową za Atlantyk. W Europie zna się Hemingwaya, popularyzowanego przez Andrzeja Mauroisa i Dos Passosa. To już ludzie innych grup i innych tradycji, związani zresztą bardzo wyraźnie z estetycznymi założeniami Gertrudy Stein. Też nie stanowią jednolitego obozu. John Dos Passos, sięgający po doświadczenia simultanei, znu, usiłujący wykorzystać technikę filmową do zobrazowania dziwacznej, idealistycznej koncepcji społeczeństwa, najtrudniejszej jednak jako przekrój Ameryki, spośród tych wszystkich, na które zdobyli się ludzie jego pokolenia. A obok Ernest Hemingwaya, klasyk za życia, zbliżony najbardziej chyba do behaviourizmu, dysponujący oryginalnymi próbami ujmowania psychiki postaci (człowieka jako „osobowości” psychicznej), piewca heroizmu fiesty, przemysłowców i Roberta Jordana, żołnierza republikańskiej Hiszpanii, który będąc ranny w nogę oczekuje z karabinem maszynowym na atak faszystów, by nie umrzeć bez walki. Dalej to już znana i dosyć jednolita literatura: Faulkner, Wolfe i Miller. Pierwszy z nich otoczony dziś już w miarę szerszymi sferami intelektualnych wielką sławą, to narrator życia ludzi z Południa, znał brzegów Missisipi, świata załudnionego przez skretynialnych kastratów, zboczeńców, świata absurdu i rozpaczliwego zarazem, sprowadzającego na bohaterów coraz dotkliwsze kleski. Historie ródów posiadaczy plantacji w Luizjanie od czasów wojny secesyjnej aż po 20-lecie wypełnione dziełami zbrodni i gwałtu. Przerwano jednolity tok czasu, wydzierżawiając wypowiedź odautorską poszczególnym bohaterom — jak dzieje się choćby w „The Sound and the Fury” odczytywanym dziś przez najmłodszą generację razem z grubymi tomami Thomasa Wolfe'a. Autor „Of Time ad river” stał się przeciw nauczycielem nowych sposobów pisarskich opartych o doświadczenie Prousta, nadrealistów, a przede wszystkim Joyce'a. Życie młodego Eugeniusza Ganta, o którym „legendę z lat głodu” tworzy autor, ukazuje nam raz jeszcze zagadnienie „odosobnienia w rzeczywistości”. Poszukiwanie domu ojca, tak brzmią główne motywy Wolfe'a rzucające go raz po raz apostofoy o nieustannej wędrówce w najzupełniej obcym świecie. Dramat „zamkniętych drzwi” jak trafnie to określił jeden z krytyków amerykańskich, drzwi do własnego pokoju, gdzie można odpocząć przerywając takie życie, w którym samotnie idziemy na wygnanie. Thomas Wolfe jest przetrząsany rozbiem więzi rodzinnych, brakiem salonu Babbittów, Henry Miller „boi się” już całego świata. Książki jego to przecież nie inne, jak tylko zbiór proroczych dotychczas końca Ameryki, likwidacji całego świata, zapowiedzi końca, upadku wszelkiej kultury. Mieszają się one z odgłosami starszego z generacji i początkujących debiutantów. Wegetacja powojenna wygląda wręcz paradoksalnie. Wychodzą „Małżeństwa” Lewisa obok książki Saroyana, David Davidsona, Curson Mac Cullera. Jeszcze słychać echa z czasów poprzedzających „Manhattan Transfer” — a już rozlegają się drwiny z powieści à la Balzac, z bohaterów i wiecznie pijanych torreadorów. Kafka nie był wielkim przeżyciem nawet dla Faulknera, zostanie za to podręcznikiem środków artystycznych dla nieznanych dotąd w Europie nazwisk i twarzy.

LITERATURA KRYZYSU

Wśród wielu najzupełniej różnorodnych i sprzecznych ze sobą założeń ideologicznych, amerykańskich pisarzy średniego pokolenia istnieją i takie wspólne wszystkim cechy, na podstawie których możemy mówić o nich jako o pewnym zespole. Do tych właśnie przykładów zalicza się krytyczny stosunek wobec socjalnej rzeczywistości Stanów Zjednoczonych. Zbigniew Bieńkowski nazwał to w jednym ze swych artykułów anty-amerykanizmem. Maxwell Geismar na tej podstawie ohrzeił szereg książek łączną nazwą „Literatury kryzysu”. Pisarze buntujący się prze-

ciw cywilizacji amerykańskiej stanęli na różnych pozycjach, zwalczali wzajemnie swe hasła artystyczne, ale od Steinbecka do Millera wszędzie znajdowaliśmy protest. Spróbujmy teraz objaśnić na czym polegał. Przede wszystkim na odwołaniu się do etycznej i estetycznej konwencji oraz na próbach balzakowskiej powieści. Kompromitacja ustroju, nienawiść do kultury, której reprezentantem najbardziej przeciętnym jest rodzina Comptonów, to znamienna cecha wszystkich prozaików amerykańskich nawet tych, reprezentujących literaturę „retoryki” i „grozy”. Czy i oni powstali przeciw Babbittom i przeciw miastu Zenith. Sprawa wydaje się jednoznaczna. Jak manifestowali swą nienawiść? W „To have or not to have” Ernesta Hemingwaya, umierający kontrabandzista, Harry Morgan wypowiada znamienne zdanie, którego prawdziwość „dowodzi” autor dalszym ciągiem fabuły. „Człowiek — powtórzył wolno, bardzo wolno. — Nie ma nic, nie dostanie nic, nie, nie, nie, nie...”. Zdanie to, jako motto swych dzieł wypisał mógłby Henry Miller. On właśnie stanowi typ pisarza doskonale przerażonego kulturą. „Zwrotnik Koziorożca” jest jednym wielkim popsem retorycznym, pełnym inwokacji wzywających do zniszczenia całej współczesnej cywilizacji. Rzecz ciekawa, Miller dokonuje tu bardzo szczególnej selekcji materiału pisarskiego wybierając fakty najbardziej drastyczne, najbardziej drażniące nasze potoczne przekonania moralne. Świat to burdel zaludniony przestępcami i wykołajcami, ludźmi marginesowymi. Utwory jego nie ograniczają się jednak do przedstawiania pewnych wydarzeń metodą „obiektywną”, zalewa je popis krasomówczy moralisty. Miller komentuje świat swych postaci, wzywa do zniszczenia go, do likwidacji. Usiłuje pisać współczesną Apokalipsę. Dlatego książki jego uznano za najbardziej rozpaczliwe. „Być może” woła „jesteśmy potępieni, nie ma nadziei dla nas, dla żadnego spośród nas. Lecz jeśli tak jest naprawdę pozwólcie dopełnić dzieło do końca”. A dalej — „Przec z lamentami z elegiami. — Przec z biografiami i historią, z księgarskimi i muzeami. Niech śmierć rodzi śmierć”. Wszystkie cywilizacje są równomiernie przerażające, sprawczyńią bowiem naszych nieszczęść jest zawsze niezmienna dola człowieka. Przeciw niej to biega apostofoy Millera. Mieszkański pisarz nie ma już miejsca na świecie, prorokuje kleskę i upadek. Cała historia w jego świadomości jest zbiorem sytuacji podobnych do obecnej. Miller nienawidzi współczesnej Ameryki tak jak nienawidzi Francji. Świat jego jest identyczny pod zwrotnikiem Raka i Koziorożca. To samo Sartre mówił w swych odczytach o Faulknerze. Tu była jednak sytuacja całkiem różna. Od pierwszej swej książki, od 1926 r., Faulkner pisał o Południu i poza nie nie wkraczał. Tam znalazł kraj pełen zboczeńców i idiotów. Tworzył coś w rodzaju sagi wykazując kolejną degenerację pokoleń, nawiązując do Zola w biologicznej, niejednokrotnie koncepcji losu ludzkiego. W „Sanktuarium” mamy historię gwałtu, w „The Sound and the Fury” opowiada się o życiu rodzinnym jednej z rodzin południowych, stosując wreszcie znamienne chwyt widzenia świata oczami zmatolowanego Benji. Widzenie idioty ma być w rezultacie widzeniem równie prawdziwym jak i to, jakim dysponują ludzie normalni. Stwierdza to samo: absurdalność i brutalność rzeczywistości, w której przebiegają wprawdzie pewne procesy społeczne rejestrowane, trzeba to przyznać z rzadką dokładnością (degenerolada wielkich właścicieli w środowisku Snapesów), nie odgrywają one jednak poważniejszej roli w motywacji ludzkich postępków. Południe, na które patrzymy to poprzez narrację autorów, to poprzez monolog wewnętrzny postaci, kraj okrutnych murzynów, przestępców plantatorów, ma stać się wizją „zorganizowanego przerażenia”. Na ziemi tej obowiązuje absurdalność istnienia. Oskarżenie uderza w ten system kulturowy o którym się traktuje w danym wypadku. Jednak przyczyn, dla których dzieje murzynów w „That evening sun go down” są prawdziwe nie potrafi się wyjaśnić.

Gdyby szukać jakiegoś terminu określającego ideologię Faulknera i Millera w języku socjologii marksistowskiej mimowolnie nasuwa się „radykalizm inteligentki”. Tak jedynie nazwać można protest przeciw skutkom imperializmu nie wymierzony bezpośrednio w Carnegiego, a dotyczący wyników podobnego rozwoju gospodarczego. Zauważymy to wszędzie nawet i u innych prozaików odważnie oskarżających ustroj, próbujących wyjaśnić pewne stany społeczne na wzór Balzaca konfliktami grupowymi. Mówię tu o Caldwellu, o Dos Passosie, o Steinbecku, o tych wszy-

stkich pisarzach amerykańskich, których z racji niesłuchanie małych (a niekiedy prawie żadnych) zbieżności z filozofią Kafki nie można włączyć do czarnej literatury. W 1928 roku wychodzi „Manhattan Transfer” wkrótce potem ukazują się trylogia „Ameryka”, 1932 r. to „Szlak tytoniowy”, 1939 r. — „Grona gniewu”.

Tak wygląda kronika najważniejszych i najbardziej rewolucyjnych osiągnięć amerykańskiego 20-lecia. W „Myszach i ludziach” mamy już problem wielu zachodnio-europejskich powieści. Robotnicy rolni są opuszczeni i samotni, nigdy nie potrafią przełamać pustki, jaka wytworzyła się dokoła nich. Życie jest niezmiennie, a sytuacja w którąś weszli nie ma końca. Mogą być modyfikacje, zawsze jednak zostanie nonsensowność wydarzeń, w wyniku których George Milton musi zabić Lenniego, by go ocalić w ten sposób przed lynchem. A przecież Lennie jest sam wół-zidiociaty. Kto odpowiada za taki stan rzeczy w którym musi on pracować? Kto odpowiada za życie, którego najpiękniejszą kartą jest pobyt w burdelu? Odpowiedź jest bardzo prosta: ustrój.

O czym marzą pracownicy rolni w powieści Steinbecka? O statusie się drobnymi posiadaczami, o własnym domu, o własnym kawałku ziemi. Kapitalizm w jego obecnej fazie nie pozwolił im na taki awans. Toteż marzą raczej murzyn Crooks wołający do Lenniego: „Ty masz źle w głowie, widziałem sęki mężczyzn chodzących drogami pracować rano, z tobokami na plecach i z taką samą przekleśną myślą w głowie. Przychodzą i odchodzą i idą dalej. I każdy taki ma swój własny kawałek ziemi w swojej przekleśnej głowie. I żaden z nich nigdy go nie dostanie”. To pierwsze stwierdzenie złej konstrukcji społeczeństwa, której wynikiem stają się nieodwracalne losy Candy’ego i Slima, zaraz przyjdą dalsze. Na długi przed ukazaniem się „Mysz i ludzi” pojawiła się pierwsza część „USA” Johna Dos Passosa. Książka mówiła o amerykańskim porządku społecznym, miała być jego wiernym obrazem. Dos Passos zbudował ją z szeregu poszczególnych, niezależnych od siebie opowiadań, wykorzystując przytem technikę filmową, a przede wszystkim tygodnik aktualności. Wracano partie publicystyczne w postaci życiorysów wielkich ludzi. W ten sposób autor „Manhattan Transfer” chciał ująć nie tylko poszczególne przemiany społeczne, lecz także zademonstrować styl życia. Stąd właśnie rozpiętość poszczególnych wątków akcyjnych, umieszczonych w różnych środowiskach. Opowiadało się o wielkiej karierze specjalisty od afery naftowych J. Warda Moorehouse’a, o młodym pisarzu Dicku Savagu, o intelektualistach żyjących i wieszających się przy przedstawicielach grubej forsy, wreszcie o marynarzu Joe Williamsie i jego „jednostajnym, monotonnym” życiu. Tu właśnie narodziła się koncepcja, tak znamienita dla ośrodków intelektualnych lat kryzysu, koncepcja dwu narodów produkujących i tych, którzy nie mogą. Na tej podstawie rozrózono Carnegie’ego, robiącego wielką karierę na sprawach giełdy i Johana Reida, umierającego w czerwonym Leningradzie. Woodrowa Wilsona, zapewnianego, że nigdy nie zaanektuje obcego terytorium, a wysadzającego wojska w Vera Cruz i Billa Heywooda działacza robotniczego zmuszonego do emigracji na teren ZSRR. Zestawienie początkującego socjalisty Maca z debiutującym w „Nafcie” Moorehousem, opracowywanym życiorysów techniką kontrastu, oto linia podziału wykraczająca poza dualizm burżuazja — proletariatus, w „USA”, dzieje się tak samo jak w „To have or not to have” Ernesta Hemingwaya, gdzie wprowadzono do akcji środowisko intelektualistów z ich poglądami na „przeciętnych” mieszkańców Key West (nie ma tu rozróżnień społecznych), oczywiście maksymalnie kompromitowanymi, gdzie urządził się przegląd ludzi wypoczywających na jachtach, jedynie po to, by porównać ich z umierającym kontrabandystą Morganem.

Pomiędzy tymi zasadniczymi typami form protestu wymierzonego w styl życia, w układ społeczny, w całą cywilizację Stanów Zjednoczonych, istnieją bardzo poważne różnice. John Dos Passos stwierdza walkę dwu sił; konwencją artystyczną, sposobami widzenia konfliktu opowiada się po stronie jednej z nich. Tym samym wskazuje wyjście z obecnego położenia. Zwycięstwo działaczy związkowych, ludzi ideologicznie związanych z proletariatem ziamie „nonsensowność” życia Joe Williamsa. U Millera natomiast nie jest w stanie zreformować doli człowieczej. Technika pisarska Steinbecka ukazuje nam postać wzorową, ujawni pozytywny stosunek autora do działacza komunistycznego Mac Leoda. Bohaterzy „Gron gniewu” wyjdą ze stanu nieświadomości społecznej, zaangażują się. U Erskine’a Caldwell, u Jamesa Farrell, u Johna Marquanda wszyscy ludzie są bezbronni i wydani siłom kapitalizmu, którym nie potrafili stawić oporu. Owszem, wszyscy ci prozacy dadzą prawdziwe widzenie pewnego wycinka rzeczywistości, prawdziwie oczywiście w zakresie szczegółów, nie dojrzą jednak najważniejszego spiecia współczesnej historii. Proletariatus, murzyni z powieści Ryszarda Wrighta nie dojrzejają do własnej świadomości klasowej, żyją poza nią. Tak zresztą dzieje się i w wielu innych utworach amerykańskich. Pisarze żywią widzą nonsensowność rozpaczyliwej egzystencji klasy robotniczej niż jej walki. Czy to wszystkie miejsca ujawniające stosunek literatury kryzysu do rzeczywistości kraju, w którym powstała? Nie, na pewno nie, są jeszcze inne.

BRUTALNOŚĆ

Wszyscy prawie literaci polscy piszący informacyjne artykuły o amerykańskiej prasie pisarzy średniego pokolenia zachwycali się jej „surowością”, jej „brutalnością”. Co mówią te wieloznaczne w zasadzie terminy? W „For whom the Bells Tolls” Ernesta Hemingwaya natrafiamy na kilkunastostronicowy opis sa-

masadu dokonywanego przez ludność małego miasteczka hiszpańskiego nad miejscowymi faszyzmem. Widziano w tym właśnie „okultystyczną” i „siłę ekspresji” sceny bowiem pokazywane w powieści Hemingwaya zaliczają się przecież do tych, które chrzcił się najpotoczniej mianem przerażających. Przedstawienie egzekucji na kilkunastu ludziach przy równoczesnym całkowitym zachowaniu metody obiektywnej należy raczej do zjawisk szczególnych.

Człowiek zabijający swego przyjaciela, który mu ufa bezgranicznie, gwałt dokonany przez zbrojenia, historia lynchu oto wybrane fragmenty z opowieści Steinbecka, Caldwell i Faulknera. Wszystkie te cytowane przed chwilą wydarzenia zaliczają się do faktów równocześnie całkowitym zachowaniu metody obiektywnej należy raczej do zjawisk szczególnych.

Są to bowiem przestępstwa karane prawnie. O nich to mówią amerykańscy prozacy 20-lecia. Selekcja materiału składającego się na fabułę ich dzieł bierze przecież po tej linii. Zastanówmy się tylko przez chwilę. Tradycję literacką tego typu mamy na gruncie europejskim, a co ciekawse nawet amerykańskim. We Francji był Zola, w Ameryce Dreiser. A więc u źródła współczesnych nam książek, które uważane są za najwyższe osiągnięcia bieżącej prozy, tkwi naturalizm. Niewątpliwie, tak ale należałoby wplur wskazać, co z naturalizmu zostało wzięte, jakie przymioty zostały zaadoptowane z utworów Zoli, czego nauczono się u Maupassanta i Norrisa.

Faulknera nazwano pisarzem „zorganizowanego przerażenia”. Najzupełniej słusznie. Faulkner bowiem sięga po fakty najłatwiej „budzące” lęk i grozę. Jego dobór środków artystycznych rejestruje jedynie pewien zespół zjawisk. Na tym polega przecież zasadniczy kanon estetyczny „The Sound and the Fury”, wspólny zresztą większości prozaików amerykańskich jego generacji za wyjątkiem może Dos Passosa i niekiedy Hemingwaya. Gdzie był on łamany, w jakim wypadku, co stanowiło motywację podobnych posunięć to już dalsza sprawa, wymagająca nieco innych objaśnień. Na razie powinno się zinterpretować zasadę w imię której pisarz widział i kolekcjonował wydarzenia, i to tym bardziej wówczas, gdy dotyczyła ona całych grup literackich, całych stosów książek. Przyczyną „brutalności” Hemingwaya i Steinbecka, Marquanda, Farrell i tyłu innych jest kryzys „optymizmu” intelektualnego, a mówiąc konkretnie w odniesieniu już do Stanów Zjednoczonych progresywizmu, wywołany z kolei ciężką sytuacją klas średnich. Nie po to Caldwell dobiera drastyczne sceny, nie po to Wolfe uskarża się na niemożliwość znalezienia ojca, a Miller demonstruje 16-letnich zbrodniarzy, by miało to służyć jako wstęp do apologii współczesnej sytuacji społecznej Stanów Zjednoczonych. Gwałtowne sceny, których pełno choćby w „Gronach gniewu” mają swoją wymowę ideologiczną, wzmacnioną zazwyczaj klęską bohaterów. Zmierzająca jest rodzina Joadów, Robert Jordan ma tylko trzy dni na miłość z Marią, zaraz potem zginie, Robert Cohn z „The sun also rises” nie odzyska Brett Ashley, ustąpi młodszemu od siebie torreadorowi a bohater Millera nie wyzwoli się nigdy z przerażenia. W tym zawarty jest pewien morał, pewien filozoficzny wniosek, który w „Myszach i ludziach” dostał się na usta jednego z bohaterów. Dzieje się to wówczas, gdy murzyn Crooks mówi: „Nikt nigdy nie dostaje ziemi i nikt nigdy nie dostaje się do nieba”. To ma jedynie podkreślać „beznadziejność” świata Lenniego i George’a Miltona, z którego nie ma wyjścia, a który jest straszny. Brutalność w danym wypadku oznacza protest, nienawiść do warunków życiowych.

„Brutalność” jest postepowa, gdy mówi o sytuacji w Luizjanie, o Georgii, czy o robotnikach rolnych z Kalifornii, ale tylko wówczas. Rola i znaczenie tych środków artystycznych zależna jest przecież od etapów historii.

MITOLOGIA

Proza każdego okresu ma swoje mity i swoje demony. Spróbujmy odnaleźć je u pisarzy amerykańskich. Oczywiście nie u wszystkich; ale rzecz ciekawa, znajdziemy je w najdoskonalszym wydaniu wśród zalecanych i cenionych, wśród tych, których jako wzór do naśladowania polecał Zbigniew Bieńkowski. Myślę tu o Erskine’u Caldwell, o Hemingway, a przede wszystkim o Steinbecku. Mity powtarzające się w ich książkach zaciążyły w niemym stopniu na młodym pokoleniu, a między innymi na znanym dziś już autorze licznych short stories, na Williamie Saroyan. A jak wyglądały te najnowsze „chronologiczne” utopie? Steinbeck zajmuje się w „The Cup of Gold”, jednej ze swych pierwszych powieści znanym korsarzem Henry Morganem, usiłującym w XVII wieku dokonać podboju Panamy. Henry Morgan jest odważnym awanturnikiem, kochającym życie i wojnę. W latach 20-ych ukazał się tom opowiadań Ernesta Hemingwaya „Men without women” jedno z nich mówiło o walce starzejącego się torreadora, w której odnajdywał on piękno i patos. Idźmy dalej. Przywódca robotniczy w „Małej działce Pana Boga” Erskine’a Caldwell jest także typem odważnego, aintelektualnego bojownika. To samo Robert Jordan, to samo słynny torreador z „The sun also rises”. Chodzi mi tu o kształtowanie pewnego wzoru osobowego” zawartego w wielu spośród tych powieści, przypominających zresztą do złudzenia szukanie „meza sprawiedliwego”. I rzeczywistość w bohaterach powieści amerykańskich ostatniej doby jest coś szczególniego. Dla czytelników „Ogniem i mieczem” wzorem pozostał Skrzetuski, dla zagrożonych w lekturze nowości z za Atlantyki postacią emocjonującą i godną ze wszechmiar naśladowania będzie bezsprzecznie Robert

Jordan. Na przywódcach robotniczych, torreadorach, korsarzach, spoczywają wszystkie światła powieści. Torreadorzy i działacze partii komunistycznej? Dziwne zestawienie. A jednak są oni tutaj podobni. Poprzez nich bledną linie ograniczające mocnego człowieka, który umie walczyć i zginąć od całego zespołu „mieszkańskich” wartości kulturalnych. Dlatego im wszystkim dana jest odwaga, bohaterstwo, zdolność do poświęceń i podziw kobiet. Z jakiej racji ustawicznie rzutował Hemingway w „Biednych i bogatych” Harry Morgana na tło inteligentko-mieszkańskie? Po to, by pokazać, że „urok” życia, że jego wartość estetyczna tkwi nie w środowisku Gordona, jego żony czy pięknej pani Bradley, lecz wśród kontrabandystów, przewożących nocami alkohol do Stanów Zjednoczonych.

To przecież jedna z podstawowych prawd artystycznych twórczości Hemingwaya, Caldwell i Steinbecka. Ich nie stać na ustawiczne kompromitowanie wszystkich, co znajdujemy na każdej stronie książek Millera. Ani George Milton, ani Mac Leod, ani Romero nie mogą być skompromitowani, a więc oczywiście nie są.

Hemingway pisał książki o fiście, o walkach byków. Kilkakrotnie wracają w nich postacie wspaniałych torreadorów, stale narażających się na śmierć, a tym samym uzyskujących wyższą wartość moralną. Niejednokrotnie zastanawiano się czy nie zaciążył tu wpływ Andrzeja Malraux, Garine, Borodine, Kyo i Katow to także postacie wzorowe wyzbyte z tych dyspozycji psychicznych, które oblegowo uważane są za „wady”. Tym niemniej jednak Doc to coś innego niż stary Gisors, a Tom Joad nie przypomina Czenga. Różnice rzucają się od razu w oczy, są bowiem bardzo poważne. Toteż w innych zupełnie sferach społecznych znajdują swoich wielbicieli Mac Leod i bohater „Drogi królewskiej”. Postacie powieści amerykańskiej zyskują poklask wśród drobnomieszkaństwa, którego zdrowy rozsądek aprobuje w zupełności ich sposób zachowania. To przecież szczyt chłopcy, z dobrym sercem, lubiący wypić, umiejący spokojnie zginąć, wolni od refleksji nad losem i przeznaczeniem człowieka. Zwróćmy jednak uwagę na rzecz niesłychanie ciekawą i ważną. Robert Jordan, Harry Morgan, Miguel Retano są postaciami, użyjmy tu starego i oklepanego terminu historyków literatury, „romantycznymi”. Znaczący to po prostu, że sposób ich postępowania jest czymś nie do utrzymania w syst. kapita. listycznym i albo zostaje złamany (patrz: „Biedni i bogaci”), albo istnieje w warunkach społecznych bardzo szczególnych (torreadorzy w Hiszpanii), albo też staje się tolerowany na skutek stanu najzupełniej wyjątkowego jak np. wojna. Nie zapominajmy, że wielkość Roberta Jordana zaczyna się z chwilą powstania gen. Franco. Uniwersytecki lektor zostaje żołnierzem, a ustawicznie ryzyko „uszlachetnia go i uwzniośla”, tak jak „uszlachetnia” i „uwzniośla” wszystkie postacie Ernesta Hemingwaya, dając im awans na bohatera, którym warto byłoby zapamiętać, nie będzie nigdy p. Babitt czcigodny obywatel miasta Zenith. Dlaczego p. Babitt jest nadto płaski? Bohaterem u Amerykanów może zostać człowiek wyłączonego z normalnego trybu życia kapitalistycznego, wyrzucony częstokroć na margines społeczny. To klasyczny chyba przykład inteligentkiej mitologii, niebezpiecznej wprawdzie, ale mniej groźnej od drobnomieszkańskich utopii, tak starannie zapamiętyjących powieści Johna Steinbecka.

W dalekich stanach Kalifornii panuje spokój pustych miasteczek, odległej prowincji. W „Ulley Sardynkowej” czytaliśmy o pięknym życiu drobnych posiadaczy, lumpów, o których w większym wydaniu słyszeliśmy dużo wcześniej, w „Tortilla Flat”. Zaczyna się apoteoza przedmieścia Monterey, opowiadanie o sezonowych robotnikach rolnych, łazikach i ludziach marginesowych. Czytajmy tedy: „Cannary row to poemat, ryszotek, szczęk żelastwa, barwa światła, dźwięku, sposób życia, nostalgia, sen”. Wejrzymy w ten szczególny świat złodziei i prostytutek. Od razu zobaczymy wiele mówiący fakt. Zasadą, w imię której selekcjonowano dotychczas wydarzenia, zacierpnięta z tradycji naturalizmu, została złamana. Dopóki nie mówiono o małej uliczce, o sezonowych robotnikach, żyjących dokoła rzeki Salinas, pragnących jednego tylko — zdobycia niewielkiej własności, drobnej działki z domem i ogrodem, powstawały ponure „wizje” godne Faulknera i Cadwella. Z chwilą jednak przemian tematycznych, od razu pojawiły się metamorfozy w sferach artystycznych. Tradycje Sherwooda Andersona starannie odnowiono. Właśnie małe miasteczko, właśnie ludzie, którzy nie widzieli Chicago i Manhattanu. W stosunku do nich nie obowiązują rzeczywistość z „Mysz i ludzi”. Doc nie jest samotny, bohaterowie „Tortilla Flat” żyją w atmosferze wiernej i wypróbowanej przyjaźni. Tu nie ma ludzi osobobnych, tu znajduje się prawdziwe szczęście. Skąd to przekonanie? Przyczyny jego okazały się niestety bardzo proste. Przecież to ucieczka na peryferie społeczne, do środowisk stosunkowo najmniej związanych z dalszym rozwojem w ramach kapitalistycznej struktury społecznej. Mieszkańcy ulicy Sardynkowej mają bardzo kiepską pozycję społeczną. Nic więc dziwnego, że w nich, w ich ścisłych związkach grupowych, „dobrym sercem”, szczerości dostrzeżeniu Steinbeck ostatni dostępny mu raj, polegający przecież na zakonserwowaniu, tradycyjnej obyczajowości drobnomieszkańskiej, niszczony razem z likwidacją podstaw ekonomicznych klas średnich, razem z ekspropriacją rodziny Joadów.

KONIEC KRYZYSU

Steinbeck ma około 50 lat, Caldwell jest w jego wieku, a Faulkner — jeszcze starszy. Hemingway od 1941 r. nie może napisać powieści, zaczętej, jak twierdzi krytycy, już dawno. John Dos Passos rzucił literaturę, Wolfe umarł, Marquand zamilkł. Działają jeszcze Caldwell, ale czas jego największych

sukcesów wydaje się kończyć. Tak niezbyt pomyślnie, wygląda kronika lat powojennych w odniesieniu do prozaików średniej generacji. Młode pokolenie odeszło od nich, jest inne, mówi obcym językiem. Odrzuca wiele z dzieł swych poprzedników, uważa je za barbarzyńskie, likwiduje nawet to co ceniono niegdyś najbardziej w „The sun also rises” i „Mices and Men”. André Maurois zachwycał się przecież prozą Hemingwaya, redukującą tak starannie wszystkie momenty introspekcji psychicznej, ograniczającą wiedzę autora o postaci do minimum t. j. do jakichś oderwanych, niekojarzących się ze sobą przeżyć.

Widział w tym doskonały efekt artystyczny, nie dostrzegając wniosków ideologicznych bezpośrednio stąd wynikających. Usuwanie asocjacji bergsonowskiej psychologii, rozbicie kartezjańskich pewników, w imię których każdy monolog wewnętrzny przypominał tyradę aktorską. Tak zaczęło się w 1920-ym. W tych nowych próbach budowania psychologii człowieka tkwiła inna zasada bardzo ciekawa i bardzo niepokojąca. Kiedy w „Zabójcach” Ole Anderson dowiedziawszy się o tym, że mają do niego przyjechać dwaj mężczyźni, którzy chcą go zabić, pozostaje w mieszkaniu oczekując na nich, powstaje sytuacja w konwencjonalnej beletryście Dreisera, Lewisa wręcz niedopuszczalną. Gdybyśmy w tym miejscu znaleźli wstawki o przeżyciach psychicznych Ole Andersona, o jego zniechęceniu do życia, o „rozwiązanych” złudzeniach, cała sprawa byłaby jakoś jasna. Ale autor jest sam Hemingway, milczy, nie wie nic o doznaniach bohatera. Kiedy indziej zna tylko proste reakcje nie podając ich motywów; te zostają zamaskowane i ukryte. Możemy śledzić postępek, możemy stwierdzić, że ktoś miał gorączkę, a ktoś inny lubił ciastka ale nie będziemy nigdy pewni, że George Milton zabił z litości Lenniego. Motywy jego działania zawarte są tylko w słowach, którym siłą rzeczy musimy wierzyć. Ten behawiourystyczny auto-determinizm, nie pozwalający wyjaśnić przyczyn ludzkich zachowań, wyrastał z agnostycyzmu, z braku prawdziwej wiedzy o świecie i z dezorientacji. Minimalizm psychologii, bo jak inaczej można nazwać doktrynę, był wynikiem panicznego lęku inteligencji owej epoki, która pod wpływem klęsk ponoszonych ustawicznie w walce społecznej, nie tylko że już nie wierzyła w poznawalność świata, lecz nawet przyznawała się do braku wiedzy o racjach kształtujących zachowanie pojedynczego człowieka. Ale kryzys szybko skończył się. Hemingway chwycił się joyceowskiego asocjacjiizmu. Saroyan uznał introspekcję, a John Steinbeck motywował dalej zachowanie jednostki jej prywatną korzyścią. To właśnie zalamanie behawiouryzmu było początkiem klęski poniesionej przez literaturę „straconego pokolenia”. Teraz gdy piszę te słowa wiadomo już dobrze, że ani Hemingway, ani Marquand, ani Farrell nie zostaną nauczycielami Davida Davidsona i Carson-Mac-Cullera. Kryzys na terenie literatury został gruntownie przezwyciężony. Przeszła być sprawą społeczną. Wśród najmłodszych znać wychowanków naturalnie genialnego Amerykanina Henry Millera, wielbicieli Wolfe’a obok niespodziewanych progresywistów, na czele których stoi sam John Dos Passos, zrywający z przeszłością i wyziewający współczesną Amerykę w wielkim reportażu „The ground we stand on”. Zaczęło się od pierwszych objawów zdrady i sprzeniewierzeń ideologicznych. John Dos Passos wycofał się przecież z pozycji, na której stał pisząc „U.S.A.”, zachwycał się kapitalizmem i publikował artykuły o potrzebie pełnego wykorzystania zwycięstwa Stanów Zjednoczonych.

William Saroyan w „The human comedy” wstrząsał się małym prowincjonalnym miasteczkiem, w którym są dobrzy ludzie, ze szczerym sercem, z przyjacielskim stosunkiem do bliźniego, z którego poszli żołnierze walczyć z Japończykami i bronić ojczyzny. Pod akompaniament drobnomieszkańskiej literatury nadciągał nacjonalizm. W nim nie było protestu, w nim był zachwyt krajem Ameryki Północnej i słowa z listu Abigail Adams do męża: „Czy wiesz, że europejskie ptaki nie umieją nawet w połowie śpiewać tak jak nasze”. Archibald Mac Leish wołał: „O, Ameryko moja nowo odkryta ziemiolo”. To był ten sam Archibald Mac Leish, który w niewiele lat przed tym ubolewał w swych znanych poematach. „I pokolenia wyrastają, lata przechodzą a my nie wiemy”.

Równocześnie przebiegał drugi nurt literacki odkopujący Gertrudę Stein i rozumiejący ją dokładnie niż Hemingway, wyszukujący Kafkę, Malraux, Green oto wielcy przywódcy najmłodszej amerykańskiej powieści, a przynajmniej poważnej jej części.

Curson Mac Cullers, David Davidson dogonił zachodnią Europę, t. zn., że piszą książki w stylu „Doli człowieczej” i „Dżumy”, że zachwycają się Sartrem i podziwiają „Czarodziejską górę”.

A socjalne przyczyny tych faktów? Pierwsza z nich to ugodowość i wielka rola drobnomieszkaństwa. Klasy średnie doszły do głosu w Ameryce, a ich przedstawiciele wierzą już w rozwój kraju, w jego wielkość. John Steinbeck był kiedyś pisarzem protestującym, pisarzem zbudowanym, dziś jest bardzo optymistyczny, tak jak i jego następcy dostosowujący z wolna swą hasła artystyczne do poprawionych warunków, do coraz bardziej racjonalizowanego (w miarę rozwoju monopolów) systemu ekonomiczno-społecznego. Bo nawet pisarze, którzy nie przeszli jeszcze na pozycję burżuazijną, jak to uczynił Dos Passos, jak to robi Saroyan, bronią się bezradnie przeciw rzeczywistości, widzą chaos, zapowiadają upadek, ogłaszają raz poraż krucjaty przeciw przetrzuczeniu. Dlatego też mówiącemu o nich przypominają się słowa Erskine’a Caldwell w jednej z ostatnich jego książek: „Oto jesteśmy, oto wszystko co mamy, ale nikt spośród nas nie wie, co zrobić dalej”.

Lech Budrecki

Jerzy Tepich

Rozgrywka z agraryzmem jeszcze nie zakończona!

„NIEROZUMNA WSTYDLIWOŚĆ“

W numerze 28—29 „Wsi“ przeczytałem artykuł Piotra Pigwy pt. „Memento“, nawiązujący do fragmentów pracy, ogłoszonej przeze mnie w „Nowych Drogach“ na temat postępowych i wstecznych nurtów ideologicznych wsi polskiej. Artykuł ob. Pigwy, mimo wyraźnej życzliwości autora dla marksizmu i tez, które starałem się wyłożyć, zmartwił mnie. Zmartwiła mnie przede wszystkim ta skłonność (zaobserwowana nie tylko u Pigwy) do łatwizny i uciekania z pola walki ideologicznej z wstecznictwem pod pretekstem, że wszystko już załatwione, że — jak pisze P. Pigwa — błędy „więcej się nie powtórzą“.

Po co było nazywać swój artykuł „Memento“, skoro — jak twierdzi autor w innym miejscu — „rozgrywka z agraryzmem została już zakończona“? Czy autor nie spostrzegł, że przeczy sam sobie skoro w tym samym artykule stwierdza, że na uniwersytetach naszej, robotniczo-chłopskiej, Trzeciej Rzeczypospolitej pakuje się jeszcze do głów młodzieży ideologiczną siećką Laura i innych bożyszczych agrarystycznych wstecznicwa? Czy autor nie czytał ciekawego artykułu J. A. Króla we „Wsi“ o wielkanocnym numerze „Chłopów i Państwa“, usiłującym odświeżyć stare mity o „wynaturzonych ludziach kultury miejskiej“ itd.? A może autor znalazł w którymkolwiek z następujących numerów wspomnianego tygodnika słówko krytyki tej wielkanocnej wystawy ideologicznych rupiec?

Jeśli komuś tych przykładów jest mało, to pozwolę sobie jeszcze przytoczyć artykuł ob. „zk“ w „Gazecie Ludowej“ z 18 kwietnia br. Artykuł ten został także spowodowany postawą kierowniczego aktywu ZMW RP „Wici“, który na konferencji ideologicznej w Dębowej Górze nie tylko zerwał ostatnie mosty z agraryzmem, lecz także (i to jest gwarancją szczerości jego kroku) podjął odważną próbę analizy całej przeszłości agraryzmu. Lecz w odróżnieniu od wymienionego wyżej tygodnika, ob. „zk“ nie zganił się na „nowinki wiciarzy świeżej daty“ (czytaj: młodych). Wręcz na odwrót, woła: bravo młodzi, my zawsze mówiliśmy to samo! I zapewniam nas, że wzór obywatela „uwolniony od wpływów agrarystycznej mistyki“ kształtował... Ignacy Solarz z przyjaciółmi, którzy „położyli podwaliny pod gmach racjonalistycznej kultury“ (dosłownie), że ich program „to był racjonalny program, oparty na ocenie sytuacji społeczno-politycznej i zdecydowanej woli jej przeobrażenia“, zaś „wszelkie agrarystyczne opracowania stanowiły tylko jego wynaturzenie“.

Myszę, że Solarz — gdyby ożył — zawstydziliby się tych swoich dzisiejszych obrońców. Bo Solarz był człowiekiem rzadkiej prawości i odwagi osobistej. Nie wiem, czy by rozumiał, że błądził i że błądząc — szkodził. Lecz niezawadnie powiedziałby im: „wypierając się agraryzmu i unikając zarazem analizy jego historii, bronicie nie mnie, tylko własnych błędów lub małoduszności“.

Myszę, że rację miał marszałek Władysław Kowalski, gdy w specjalnie na Święto Ludowe pisanym artykule do „Zielonego Standardu“ wystąpił przeciwko „nierozumnej wstydlivosti“ części starych działaczy, którzy wszak „mają święty obowiązek wyjaśnić młodym wszystkie błędy ruchu ludowego, dać rzetelną analizę tych błędów“, gdyż — w przeciwnym razie — „oni (tzn. młodzi) tej prawdy poszukają sami wbrew temu czy my tego chcemy czy nie chcemy“. Marszałek Kowalski dodaje: „i obawiam się, że właśnie zwulgaryzują tę prawdę i to-będzie ich prawem“.

Myszę, że Piotr Pigwa nie wyczuł i nie postarał się zrozumieć przewodniej myśli mego artykułu w „Nowych Drogach“. Pierwsza i druga część wspomnianego artykułu to nie tylko prostowanie „nieporozumień“ (ściślej: fałszów) i stwierdzanie bliskości radykalnych pierwiocin polskiego ruchu ludowego do marksizmu. To zarazem samokrytyka naszych, polskich marksistów, błędów w stosunku do ruchu ludowego w przeszłości.

Zaś trzecia część artykułu w „Nowych Drogach“ — to nie zrobiony ot tak sobie, „dla pamięci“ rejestr grzechów ideologicznych prawicy w ruchu ludowym. To małe wycinek prawicowej spuścizny, która wciąż jeszcze ciąży na ruchu i wylazi na wierzch przy najrozmaitszych okazjach — zarówno w organizacjach kulturalnych czy gospodarczych.

Spuścizna ta wyraża określone interesy określonej grupy społecznej, stosunkowo nielicznej, lecz ciężącej na życie społecznym wsi: klasy wiejskiej kapitalistów. Klasa ta, jako się rzekło, nieliczna (około 10% gospodarstw chłopskich) nie tylko wyzyskuje chłopów bezrolnych, małorolnych i średniorolnych na wszelakie możliwe sposoby (praca najemna, wynajem inwentarza, dzierżawa, handel spekulacyjny, lichwa itd.), lecz w swej walce przeciwko demokracji ludowej, broniąc chłopów biednych i średniorolnych, stara się utrudnić dojrzewanie ideologiczne tych mas, zaszczerpiając im antydemokratyczną i antynarodową ideologię agraryzmu.

Jakże miał jednak to wszystko dojrzeć ob. Pigwa, dla którego problem prawicy i lewicy w ruchu ludowym nie istnieje i który ja-

ko „obronca marksizmu-leninizmu“ stawia na głowie to, co wyczytał w moim artykule. Mój recenzent pisze:

„W świadomości niemałej części działaczy i twórców ruchu ludowego utrwaliło się przekonanie, że marksizm-leninizm jest ideologią ściśle klasową, należąca wyłącznie do robotników, nie mająca nic wspólnego z ruchem chłopskim“.

Pozornie pięknie napisane, a w rzeczywistości groch z kapusią. Dopiero kupiwszy Nr 28—29 „Wsi“, dowiedziałem się, że — wg mnie marksizm nie jest ideologią ściśle klasową. Niestety, szanowny recenzent czytał widać „Nowe Drogi“ w tramwaju i — przewracając nonszalancko stronicę — przeoczył w pospiechu strony 162 i 163, gdzie wyłożona jest leninowska teoria sojuszu robotniczo-chłopskiego, klasowa nie tylko w stosunku do miasta, lecz również ściśle klasowa w stosunku do wsi, gdzie rozróżniamy sojuszników (chłopów bezrolnych, małorolnych i średniorolnych) od wrogów — wielkokompleksowych kapitalistów. Z ich ideologia walka nie jest zakończona. I nie może być zakończona, dopóki istnieje na wsi (i w mieście!) kapitalizm, szacący swój jać duchowy tysiąciami parami do organizacji politycznych i społecznych demokracji ludowej. Dlatego obec nam jest zarówno niefrasobliwe, niedbałe lekceważenie tej walki przez niektórych młodych wygodników, jak i małoskorna wstydlivość brązowników własnej przeszłości.

U nas, rewolucyjnych marksistów, nie ma tej „nierozumnej wstydlivosti“, którą tak słusznie napiętnował nestor ruchu ludowego. Nie wstydzimy się omawiać publicznie własnych błędów, ani błędów naszych sojuszników. My tak, a nie inaczej, rozumiemy szczerść sojuszu. Oczywiście, respektujemy ich prawo do likwidowania własnymi siłami swych błędów i dlatego — nawiązując do (jedynego) zdania na temat agraryzmu, jakie znalazło się w umowie SL — PSL, dodałem tylko, że „szczególnie wdzięczne pole otwiera się przed tymi, których błędy stanowiły ideologiczną pożywkę prawicy w ruchu ludowym“.

Piotr Pigwa przekonał mnie jednak, że to pole nie jest jeszcze dosyć widoczne. Postaramy się je trochę bardziej oświetlić.

CZY AGRARYZM PROWADZIŁ DO FASZYZMU?

We wspomnianym już artykule marsz. Kowalskiego autor stawia m. in. pytanie, jak wytłumaczyć młodym fakt, że Mikołajczyk, który w roku 1935 wypowiedział bunt kongresowi zjednoczonego Stronnictwa, żądającemu wywłaszczenia obszarników bez wykupu, nie tylko nie został wyrzucony ze Stronnictwa, lecz przez tenże kongres został wybrany na wiceprezesa SL. Obywatel Kowalski łączy te kumoterskie stosunki i zupełny brak dyscypliny z ideologicznym wyjąłowieniem ruchu przez prawicę, przez co:

„wrogowie z łatwością mogli tam zaszczerpić swoją ideologię, podporządkować swoje mity, krzepy, teżyzny, agraryzmy, czyli odwracać uwagę od chłopskiej nędzy ku filisterskim niebosiężnym złudom. Chłop gnł w nędzę i brudzie, a zamiast walki o wyzwolenie dowiadywał się, że ma czystego ducha, teżyznę itp. zalety“.



Marszałek Sejmu Władysław Kowalski rys. K. Muszyński

Wymowną ilustracją prawdziwości tych słów stanowi wydana w r. 1933 nakładem „Wici“ broszura Aleksandra Zaleskiego pt. „Agraryzm, próba izolacji i syntezy ludowej myśli politycznej“.

Posłuchajmy tej „ludowej“ syntezy (podkreślenia nasze):

„Znane jest prawo fizyki, że dla równowagi potrzebne jest oparcie na trzech punktach, nie na jednej linii leżących“.

„Jeżeli agraryzm ma spełnić rolę dziejową, jeżeli ma przywrócić równowagę — należy go odsunąć jak najdalej od socjalizmu i kapitalizmu. Im dalej się znajdzie agraryzm, jako trzeci punkt oparcia, od linii wielkiego przemysłu — tym trwalszą i mocniejszą przywróci równowagę — tym pewniej zażegna katastrofę, do której pcha kryzys“.

„Przyroda nie znosi przesady — wymaga pewnej równowagi“.

„Sama natura rolnika, charakter jego zajęcia — skłania go do unikania walki z ludźmi, gdyż walka odrywa go od umiłowanej pracy na roli“.

„W rolnictwie głównym czynnikiem produkcji jest przyroda, za nią idzie praca, a dopiero na końcu technika“.

„Agraryzm głosi prawo do ziemi. Za podstawę ustroju bierze małe samowystarczalne gospodarstwo rolne. Wyznaje kult ziemi — powołany jest, aby przywrócić równowagę unicestwianą przez kryzys — przez wykonanie prawa do ziemi, przez wielką Reformę Rolną, przez nadanie ziemi masom głodujących nędzarzy, przez wędrowki tych mas do miejsc, gdzie dużo wolnej ziemi“.

„Ufny w słuszność swych zasad, w ich życiowość — agraryzm jest przekonany, że samo życie odda mu kierowniczą rolę przy przebudowie świata. Więc agraryzm nie rzuca wyzwania do walki, ale ofiaruje współpracę przy doprowadzaniu ludzkości do równowagi“.

„Elektryczność i traktory plonów nie podniosą — ułatwią tylko pracę, ale przecież ręk robotniczych mamy nadmiar! Sztuczne zaś nawadnianie, sztuczne nawozy, melioracje — podniosą plony, ale nie więcej jak dwukrotnie w stosunku do racjonalnej gospodarki zwykłymi środkami“.

„Ale przecież za te pieniądze, które kosztowałyby takie zmodernizowanie jednej morgi — można kupić co najmniej cztery, a w niektórych wypadkach nawet dziesięć morgi razem z niezbędnym inwentarzem“.

„Wtedy całkiem prostą drogą można mieć tym samym kosztem nie dwa razy ale pięć i więcej razy większe plony“.

„Takie drogie inwestycje mogą się opłacić, ale wtedy, gdy będzie dwa razy tyle ludzi na świecie, gdy ceny zboża będą dwa razy większe, a maszyn dwa razy mniejsze — może za lat sto, może za dwieście, a może jeszcze później“.

„Skoro po wyczerpaniu wszystkich środków nie będziemy mogli pomieścić w granicach Państwa Polskiego całej ludności nie doprowadzając jej do nędzy — to nie pozostaje nam innego jak szukać miejsca dla jej nadmiaru poza granicami Polski. A więc emigracja jest rzeczą nieuniknioną“.

„W końcu Rząd Polski będzie musiał w myśl „prawa do ziemi“ wystarać się o ziemię dla chłopów polskich poza granicami Polski“.

„Tedy w „nowej deklaracji ruchu ludowego“ kwestia żydowska winna być postawiona wyraźnie. A przywódcy ruchu ludowego, którzy dotąd nie mogli się zdecydować na antysemicką politykę — winni poddać się woli ludu lub usunąć się“.

„Jeśli przyznajemy pojedynczym ludziom „prawo do ziemi“ — to musimy to prawo przyznać narodowi, jako zbiorowisku jednostek posiadających prawo do ziemi. A więc „prawo do ziemi“ ma znaczenie ogólnoludzkie — międzynarodowe“.

„Na żyzne, ale puste ziemie Mandżurii, która jest niby chińska, a właściwie niczyja — szedł burżuazyjny, prywatny kapitał międzynarodowy i sowiecki państwowy kapitał socjalistyczny — po złoto, po zysk. Dzisiaj idzie tam — walczyć — naród japoński, duszący się w swych granicach, cierpiący głód ziemi — ale idzie po ziemię“.

— Nie powinien — wola międzynarodowy kapitalizm — bo prawo własności nie pozwala!

— Nie powinien — wola socjalizm — bo prawo ochrony słabszego nie pozwala!

— Musi — powie agraryzm — bo prawo do ziemi mu każe!..

„Ale czy my mamy upatrzoną jaką „Mandżurię“? Czy my szukamy jakiej „Mandżurii“ dla nas? Czyśmy w ogóle zaczęli myśleć o szukaniu naszej „Mandżurii“?“

Chyba dość. Pozostawmy na boku stek bzdur przeciwko melioracjom, sztuczny nawozom itp., będących zresztą tylko logiczną konsekwencją mitu o „synach Słońca i Ziemi — wolnych twórcach chleba“. Zajmijmy się innym związkiem logicznym i chronologicznym.

Deklaracja programowa „Wici“ z roku 1931 głosiła: „w poczynaniach swych nie ustalamy czynnego stosunku do bieżących zdarzeń politycznych“. Referat Solarza w Kępie Celejowskiej (lipiec 1933) głosił, że walka o Polskę Ludową to „nie tyle zagadnienie formalistycznego ustroju politycznego i gospodarczego... ile sama dusza nowych ludzi“. Tenże referat głosił — wbrew prawdzie, jaką była ruina milionów chłopów mało- i średniorolnych — że „drobne gospodarstwo chowa w sobie dziwną tajemnicę łagodzenia przeciwności i tarc“.

Czy jest związek logiczny i chronologiczny między tymi wypowiedziami, a wydana w r. 1933 broszura o agraryzmie, która głosi, że „walka odrywa od umiłowanej pracy na roli“, że „agraryzm nie rzuca wyzwania do walki, ale ofiarowuje współpracę (komu? w Polsce państwo wówczas sanacja, w większości Europy — kapitalizm) przy doprowadzaniu ludzkości do równowagi“?

Czy jest jasne czyją katastrofę miał „zażegnać“ agraryzm, rzekomo „jak najdalej odsuwający się od socjalizmu i kapitalizmu“?

Nie ulega wątpliwości, że takie chowanie głowy w piasek i „nieuznanie“ ani kapitalizmu ani socjalizmu mogło być szczerym u pewnych wyrazieli ruinowanych chłopów średniorolnych, względnie małorolnych — ściślej mówiąc: zafacowanej części rujnowanych warstw chłopskich, która szukała ratunku w niemożliwym cofnięciu kół historii wstecz, miał przeć naprzód. Lecz że to „nieuznanie“ prowadziło w konsekwencji do podpierania kapitalizmu zarówno na wsi jak w mieście, o tym chyba nie trudno się przekonać, czytając zacytowaną wyżej broszurę.

I nie tylko o tym. Proszę się przyrzecć uważnie tej kolejności założeń i wniosków agrarysty Zaleskiego: „kult Ziemi“ — „wielka Reforma Rolna“ (przy „unikaniu walki z ludźmi“) — „Szukanie miejsca poza granicami Polski“ — „Szukajmy naszej Mandżurii“ — „Prawo do ziemi nam każe“.

Jak to się wszystko trzyma kupy! „Kult ziemi“, „wielka“ reforma bez walki z obszarnikami — w postaci „jakiejś“ Mandżurii dla polskich chłopów, wołanie o antysemicką politykę i apologia japońskiego imperializmu.

W tym samym roku 1933 na konferencji w Kępie Celejowskiej Jerzy Kuncewicz wygłaszał pochwałę polityki agrarnej Mussoliniego.

Więc jak: czy agraryzm prowadził do faszyzmu?

Zdaje się, że do umowy o współpracy SL z PSL, która stanowi ważki i pozytywny fakt w życiu naszej demokracji ludowej, wkradło się słówko świadczące o niezdrowym, a silnym jeszcze nacisku „nierozumnej wstydlivosti“. Oddzielając mianowicie tradycje współpracy z reakcją od tradycji agraryzmu (który sprowadza wyłącznie do chłopskiego separatyzmu), umowa powiada o tych ostatnich, że są „wykorzystywane obecnie w zdrazieckiej działalności wstecznicwa“.

Jeśli to „obecnie“ ma zaoszczędzić niektórym ojcom duchowym agraryzmu wysiłku krytycznej analizy przeszłości, to praktyczniej jest na to nie liczyć. Trudno przecież zakazać młodym i ciekawym umysłom zagłądania do niepożądanych jeszcze kart literatury agrarystycznej, konfrontowania idei i autorów z faktami, które zaszły wówczas i w następstwie.

Człowiek ma prawo się zmieniać, ma prawo z otwartym czołem podejmować walkę o postęp — pod warunkiem odważnej rewizji tego w swojej przeszłości, co uznał już sam w głębi ducha za wsteczne.

Prościej, naprawdę prościej zerwać niemoralny kompromis z nieprawdą.

Tadeusz Chrościelewski

Poziemiańska inteligencja rosyjska

(Komentarz do trylogii rewolucyjnej Aleksego Tolstoja *)

Aleksy Tolstoj eks-ziemiańin, liberal, były współpracownik modernistycznego „Apollina”, autor cenionych nowel, po zwycięstwie rewolucji październikowej przechodził łącznie ze sporą grupą lewicowej inteligencji rosyjskiej przez tzw. „smienę wiech” — 1921) — opowiada się szczerze przy ustroju zwiędłym, wkrótce potem pisze pierwszy tom obszernej powieści, której zadaniem jest pokazać sytuację inteligencji pokolenia w przededniu rewolucji, wytłumaczyć przyczyny katastrofy, wreszcie pokazać proces dojrzewania jej do zrozumienia rewolucji.

Porewolucyjny debiut literacki Tolstoja zastanowi krytyka zmienną środków wypowiedzi modernistycznego arystokraty słowa i przełamaniem doniedawnych konwencji literackich, w celu wyrażenia nowych treści i oddziaływania na nowego czytelnika. Badacza procesów społecznych utworzył zaimię przede wszystkim jako dokument wskazujący na sily warunkujące tragedię rewolucyjną inteligencji i na odzwierciedlony w trylogii charakter jej nawrócenia. By zrozumieć wymowę powieści, należy zapoznać się z historią pokolenia.

W PAŃSTWIE CARA STRASZY

Lata dzieciństwa i wczesnej młodości autora „Drogi przez mekę” przypadają na koniec epoki — ostatni dziesięć XIX wieku — która rozpoczęła zniszczenie państwa. Spędza je w cichym folwarku przywotzańskim, stojącym na progu likwidacji. Są to lata szybkiego rozwoju kapitalizmu i przejścia jego w fazę imperialną. W związku z tym baza własności folwarcznej znacznie się kurczy. Sama zmiana modelu gospodarczego państwa, nieumiejętność przystosowania warsztatu rolnego do wymogów nowego życia ekonomicznego, chroniczny ogólnoeuropejski kryzys

*) Aleksy Tolstoj — „Droga przez mekę” — I t. — „Siostry” — r. w. 1921; II t. „Rok 1918” — r. w. 1928; III t. „Pochmurny ranek” — r. w. 1944.

*) zn. „zmiana poglądów” — określenie, które uzyskało w rosyjskiej historii ostatniego wieku prawo obywatelstwa. „Wiechy” (przekonania) to zbiór artykułów z r. 1908 demonstrowujących ówczesne poglądy tej grupy inteligencji.

w związku z konkurencją zboża amerykańskiego, na rynku wewnętrznym konkurują kułacy, mający mniejsze potrzeby życiowe, możliwości tańszej eksploatacji i brak kompleksów ziemiańskich. Następuje masowy exodus deklasujących się Raniewskich i Gajewów z „Wiśniowego sadu” na bruk miejski. Luźnie wiszą przy burżuazji, kierują się przeważnie na wolne zawody, na które istnieje znaczny popyt w rozkwitającym mieście kapitalistycznym. Stanowią trzon wielkomięskiej inteligencji.

Pierwoplanowe procesy społeczne tych kilkunastu lat to: rozwój wielkiej burżuazji i jej silne oddziaływanie na życie polityczne Rosji, jednocześnie rozrost uświadamiającego się i zwierającego w pierwsze grupy marksistowskie proletariatu. Na terenie wsi wzmacnia się klasa kulacka kosztem ziemian i proletaryzujących się chłopów. Wszystkie trzy cechyje agresywność. Walczą w pierwszym rzędzie o reformy polityczne m. in. „program — minimum” Lenina, rozgrywkę między sobą odkładają na plan dalszy.

Jakie są nastroje grup społecznych, które wskutek przemian gospodarczych zostały wytracone z dotychczasowej statycznej egzystencji — ziemianstwa, wsi biedniackiej i inteligencji; przed którą to przemianą rysowały zasadniczo znaczne możliwości.

Lenin określa je jako wypływający z dezorientacji lęk przed idącym „nowym”. „Co się wywróciło — jest doskonale wiadome: pańszczyzna i cały odpowiadający jej „stary ład”. To zaś, co się dopiero zaczęło, jest absolutnie nieznanne. Ustrój burżuazyjny przedstawia się niewyraźnie w postaci „straszdyła”. Dezorientację i lęk widać wyraźnie w zainteresowaniach intelektualistów, uczonych, filozofów, artystów. Ten sam lęk decyduje, choć w różnorodny sposób, o linii politycznej inteligencji. Brutalne zetknięcie się z „amoralnym” mechanizmem przemian gospodarczych skłania pierwszych do ucieczki „w czwarty wymiar”: w problematykę stojącą najzupełniej poza aktualną rzeczywistością, w nierealne rozważania, mające uratować nadzarpięty przejawami dnia codziennego moralistyczny obraz świata, który dał się już odrestaurować jedynie pod spojrzeniem mi-

*) W. I. Lenin — „Lew Tolstoj i jego epoka” — „Dziela” t. XV — str. 100.

stycznym) Neohellenizm akademicki i artystyczny: „Towarzystwo Neofilologiczne” — działalność W. Iwanowa, J. Annieńskiego, T. Ziełińskiego i mistyczne koncepcje filozoficzne wodza duchowego intelektualistów W. Słowjowa; oderwane rozważania nad istotą Dobra i Zła, cała naddubowa filozoficzna uderzająco bujnego rosyjskiego modernizmu i symbolizmu; anachronistyczne koncepcje, koteryjny „chrześcijański liberalizm”, „mesjanistyczny socjalizm”, „mystyczny anarchizm”, „teorie mitotwórstwa” W. Iwanowa. Na tę część inteligencji wywierała olbrzymi i zupełnie zrozumiały urok idea „Jasnej Polany” Iwa Tolstoja — wezwanie do ucieczki od rzeczywistości — ucieczki tym ponętniejszej, że określonej topograficznie — cicha roussovska wieś — „oproszczenie” — schłopenie. Ucieczka taka miała umożliwić zignorowanie rzeczywistości przez wyzwolenie się spod niej duchowe. Nie rozumiano, że baza trzeszczy.

PEREGRYNACJE POLITYCZNE SPOŁECZNIKA INTELEGENCJI

Narodnicy — ludowi socjaliści, którym w uprzednich dziesiętkach lat przyszłościowa szczęśliwa Rosja przedstawiała się dość prosto i wyraźnie — jednoklasowe społeczeństwo ludowe, rządzące się „obszczyzną”, realizowane drogą złamania folwarku i jego strażnika caratu, przeżywają obecnie ciężki kryzys ideologiczny.

Kapitałizm stawiający pierwsze kroki przedstawiał im się dotychczas jako zjawisko efemeryczne i mało znaczące. W latach 1890—1905 efemeryda wyrastała w silną młodziwą; zniszczyła przeciwnika i wieś, przeksztalała „stary ład” na coś niepojętego. Przerazenie kazalo bądź to przejść na ślepe tory ludowego anarchizmu, bądź przytępiło ostrze antycarskiej polityki i następnego grupie centralnej koncepcję wyrwania Rosji ze szpon kapitalizmu przez budowę samowystarczalnej izolowanej od świata Rosji kulackiej. Znaczna część inteligencji w tej samej drodze przed „nowym” oscylowała ku prawniczym grupom marksistowskim, bądź ku miewszewikom, lub wisiła luźnie przy marksiz-

*) Mistycyzm tłumaczy się m. in. tradycjami religijnymi: cerkiew mistycyzuje o wiele silniej niż stosunkowo racjonalizowany tomiśtyczny kościół rzymski.



Aleksy Tolstoj

mie. Powodem sympatii była zapowiedź zlikwidowania kapitalizmu. Jedynie — liberalowie — zachodowcy, reprezentujący tradycyjną linię abstrakcyjnego społecznikostwa ziemiańskiego zachowywali przypadkową najczęściej neutralność — przypadkowa, bo nie płynąca ze świadomości skutków społeczno-gospodarczych konsekwentnie pojętego liberalizmu, płynąca ona z idealizacji republikańskiego zachodu i z wyłącznego zaabsorbowania zrealizowaniem parlamentarizmu w Rosji — rzekomego antydotum na wszelkie bolączki społeczne i państwowe. Cechuje ich paradoksalnie ciepły stosunek do marksizmu, co wynikało z przekonania, iż mają przed sobą faktycznego towarzysza broni w walce „o prawa człowieka i obywatela”, i z idealistycznej sympatii do wszelkich ruchów wyzwolczych. Na pograniczu między dwoma powyższymi grupami jest miejsce inteligenta petersburskiego, świetnie zapowiadającego się literata, późniejszego korespondenta wojennego liberalnych pism — Aleksego Tolstoja. Autor „Drogi przez mekę” zjawia się na terenie Petersburga w pierwszych latach XX w. Obraz byłby niepełny, gdyby nie uwzględnić inteligencji społecznej, zaabsorbowanej wyłącznie używaniem, na co można sobie pozwolić w błogosławionych dla burżuazji a więc i dla niej czasach. Idealem literackim tej najliczniejszej grupy był m. in. piewca homoseksualizmu M. Kuźmin. Przedstawiciel tej grupy A. Awerczenko po latach jako emigrant w powieści „Tużin noży w plecy rewolucji” „...do wyżyn patosu” — według słów Lenina — „sięgnie, gdy będzie mówić o jedzeniu: jak jedli bogaci ludzie w dawnej Rosji, jakie były zakąski w Piotrogradzie”.

„GRIADUSZCZYJ CHAM”

Burżuazyjna rewolucja 1905 r., która doprowadziła do parlamentu i chwilowego zwycięstwa politycznego wielkiego mieszczaństwa, spowodowała duże zmiany na mapie orientacji politycznych Rosji. Powodem był tu także strach, ale strach nowy. Rewolucja pokazała świeżą przerażającą siłę, a to z kolei postulowało zwarcie szeregów. Siłą tą okazał się bolszewizm, który sięgał dalej niż początkowo sądzono. Wydawał się realizować drakońską dyktaturę nihilizmu. Co „najgorzej”, wykazał siłę umożliwiającą rychłą jej realizację. Inteligencja w znacznej swej części zbliża się politycznie, przy niezmiennym towarzyskiej izolacji, do burżuazji, która, osiągnąwszy najbliższe cele polityczne, zbliża się do caratu i grup konserwatywnych. Zbliżenie to zainicjują najwyraźniej idealistyczni liberalowie, którzy tworzą w tym okresie oficjalną partię konstytucyjnych demokratów („kadeci”). To samo w większym niż dotychczas stopniu czynią narodnicy, obecnie partia „socjal-rewolucionistów” („eserów”). Następuje tzw. „zdrada” luźnej marksistowskiej inteligencji. Drogi jej zagmatwały się: odtąd będzie tworzyć efemeryczne grupy „lewicowcy” i wieszać się u klamek coraz to innych partii, bądź wracać z powrotem na lewe skrzydło socjal-demokracji i ponownie rozczarowywać się — Blok. Wyrazem tej katastrofy jest, w r. 1908 znany odczyt Bloka o inteligencji, w kilka miesięcy potem słynny zbiór artykułów „Wiechy” — Bierdajew, Bulhakow, Gersenson, Struwe i inni. Rozpaczający, wyrzekający, że czasy „nie dały im miecza, „lewicowcy” wysuwają w nich fantastyczną teorię o nadklasowości inteligencji, o swej roli jako gotębia z różdżką, uśmierzającego konflikty społeczne, proponują „rewolucję ducha”. Wódz rozkwitłego modernizmu — Mereżkowski zdradził przed „nadhodzącym chamelem”. Zaniepokojenie wywołało jako skutek wzmoczonego epikureizmu. Zastrzygo świadomość, że „świat ginie”. Ogarnięcie on próżniaków z Newskiego Prospektu. Nuty katastroficzne zdradzą w licznych erotykach tego okresu.

Nie będzie to jednak nastrój wyłączny. W wielu wypadkach strach osłabił przeświadczenie, że leninizm w praktyce skończy się na zlikwidowaniu nienawistnego caratu: mistyczne przekonanie, że będzie to jedynie przejściowy pożar, który ogniem i żelazem wypali „syfilis” zla moralnego zagnieżdzone-

*) W. I. Lenin — „Dziela” — t. XXVII str. 52

Leon Schiller

NA TEMAT t. zw. „TEATRU LUDOWEGO”

Czy można na temat ten jeszcze mówić? Czy można powiedzieć coś, co by nie brzmiało jak frazes, komunał, slogan? Tyle się w imieniu Ludu i dla dobra Ludu gupstw mówi i robi, czy to gdy chodzi o jego własną twórczość, czy też o tę, którą chcemy mu gwałtem narzucić, klasowo obcą, z kultury wczorajszego mieszczaństwa zapożyczoną, artystycznie zacofaną, społecznie bezużyteczną! Można z powodzeniem przepisać całą bibliografię literatury dramatycznej (światowej) i powiedzieć: oto jest repertuar scen ludowych. Nikt się o to spierać nie będzie.

Można zespoły teatrów ludowych organizować z aktorów zawodowych i z amatorów. Wszystko jedno. Raz z pierwszymi, raz z drugimi osągac będziemy powodzenia lub robić fiaska.

Udają się czasem spektakle wystawione prymitywnie, na byle jak urządzonej scenach, kiedy indziej zawodzi najwspanialszy, najkosztowniejszy montaż techniczny.

I rzecz najgorsza — tandeta literacka i szmira sceniczna przypadają pono do smaku publiczności „ludowej” na równi z arcydziełami literatury, ukazanymi w inscenizacjach wysoce wartościowych. Niezrządkiem nawet zla literatura i zły teatr szczytują się sukcesami, wobec których blednie działalność teatrów najbardziej ambitnych i twórczych.

Więc co? Szerzyć tandetę i uprawiać szmirę?

Albo poniechać wszelkich programów, nie zaprzatać sobie głowy zagadnieniami ideologicznymi i po staremu, jak to zwłaszcza u nas w epoce międzywojennej bywało, dawać publiczności to, czego ona żąda, kierować się jej gustem w dziedzinie repertuaru i wykorzystywać jej obojętność (dodajmy — specyficznie polską obojętność) w stosunku do formy widowiskowej, do gry aktorów, ujęcia reżyserskiego, oprawy scenograficznej itp.?

Tak przeważnie postępujemy. Szlachetniejsze wysiłki przeznaczamy dla elity drobnomieszczańskiej inteligencji. Zdarza się, że interesuje się nimi także publiczność „szersza”, przede wszystkim gdy w grę wchodzi dzieła klasyczne, przepojone humanizmem, łatwo czytelne, o opinii powszechnej ustalonej.

Na ogół jednak tej publiczności rzuca się

ochłapy ze stołów, przy których ucztuje bardzo podejrzane towarzystwo, wchodzące jeszcze, niestety, w skład naszego społeczeństwa.

Nie mam zamiaru rozwodzić się na temat jakiegoś „idealnego” teatru ludowego. Choćby dlatego, że taki twór „idealny”, nawet najrzetelniej teoretycznie przemyślany, a nie wyrosły z aktualnych, konkretnie określonych potrzeb widowni ludowej (w ścisłym, klasowym tego słowa rozumieniu) będzie nieuchronnie czymś sztucznym, czymś, co nie wytrzyma próby życia. Po wtóre wypowiedziałem się w tej sprawie kilkakrotnie, obszerniej, niż mogę to teraz uczynić i nie wiele miałbym do napisania na marginesie artykułów drukowanych w „Teatrze”, „Lodzi teatralnej”, „Myśli współczesnej” czy „Kuźnicy” oraz wykładów na Wydziale reżyserskim PWST. Mogę jednak ze wspomnianych wypowiedzi wyhuskać kilka тез zasadniczych:

1) Pojęcie „teatr ludowy” posiada jeszcze swój sens i posiadać go będzie dopóty, dopóki ustrój nasz, w dalszym rozwoju historycznym, nie usunie wszelkich pozostałości po ustroju kapitalistyczno-mieszczańskim, dopóki nie przeobrazi się w ustrój bezklasowy.

2) Przez „Lud” rozumiemy klasę robotniczą i chłopów (z wyjątkiem warstwy bogaczy wiejskich, ciężających do reakcyjnego drobnomieszczaństwa) oraz te warstwy inteligencji pracującej, które zdecydowanie stanęły po stronie Postępu i biorą udział w pracach i walkach o szczęśliwsze Jutro, o ostateczne zwycięstwo Socjalizmu.

3) Teatr uprawiający repertuar mieszczański, pielęgnujący mieszczański styl gry i inscenizacji, nawet jeśli upowszechnia swoje widowiska, udostępniając je (bilety ulgowe) robotnikom czy chłopom — nie może być uważany za teatr ludowy.

4) Teatr prawdziwie ludowy przedstawia środkami artystycznymi obraz życia Ludu, jego dzieje, jego położenie społeczne, jego misję historyczną, jego dążenia, jego walki, marzenia i zwycięstwa. Cel ten osiąga teatr tak zarówno na drodze realizmu, jak i romantyzmu. Zbyteczna dodawać, że realizm ów nie ma nic wspólnego z naturalizmem psychologizującym, stworzonym przez literaturę mieszczańską w drugiej połowie minionego stulecia, a romantyzm daleki

jest od idealizmu, cechującego ten ruch w dobie socjalizmu utopijnego. Mamy na myśli realizm i romantyzm, czerpiący życiodajne soki z dzieł socjalizmu rewolucyjnego i z dzisiejszej fazy jego rozwoju.

5) Teatr ludowy — to teatr walki, bowiem walka o realizację programu socjalistycznego trwa jeszcze i rozgrywa się w skali światowej.

6) Tym samym teatr ludowy to teatr polityczny — i teatr aktualny. Tym samym nie ma on charakteru nacjonalistycznego.

7) Nie wynika z tego wcale, by teatr ten odzignął się od literatury rodzimej lub literatury przeszłości i zrywał z tradycjami prastarej sztuki teatralnej. Podobnie jak gospodarz socjalistyczny korzysta ze zdobyczy technicznych kapitalizmu, teatr socjalistyczny przejmując z przeszłości, to co dlań wartość posiada. Każdy ruch socjalistyczny wyrasta z jakiejś gleby narodowej i zachowuje cechy swego pochodzenia, nie tracąc z oczu swego celu „międzynarodowego”. I tak w miarę potrzeb swoich, obok współczesnych dramatów socjalistycznych grać on będzie utwory klasyków rodzimych i klasyków całego świata, wszelkich epok, o ile w nich treść pożyteczną znajdzie, bądź w takiej formie, w jakiej utwory te zostały napisane, bądź w przeróbce, dostosowanej do chwili obecnej i do dzisiejszej widowni.

8) Teatr ludowy — to teatr monumentalny, nie kameralny. Teatr wielkich wydarzeń historycznych i współczesnych, wielkich form scenicznych, podobnych do tych, jakie wypracowała Hellada starożytna i Rzym, Chiny, Japonia i Persja, które spotykamy w średniowieczu i w epoce Shakespeare’a, o których marzyli twórcy „Dziadów”, „Kordiana”, „Nie-boskiej komedii” i „Nocy listopadowej”.

Nie stworzymy Socjalistycznego Teatru Ludowego w gmachach, naśladowujących renesansowe opery dworskie, ani na scenach „pudełkowych”.

Teatry stałe muszą odważyć się na system symultaniczny. Należy czempredziej podjąć prace, uwieńczone doskonałymi wynikami, rozpoczęte przez architekta Syrkusa.

Piękny i zupełnie realny projekt symultanicznego teatru objazdowego stworzył scenograf Andrzej Pronaszko.

Należy go zrealizować.

go w państwie cara, poczem nastanie idealna epoka sprawiedliwości i cierpliwości, zrealizowana całkowicie w liberalnej strukturze politycznej; Balmont, Bieliy i Blok witają rewolucję entuzjastycznymi wierszami.

Ostatni pisze poematy — „Chrystus zmartwychwstał” i „Dwunastu”. Trwogę osłabiać będzie poza tym pokora kajających się ludomanów przed Bożą Wolą Ludu — Chrystusowości. Wreszcie typowa dla fin de siècle'u tęsknota za „dreszczem”, któryby rozprószył na jakiś czas nudę „znużonych” hedonistów.

KATASTROFA I „SMIENA WIECH”

Po drugiej rewolucji liberalnej Kiereńskie-go przyjętej przez inteligencję z powszechnym entuzjazmem, nadchodzi rewolucja pa-
ździernikowa. Jedni — konserwatyści, kade-
ci, eserowcy przywdziewają „złote epolety”
lub pracują w konspiracyjnym Związku O-
brony Ojczyzny i Wolności i... przegrywają,
drudzy — mienszewicy i „wiechowcy” będą
się wahać, płacąc po frontach, opowiadać i
kolejno rozczarowywać. Część z nich dojrzeje
do rewolucji, większa część dojrzeje części-
owo. W r. 1921 zdobędą się na ostateczny wy-
silek — „smienę wiech” — lojalne opowiedzenie
się w imię obowiązku patriotycznego i spo-
łecznego przy zwycięskim reżimie. W dal-
szych latach budownictwa państwa socjali-
stycznego wielu z nich jednak odpadnie, pójdzie
na dalszą konspirację i sabotaż, podpadnie
pod sądy karzące za zdradę stanu i tylko
część z nich, między innymi i Tolstoj wy-
trwa, weźmie czynny i wydatny udział w
twórczej pracy Związku Radzieckiego. Zwią-
zek oprze się na inteligencji ukształconej w
latach dorewolucyjnej pracy podziemnej i na
tej nowej — na absolwentach popaździerni-
kowych kursów dokształcających i „wuzów”.

PRZYCZYNY

Gdzie szukać przyczyn tragedii tego pokole-
nia inteligencji? Pierwsza to przedłużanie
się na miejskim bruku izolacji społecznej,
którą determinował folwark i polityczna
struktura caratu. Druga — posłusze się okre-
śleniem Aleksieja Tolstoja — to „błogostan
bytu pańszczyźnianego” przedłużający się w
błogostan materialnie zabezpieczonego łatwe-
go życia na usługach burżuazji. Możliwość wy-
trwania w szlacheckim uprzedzeniu „do pa-
rania się uwłaczającym rzemiosłem” — han-
dlem, przemysłem, przeniesiona na niechęć
do burżuazji, determinuje słabość grupy, któ-
ra nie poszła po drodze deklasującego się zie-
miaństwa francuskiego czy niemieckiego
w dobre rozkwitłe kapitalizmu i nie
włączyła się ściśle w życie burżuazji.
Ślad osamotnienia zdecydowanie kontrrewol-
ucyjnej inteligencji w latach wojny domo-
wej. Burżuazja nie wspomogła ich „ani jed-
nym ukrytym karatem”, mimo, że za nią
przebieżali. Z drugiej strony przedłuża-
jący się błogostan i, skutek, pojmowanie ży-
cia jako rozrywki, spowodował połowiczność i
kwietystyczny idealizm ideologii postępowych
i przez to wyrzucenie inteligencji „postępo-
wej” poza margines rewolucji.

Postępowości nie determinowała walka klas,
lecz dążenie do osiągnięcia „pełni życiowej”,
jakiej nie mogła dać jej struktura państwa
politycznego. Chodziło o uelastycznienie tej
struktury, przy podobnej ideologii państwo-
wej — „bogoojczyźniany” imperializm poli-
tyczny.

„SPOWIEDŹ DZIECIĘCIA WIEKU”

Negatywna część trylogii Tolstoja — „Sio-
stry” i szereg rozdziałów „Roku 1918” znakom-
icie spełniły zadanie wyświetlenia tragedii.
Było to zadanie stosunkowo łatwiejsze. Autor
postawił pod światło epokę zakończoną. Miał



Leonid Leonow

za sobą inteligencją rutynę w obiektywnej,
bezlitosnej psychoanalizie, wreszcie wzory li-
terackie w licznych „spowiedziach dziecięcia
wieku” francuskiego i rosyjskiego romansu
lat 40—50-tych. W tych partiach trylogii Tol-
stoj przeprowadził starą i trafną selekcję
zjawisk, umiał pokazać najbardziej wymowne
i wiążące się ze sobą. Powieść „Siostry”
przedstawia życie inteligencji w ciągu ostat-
nich „alesięcy przed wybuchem wojny świa-
towej. Pokazał ją w ramach najistotniejszych
nastrojów, pomiędzy którymi przebiegało
rzeczywiście jej życie: strachu, bądź nadziei
mystycznych (uwidocznione w mistrzowski
sposób już w pierwszym rozdziale o charak-
terze ekspozycji topograficznej — obraz mia-
sta — widma. Takim go rzeczywiście wi-
działy oczy nadwrażliwego inteligenta. Iden-
tyczne spojrzenie utrwaliła antologia wierszy
o Petersburgu pod redakcją W. Iwanowa —
„Imanach „Bielyje nozi”) i hedonizmu. By
osiągnąć maksimum typizacji, unika portre-

towania postaci historycznych, a kładzie na
stole operacyjnym typową rodzinę i środowi-
sko typowego bogatego petersburskiego ad-
wokata. To pozwala mu pokazać „spory i za-
bawy” codziennego życia inteligencji. Gwoli
typowości opiera akcję o tradycyjny konflikt
miłosny — wzgląd na wybitny ciężar gatun-
kowy Erosa w tych latach. Utwór wskazuje
na powiązanie między brakiem konieczności
absorbującej pracy zarobkowej i społeczno-



Ilija Erenburg

politycznej a niezdrową intensywnością życia
rozrywkowego — zabicia czasu. Pokazuje, iż
tej funkcji podporządkowane było wszystko,
od samokształcenia — uczestnictwo w peter-
sburskich „wieczorach filozoficznych” przez
efekciarską „działalność polityczną”, po — z
natury rzeczy nie proporcjonalnie wybujały
i neurasteniczny erotyzm. Wyjaśnia społeczne
przyczyny eklektyzmu i połowiczności prze-
konan politycznych: świetnie scharakteryzo-
wany adwokat Smokownikow — jednocześnie
liberal i ludowiec, przy tym organizuje wie-
czór artystyczny na rzecz „biednych, ledwie
związków za granicą” działaczy bolszewickich.
Łatwy dobrobyt, przy jednoczesnej izolacji
społecznej — odgórnego i oddolnego jako przy-
czyny niezrozumienia czasów i zbliżającej
się tragedii pokazane konsekwentnie i na
wielu odcinkach ówczesnego życia (kapitałne
sceny, gdy znany ze swej „postępowości” lu-
dowiec dowiaduje się o wzrastającym pod-
nieceniu rewolucyjnym dołów od przyjaciela,

Stelan Stodolny

WSPÓŁZAWODNICTWO W PRACY

Sołtys naszej gromady po powrocie z
całotygodniowej sesji sołtysów w gminie,
zwrócił na siebie uwagę ogółu, bo jeszcze
tego samego dnia obszedł wszystkie zaka-
marki we wsi, pastwiska gminne i pola
leżące przy ważniejszych drogach. Przy-
wykło się we wsi do niespodzianek, ale
nie przywykło się do takiej gorliwości soł-
tysa, tym bardziej, że następnego dnia w
niedzielę, zwołał ogólne zebranie, na któ-
rym dowiedzieliśmy się, że on sam za te
chwasty przy płotach i osty w polach, na
pastwiskach „kukał” nie będzie i że odpo-
wiedzialność za to, poniosą właściciele
miejsc zachwaszczonych. Termin likwi-
dacji chwascisk upłynął miał za tydzień.
Był to rzeczywicie najwyższy czas, bo
lopiany, osty, pokrzywy, bielunie już
zakwitły, a za byle tydzień wiatr rozniósł-
by ich nasienie na wszystkie strony świa-
ta, dla tym większego utrapienia ludzi.

Nie skończyło się jednak na samym od-
chwasczeniu, bo wyszło na jaw, że ma-
my ułożyć plan wprowadzenia wielu in-
westycji i, że musi być ich więcej niż w
sąsiedniej gromadzie, bo jak wynikło w
końcu z sołtysowego przemówienia, z grom-
adą tą współzawodniczymy.

Tak postanowiono w gminie.

Ułożyliśmy obszerny i szczegółowy
plan, którego brzmienie nie jest pociesza-
jące, ponieważ wszystko to brzmi w try-
bie warunkowym.

I tak jeden z punktów brzmi: jeżeli
Wydział Powiatowy Drogowy da materiał,
to wykonamy 3 km szosy własnymi siła-
mi pod swoim kierownictwem technicz-
nym, bo mamy we wsi dwóch techników
z dyplomami przedwojennych szkół śred-
nich. Wiemy i szepczemy sobie po ci-
chu, że Wydział kamienia na szosę nie da,
bo ma co innego do roboty. Odpada więc
na pewno budowa szosy. Mimo to notu-
jemy w spisie szczyrych chęci, czyli w
planie współzawodnictwa, i planujemy da-
lej. Obsadzimy drzewami tę szosę... o ile
naturalnie dojdzie do jej wybudowania,
zalesimy 16 ha nieużytków, o ile będzie-
my mogli nabyć odpowiednią ilość sadzon-
ek.

Znowu jest nam wiadomo, że tutejsze
Nadleśnictwo posiadające 460 ha spale-
niska leśnego nie będzie mogło odstąpić
ani jednej sadzonki, a najwyżej da nam
brzozy, z tych które zachwaszczają kul-
tury leśne.

który zna „kogoś” co ma na prawdę bezpo-
średnie informacje i bezpośrednio potem
wstępuje do „Palmiry Północnej”, by pię
szampanem zdrowie przyszłej rewolucji. Za-
mykająca ideologicznie powieść „Siostry”
śmierć Smokownikowa — „meza opatrzo-
ściowego” rewolucji marcowej (kiedy usiłuje
powstrzymać dezercję wojsk repertuarem
najświetniejszych oficjalnie — państwowych i li-
beralnych hasel) odsłania już w tym tomie ka-
tastofalne dla klasy skutki pozostawania w
tyle poza rzeczywistością. Śmierć kuzminow-
skiego poety — egocentrysty i neurastenika,
Biessonowa, następująca może za wcześniej i
zbyt melodramatycznie pokazana obnaża
słabość psychiczną klasy w momencie, gdy
zbliża się era ludzi mocnych.

Pierwszy tom trylogii, jak powiedziałem
już, daje trafną i konsekwentną egzegezę ka-
tastrofy tak tragicznie niedawno przeżywaną
przez autora łącznie z całą klasą.

DROGA BEZ MĘKI

Pierwsza część tomu drugiego — „Rok 1918”
— przynosi analizę pozornie zagadkowego
aktu natychmiastowego opowiedzenia się nie-
dawnych republikanów — opozycjonistów za
„Kornilowem, za ojczyzną, za carem”.

Dalej jednak zatracą autor owo ostrze a je-
dnocześnie szerokie spojrzenie na klasę. W
dalsze partie „Roku 1918” i do ostatniego to-
mu „Chmurny poranek” wkracza żywioł e-
piki i niepodzielnie zapanowuje nad powie-
ścią społeczną — bogactwo doskonałych i nie-
zmiernie prawdziwych obrazów pokazujących
poszczególne fragmenty wojny domowej. Pro-
ces dojsła oglądamy na czterech zaledwie
postaciach wysuniętych ostro w partiach po-
wieści społecznej na plan pierwszy. Ukazuje
je autor kolejno na poszczególnych etapach
rewolucji posługując się w tym celu meto-
dą romansu przygód. Konieczny do adekwat-
nego pokazania procesu drugi plan, bądź za-
nika, bądź zacierza się i staje nieczytelny. Po-
kazanie samego mechanizmu zróżnicowanego
i skomplikowanego procesu, a właściwie szere-
gu równoległych procesów i ich autorska
ocena — budzi zastrzeżenia. To, co autor po-
kazuje jest niepełne a przez to nie przekony-
wujące. Nie pokazuje ani razu „nawracania
się okolicznościowego”, rozstrzyga wszędzie
moment moralistyczny; pierwszy etap — zra-
żenie się — deus ex machina — do „bezduszno-
ści” kapitalizmu — (nieprzekonywujące przy u-
derzającej różnicy warunków bytu inteligencji
— przed — i w czasie rewolucji, p. wyż. wy-
mowa powieści emigranckiej Awerezenki).
Drugi etap — dziwnie szybkie i jakoby do-
kładne poznanie nieznanych dotychczas

⁵⁾ Pierwsze słowa pieśni białogwardyjskiej
grającej w tych czasach rolę „marsylianki”.

warstw niższych i przekonanie się o ich u-
krytym morale — czyli zmodernizowana „lu-
domania”. Tego aspektu autor zdaje się nie
dostrzegać.

Okoliczności wojny, rozsądnie biorąc, nie
usposabiają do ludomanii w tej skali, w jak-
kiej to autor pokazuje: z rąk tych samych
warstw niższych częstokroć ginęły w miesia-
cach anarchii rodziny katechumenów ieniniz-



Aleksander Fadiejew

mu, bądź przynajmniej... „biblioteki” — mo-
ment, który jak wiadomo silnie zaważył na
postawie rewolucyjnej Bloka. Po tym „do-
kładnym” poznaniu arystokracji wielkiego
miasta uczestniczą już u Tolstoja w rewolucji
bez żadnej rozterki wewnętrznej i stają się
dojrzałymi obywatelami państwa komunisty-
cznego.

Jasną jest rzeczą, że moralistyczne widze-
nie świata mogło odegrać wydatną rolę przy
zmianie barw części tej grupy i że mogło nie
być dojsca intelektualnego. Zastrzeżenia je-
dnak budzi zrozumiały zresztą, gdy się u-
względni historię pokolenia, optymizm autora.
Tolstoj nie widzi, że takie właśnie przejście
nie gwarantuje stałości przekonań i wydatnej
pracy przy odbudowie obcego dla nich syste-
mu, że „happy end” „Pochmurnego poran-
ku” nie jest końcem męki. Rozcziniowie i Sa-
pożkowowie będą się jeszcze niejednokrotnie
przez pierwszy dziesięć lat błąkać po bez-
drożach konspiracji i emigracji wewnętrznej.

Tadeusz Chrościelewski

to zastrzegł mówiąc, że gmina współza-
wodnicząca ma w swoim składzie wieś
wzorową, a wobec niej gasną najsmielsze
zamierzenia naszego planu. Oni mają od
dawna twarde nawierzchnie na drogach,
budują olbrzymi budynek szkolny, po-
trzebny materiał własna cegielnia im da-
je. Subwencje i pożyczki, elektryfikacja
i radiofonizacja są im zapewnione a „ich”
poseł na sejm, „ich” wojewódzki prezes
Z. S. Chł. i „ich” starosta pilnuje ich in-
teresów w powiecie i województwie, w
Samopomoocy i komunalnej Kasie i wszę-
dzie gdzie zapadają decyzje o ich spra-
wach. By mieć pojęcie o tej wzorowej
wsi, trzeba ją zobaczyć i poznać jej oby-
wateli. Na okazję czeka się do niedzieli,
a w tym dniu będzie okazja niedzielna, bo
festyn ludowy zgromadzi wszystkich. Mó-
wią: „et unum exemplum docet” to też
i tu nie szukajmy ich wielu. A więc je-
żeli chłop po 50-tee zrzuca marynarkę
zawija rękawy jedwabnej koszuli i chowa
do kieszeni krawata, a bierze się do popi-
sywania dzwiganem ciężarów i innych
rozrywek, tzn., że nie powodują nim ani
przednówkowe troski, ani inne zgrozoty.
A w innych wsiach to chłop po 50-tee
znajdzie się na festynie ludowym wtedy,
gdy krowinę lub szkapę gdzieś w pobliżu
pasie. W tej wzorowce pięćdziesięciolatki
nawet na huśtawce leżą, tańczą i w wą-
skich przejściach pomiędzy żerdziami
szczypią wnuczki — wnuczki swych ró-
wieśników. Wieś jest ich dziełem, a jej
wzorowoci dziełem tzw. czynników „ofi-
cjalnych.”

Giętle jeszcze bawiłby smutek wójta
wątpiącego o wygranej we współzawod-
nictwie, gdyby nie ponura sprawa wy-
paczająca istotny sens tej „wędrowki”. Zna-
jomy mieszkawca wsi wzorowej wyliczył
mi na palcach wszystkie inwestycje wło-
żone w jego wieś, przy czym dwukrotnie
mu tych palców u rąk brakło, a na zapy-
tanie o środki finansowe powiedział:

— Chcą mieć wieś wzorową — niech
placą.

Ale co ma wspólnego ze współzawod-
nictwem pięćdziesięcioletni obywatel wzo-
rówki tak dziarsko zabawiający się na
festynie ludowym?

Nasz wójt miał jednak rację. Współza-
wodnictwa z sąsiednią gminą na pewno
nie wygramy. A jednak jest ktoś, kto chce
mieć wieś wzorową, i jest ktoś kto płaci

Martin Andersen-Nexö

P O W R Ó T*)



Andersen Nexö

Morten był nieobecny prawie dwa lata. Zjeździł Włochy i Hiszpanię, wstąpił przez Gibraltarię do Maroka. Większą część podróży odbył piechotą, z dala od utartych szlaków i wszędzie, gdziekolwiek przebywał, współżył z prostym ludem. Przy takim wścogostwie trudno było podtrzymywać regularny kontakt z ojczyzną; ograniczał się do pisania szkiców z podróży dla kilku prowincjonalnych pism, lecz skromne honoraria z trudem go dochodziły. Redakcje wysyłały nieregularnie, a do wyznaczonych miejsc przychodziły zwykle po jego wywiedowaniu w inne strony. Wysyłka w ślad za nim nie bardzo się udawała; poczta na południu nie funkcjonowała wzorowo.

Za to gościnność prostego ludu była bezgraniczna, szczególnie w Hiszpanii. Wystarczyło zastukać do którejś chaty i powiedzieć, że się jest głodnym i zmęczonym, lecz bez pieniędzy, natychmiast dzielono się chlebem i posiłkiem. Spotkanie się z taką gościnnością ze strony zupełnie obcych ludzi było dla Mortena rzeczą zupełnie nową i ani trochę nie zachęcało do powrotu do kraju, który szczylił się wprawdzie swoim humanitaryzmem, ale stosował zasadę: „Masz pieniądze — otrzymasz, nie masz — wynoś się!” Morten rozkoszował się tym życiem z dala od współczesnych uprzemysłowionych miast, żarłocznych na pieniądź, płynął z wiatrem i falą, jak się zdarzyło, chodził na urządzane w górach rewolucyjne zebrania parobków i drobnych dzierżawców i poznawał nowy typ ludzi. Ci nędzarze — pracownicy, którym właściciele majątków, zamieszkałi w Madrycie czy Paryżu, zabierali wszystko, co udało się wycisnąć z ziemi, byli ludźmi zupełnie innego gatunku niż wiejscy i miejscy robotnicy w Danii. Byli oni nastroszeni rewolucyjnie, nie wstrzymywali się przed jawnym buntem i prowadzić surowe życie cenili wysoko solidarność koleżeńską zarówno w szczęściu jak w nieszczęściu. Ich mocna wiara w przyszłość wolną od wyzysku i egoizmu była wzruszająca i dodawała otuchy i wiary, że swego gniewu za ciężki ucisk nie ukryją w sobie, lecz przekształcą w nienawiść przeciw ciemiężcom.

Morten ujrzał to, o czym marzył jako dziecko i młodzieniec: tu w ciężkich warunkach nie twardniał, lecz miękły serca; dorosli uważali niemal za świętokradztwo uderzenie dziecka; tu rzadko zdarzało się, żeby ojciec rodziny po ciężkim dniu pracy szedł do karczmy i w ten sposób bomżał nędzę i cierpienie żony i dzieci. Pełne pracy życie nie zagłuszało najlepszych i drogocennych cech w człowieku, a przeciwnie podkreślało je jeszcze jaskrawiej. Morten ugruntowywał coraz mocniej wiarę w urzeczywistnienie nowego ustroju społecznego. Z takim materiałem ludzkim można zbudować nowy świat.

Można było powiedzieć, że Morten w górskich wioskach przechodził z rąk do rąk i w ten sposób doznał raz z karawaną mułową do portu. W Maladze powrócił do trzeźwej rzeczywistości; nie miał pieniędzy, a w tym międzynarodowym, portowym mieście był niebezpieczny.

Noc spędził w pomarańczowym gaju na skraj miasta, a rano głodny i nieumyty poszedł do portu w nadziei, że jakoś to będzie. W porcie stał duński parowiec, więc Morten wszedł na pokład, aby zobaczyć rodaków. — Ale panu się udało — powiedział kapitan — mam dla pana całą masę poczty.

Większą część stanowią gazety ze szkicami z podróży Mortena, lecz było i kilka listów, a w jednym z nich czek na 100 koron. Przed wypłynięciem statku z Sewilli konsul wręczył kapitanowi całą pocztę. I oto poczta Mortena przejechała całe Morze Śródziemne, była w miejscach, dokąd sam nie doznał nawet w Grecji i Algierze. Statek szedł do Hamburga, a potem do Hull; od Hamburga do Kopenhagi jeden krok, więc kapitan chętnie zgodził się zawieźć Mortena.

— Tylko proszę nie buntować mi zatoki — wtem, że pan jest socjalista — powiedział! Na dworcu w Hamburgu, gdy miał już wziąć bilet do Kopenhagi, rozmyślił się na-

*) Z książki „Czerwony Morten” Martina Andersen-Nexö w przekładzie Marii Kelles-Krauzowej, która wkrótce ukaże się nakładem Sp. Wyd. „Książka”.

*) Rzecz dzieje się w r. 1914.

gle i wziął bilet do Berlina. Należało mu się tam kilkaset marek za artykuły — to przecież lepiej samemu po nie pojechać. Znał dobrze miasto z poprzednich podróży i lubił je za trzeźwy, spartański charakter, za świadomych, poważnych robotników, za atmosferę światowego miasta. Przy tym w Berlinie krzyżują się wszystkie ideologiczne prądy świata. Morten miał zamiar tylko zajrzeć do Berlina, żeby powiększyć swoje zapasy duchowej siły przed ostatecznym powrotem do ciasnych ram Danii.

Znalazł się w Berlinie nie mógł się z nim rozstać. W Niemczech czuć było w powietrzu specjalny niepokój, przecucie czegoś niezwykłego, w czym Morten za wszelką cenę musiał wziąć udział.

Z Berlina pojechał do Wiednia, gdzie podobno zbierały się najgroźniejsze chmury. Tu nerwy były naprężone do ostateczności. W Danii, sądząc z gazet, jedni upajali się Wyższą Szkołą Ludową, inni wesołymi knajpkami, nie rozumiejąc zagranicznych sporów i uważali je za rodzaj dyplomatycznej komedii. To Rosja z Austro-Węgrami, to Niemcy z Francją o coś się kłócili, grozili sobie wzajemnie, prowadzili koczującą walkę! Duńczykom wydawało się, że wielkie mocarstwa powinny od czasu do czasu nastroszyć pióra i stanąć w pozycji do walki, a potem nagle, jakby nigdy nic, dłużyć w ziemi.

W Wiedniu wszystko wyglądało dość poważnie, był prawie stan oblężenia i nastroszenie po prostu paniczne. Carski rząd przesunął swoje manewry aż do granic monarchii austro-węgierskiej i trzymał tam dużej niż rok wielkie masy wojska, co zmuszało biedne Austro-Węgry do mobilizacji, a było to dużym dla nich ciężarem i groziło koniecznością wypowiedzenia Rosji wojny, żeby zakończyć ten niemożliwy stan. Z Wiednia Morten chciał pojechać Dunajem do Budapesztu, lecz przyjaciele z wychodzącej w Wiedniu „Arbeiter Zeitung” stanowczo mu odradzali. W poszukiwaniu szpiegów co chwila przeprowadzano przeróżne kontrole, wszystkie mosty

obsadzone były przez wojsko. Jako cudzoziemcowi, Mortenowi nawet w Wiedniu groziły nieprzyjemności.

W Berlinie było trochę lepiej. Mieszkał w taniej studenckiej dzielnicy w pobliżu placu Savigny. W dzielnicy tej mieszkali setki studentów japońskich, wszędzie spotkać można było ich małe, jakby szczerze, zwinne figurki, podobne do siebie niby wyrób fabryczny. Pewnego pięknego dnia nagle znikli — odjechali do ojczyzny. Prasa doszukiwała się w tym zjawisku bardzo niepokojących znaków i ganiła władzę, że pozwoliła Japończykom wyjechać. Byli to synowie wybitnych Japończyków i przydałoby się w roli zakładników, gdyby na wypadek wojny Japonia stanęła po stronie nieprzyjaciela.

I tutaj powietrze naładowane było elektrycznością. Nikt nic nie wiedział, a tym bardziej fantazjowano; wszyscy byli podnieceni jak przed burzą. Liczni drobni ciułacze w panice realizowali swoje pieniężne oszczędności, akcje rzucano na rynek za pół ceny i zanoszono pieniądze do banków, a potem nagle szturmowano banki i chowano pieniądze w domu w półczochach lub noszono przy sobie. Nocne napady na samotnych przechodniów znacznie się zwiększyły; to co pozostawiały gwałtowne rekiny, odbierali włamywacze i grabieżcy. Gospodyni Mortena zwierzyła mu się, że nosi przy sobie cały swój majątek — osiemnaście tysięcy marek; boi się wychodzić z domu, by jej nie napadli i nie ograbili.

Pewnego razu Morten z doktorem Frankiem-Mannheimem²⁾ i Edwardem Bernsteinem siedzieli przy stałym stole wodzów socjaldemokracji u Josta na Poczdamskim placu. Bernstein napadł nagle na małe państwa, wepchnięte między wielkie mocarstwa; „One hamują postęp i żądają poważania dla siebie, a w rzeczywistości nie mają prawa do życia: Szwajcaria, Dania — a teraz nawet 100 tysięcy Islandczyków żądają, by się do nich od-

²⁾ Ludwik Frank, niemiecki socjaldemokrata, jeden z wodzów socjalizmu.

nosić jak do niepodległych narodów! Małe państewka! To jest zacofanie! Małe narody nie mają prawa do życia!”

W pierwszej chwili Morten stropił się, lecz bardzo go to wzburzyło. Czyżby, do diabła, socjaldemokraci zaczęli głosić wielkomocarstwową politykę?

— Cieszcicie się, wy Niemcy, że macie wspólny język z małą Szwajcarią — powiedział ostro — w innym wypadku nie byłoby ani jednej porządnej książki w języku niemieckim. Co do Norwegii, to jej duchowe życie potężnie wyprzedziło duchowe życie potężnych Niemiec; nawet małe narody Islandzki wnoszą daleko większy wkład w duchowe życie Europy niż wy z waszymi 65 milionami, chociaż Islandczyków jest zapewne mniej niż mieszkanców w pierwszym lepszym niemieckim prowincjonalnym mieście.

— Duchowe życie, proszę bardzo! — powiedział ironicznie Bernstein. — Kilka obrazów i książek, jaka taka rzeźba! Czyż tym można nakarmić naród? — Doktor Frank-Mannheim uśmiechał się tylko, nie biorąc udziału w sporze. Morten usiłował go wciągnąć do rozmowy, bo Frank był dużo zdolniejszy od Bernsteina i wielu widział w nim przyszłego wodza wielkiej niemieckiej partii robotniczej.

— Dlaczego wy, wodzowie niemieckich robotników, stajecie się imperialistami? — zapytał Morten.

— Nie podobnego — dość ostro odpowiedział Frank.

— Wiele rzeczy na to wskazuje! Więc pytam dlaczego?

— Bóg z wami, dobrze, przypuścimy, że stajemy się imperialistami! Przecież, do diabła, niemiecki robotnik produkuje w bardzo ciężkich warunkach! Naszym obowiązkiem jest zapewnić mu rynki zbytu dla produkcji.

— Macie ich dość i bez tego. Wszędzie, gdzie byłem: w Italii, Hiszpanii, Maroku, wszędzie na rynkach panuje produkcja niemieckiego przemysłu.

Doktor Frank zachmurzył się, widocznie niemiło mu było rozstrząsać te zagadnienia: „Naszą produkcję mogą znów usunąć. Dlatego musimy wzmocnić nasz eksport przy pomocy władzy politycznej. W razie wojny...”

Nie dokończył; znany pruski ziemianin-mecenas, którego Morten poznał w literackich berlińskich kołach, podszedł, aby przywitać się.

— Aha, naradza się pan z wybranymi synami Izraela? — powiedział lekceważąco, klepiąc Mortena po ramieniu.

Nie zdziwiło Mortena, że po tych słowach mały Bernstein zrobił się jeszcze mniejszy, lecz zdumiało go, że dr Frank najeżył się tylko i bez mruknięcia zniósł te drwiny — właśnie on, który szczylił się tym, że jest Żydem i miał opinię najbardziej wojowniczego członka Reichstagu!

Antysemityzm — według przekonania Mortena najgłupsza polityka — jawnie podnosił głowę. Morten nie mógł pojąć tego zjawiska, w Danii nigdy się z nim nie spotykał; natomiast tu — na każdym kroku. Pierwsze książki Mortena były już przetłumaczone na niemiecki i otrzymał raz list od poważnego ilustrowanego wydawcy, chcącego wydać jego dzieła. Wydawca spędzał urlop na Rugii; Morten, przebywający wówczas na Bornholmie, wybrał się do niego na małym duńskim statku idącym do Sassnitz po niemieckich turystów. Wydawca spotkał Mortena w porcie, zaprosił do siebie do hotelu, wychwalał jego dzieła, które na skutek proletariackiej treści nie cieszyły się w Danii sympatią krytyki!

Nagle zapytał: „Czy pan jest Żydem?” Morten drgnął. Od niedawna, mimo jego jasnej czupryny, wiele razy zadawano mu to pytanie.

— O ile wiem, to nie — odpowiedział zdziwiony. — Lecz czy my wszyscy nie jesteśmy Żydami przed Bogiem?

Wydawca uśmiechnął się smutnie, przynajmniej tak się wydawało Mortenowi.

— Czy dużo macie Żydów w Danii? — Żydów? Żydów? — Morten nigdy dotąd nie zadawał sobie tego pytania i w ogóle nie rozumiał go. — Zdać mi się, że ich u nas w ogóle nie ma — odpowiedział bez zastanowienia.

Wydawca roześmiał się:

— Prawdopodobnie chce pan powiedzieć, że u was nie ma tego zagadnienia! Żydzi są u was na pewno — oni są wszędzie. Ja sam jestem Żydem, zapewne pan się domyślił?

— Dlaczego mi pan o tym mówi? — spytał zdziwiony Morten. — Na pewno nie przyszłoby panu do głowy oznajmić mi, czy pan jest Eskimosem czy Grekiem.

— To zupełnie inna sprawa — odrzekł z dumą wydawca. — My, Żydzi, jesteśmy zazwyczaj ludzkością!

Tak wyobraża sobie, zapewne, każdy naród — pomyślał Morten, lecz zmilczał.

Gdy zasiadł przy stole, Morten zauważył tabliczkę z napisem „Anwesenheit der Juden am Hauptisch unerwünscht”). Ze zdumieniem wskazał na nią.

— Przekreślił panu prosto — rzekł wydawca i obrócił tabliczkę. — Właściciel nie jest na tyle bogaty, by się obejść bez naszych pieniędzy.

— To po cóż tabliczka?

— To kompromis między gospodarzem a tutejszymi oficerami. Tabliczka musi być, lecz zachowywanie przepisów nie jest obowiązujące.

W taki oto sposób zapoznał się Morten z kwestią żydowską.

tłum. Maria Kelles-Krauzowa

Paul Eluard

WOLNOŚCI!



Na zeszytach moich szkolnych
Na pulpicie i na drzewach
Na piasku suchym na śniegu
Piszę Twe imię

Na stronicach przeczytanych
Na wszystkich stronicach czystych
Kamień papier krew czy popiół
Piszę Twe imię

Na obrazkach całych w złocie
Na rycerzy lśniących zbroi
Na koronie królów chrobrych
Piszę Twe imię

Na pustyni i na puszczy
Na jałowcach i na gniazdach
Na lat mych dzieciennych echu
Piszę Twe imię

Na cudzie nocy najdziwniejszych
Na dni lekkich białym chlebie
Na porach roku zaręczonych
Piszę Twe imię

Na mych lazurowych szmatkach
Na stawie podgniłym słońcu
Na jeziorze księżycu żywym
Piszę Twe imię

Na polach na widnokręgu
Na przestronnych skrzydłach ptaków
Na wiatraku zwiewnych cieni
Piszę Twe imię

Na jutrenki każdym kłębie
Na okrętach oceanie
Aż na wierchu obłąkanym
Piszę Twe imię

Na obłoków białej pianie
Na orkanów siódmych potach
Na dżdżu gęstym deszczu cikliwym
Piszę Twe imię

Na rozniegotanych kształtach
Na kolorów sygnaturce
Na fizycznej nagiej prawdzie
Piszę Twe imię

Na zbudzonych ścieżkach górskich
Na wszcz rozpostartych szosach
Na placach ludnych przepelnionych
Piszę Twe imię

Na lampie która się zapala
Na lampie która właśnie gaśnie
Na moich domach zgromadzonych
Piszę Twe imię

Na owocu rozdwojonym
Lustra mego i pokoju
Na mym łożu muszli pustej
Piszę Twe imię

Na psie moim łakomczuchu
Na jego sterczących uszach
Na niezgrabnej jego łapie
Piszę Twe imię

Na odskoczni drzwi wejściowych
Na przedmiotach oswojonych
Na błogiego ognia fali
Piszę Twe imię

Na każdym zjednanym cielem
Na czole przyjaciół bliskich
Na podanej w zgodzie dłoni
Piszę Twe imię

Na każdym zjednanym cielem
Na czole przyjaciół bliskich
Na podanej w zgodzie dłoni
Piszę Twe imię

Na szybie pełnej niespodzianek
Na uważnych młodych wargach
O wysoko nad milczeniem
Piszę Twe imię

Na zburzonych schronach własnych
Na latarniach morskich w gruzach
I na ścianach mojej nudy
Piszę Twe imię

Na bezładnej nieobecności
Na osamotnieniu nagim
Na spadzistych stopniach śmierci
Piszę Twe imię

Na zdrowiu co powróciło
Na ryzyku które szeszeło
Na nadziei bez wspomnienia
Piszę Twe imię

I jednego władzą słowa
Rozpoczynam życie nowe
Jam się rozdził by Cię znać
By Cię nazwać

o Wolności!

(z tomu „Poésie et Verité 1942”
przełożył Allan Kosko)

²⁾ „Obecność Żydów przy głównym stole niepożądana”.

Witold Warkalno

Ubezpieczenia społeczne

Na półkach księgarskich pojawiła się książka pod tym tytułem, wydana przez Zakład Ubezpieczeń Społecznych, która nie tylko wzbogaca naszą ubogą literaturę ubezpieczeniową nową, cenną pozycją, ale jednocześnie wytycza drogi rozwoju ubezpieczeń w ramach ustrojowych republiki ludowej*).

Po wprowadzeniu czytelnika w istotę i w problematykę ubezpieczeń na tle ich dziejów (s. 1—18) autor ukazuje kolejno w ośmiu rozdziałach obecny stan ubezpieczeń społecznych w Polsce, w Czechosłowacji, w Szwecji, w Anglii, we Francji, w m. Berlinie, w Stanach Zjednoczonych A. P. i w Związku Radzieckim, poddając wnikliwej analizie system świadczeń, podstawy finansowe, zakres rzeczowy i osobowy oraz organizację ubezpieczeń. Autor nie ogranicza się do rozmownego opisu instytucji ubezpieczeń społecznych, ale odsłania niejako kulisy ich rozwoju, ujawnia ukryte sprzeczności, interesy klasy panującej, koncepcje polityczno-społeczne, które zdecydowały o takim, a nie innym ukształtowaniu się ubezpieczeń w każdym poszczególnym kraju. W ostatnim rozdziale (s. 82—96) mówi autor o „aktualnych zagadnieniach ubezpieczeń społecznych w demokratycznej Polsce ludowej”, rozpatrując je na szerokim tle ogólnych zagadnień społeczno-gospodarczych i z uwzględnieniem wyników badania problemu ubezpieczenia w siedmiu wymienionych krajach.

Szczególne wartości pracy polega na zebraniu olbrzymiego materiału sprawozdawczo-informacyjnego, nieznanego a częściowo nawet niedostępnego naszym ubezpieczeniowcom i na podaniu go w przystępnej, popularyzatorskiej formie. Pracą swą wypełnił on w ten sposób lukę, powstałą wskutek przerwania współpracy i kontaktów polskiej myśli społecznej z nauką zagraniczną w okresie po roku 1929. Autor podchodzi do zagadnień ubezpieczeniowych niejako „od wewnątrz”, dostrzega i przedstawia zasadniczą sprzeczność pomiędzy koncepcją ubezpieczeń społecznych w systemie kapitalistycznym i w uspołecznionej gospodarce planowej, wynikającą z odmienności celów, którym mają służyć.

W rozumieniu Bismarcka, twórcy pierwszego nowoczesnego systemu ubezpieczeniowego, „ubezpieczenia społeczne miały być hamuletem w historycznej walce proletariatu” (s. 71). Zajętniając klasie robotniczej świadczenia w razie choroby, wypadku przy pracy i inwalidztwa miały one zatamować postęp ideologii socjalistycznej i zjednywać robotników — „wprzegad ich w rywan zaborego kapitalizmu”. Rachuby Bismarcka zawiodły, polityka ubezpieczeniowa nie potrafiła wnieść skutecznej zapory dla ruchu robotniczego, „powstrzymać go ani odwrócić” (s. 13). Tym nie mniej, nawiązując do jego koncepcji, państwa kapitalistyczne starają się w drodze „kalkulowanej handlowo-politycznej filantropii” uczynić z ubezpieczeń „instrument bezpieczeństwa społecznego” (Social Security, Sécurité Sociale), mający „utrwalic ich strukturę gospodarczą i socjalną, a co za tym idzie, i ich strukturę polityczną” (s. 17). W krajach postępu społecznego ubezpieczenia społeczne, bez celów ubocznych, służą ochronie swiata pracy najemnej przed wydzierpaniami losowymi i zapewnieniu stałości i sprawności czynnika pracy w gospodarce planowej. Jak określa Giebartowski (s. 90) ubezpieczenia mają być: „organem państwowej ochrony wytwórców — najmitów od materialnych skutków wypadków losowych ich życia, a zarazem środkiem wzmoczenia w planowej gospodarce — sprawności siły tych wytwórców w procesie materialnej produkcji społeczeństwa”.

Całość składek ubezpieczeniowych jest w krajach ludowo-demokratycznych ponoszona przez pracodawcę a koszty ubezpieczeń stanowią niejako zbiorowo „społecznie zużytkowaną część funduszu państwa” (s. 93). Koszty ubezpieczeń społecznych wynoszą w Polsce 25% funduszu państwa i stanowią 26,6% budżetu państwowego. Polska, będąc krajem niezamożnym i dotkliwie zniszczonym przez wojnę, nie może za przykładem Czechosłowacji objąć ubezpieczeniem społecznym także samodzielnie zarobkujących. Ci ostatni powinni na własny koszt zapewnić sobie ochronę ubezpieczeniową w drodze prywatno-prawnego ubezpieczenia życiowego.

Fakt, że pionierska praca dr Giebartowskiego została wydana w okresie prac przygotowawczych do reformy ubezpieczeń społecznych zwiększa jej znaczenie i aktualność.

*) Dr Edmund Giebartowski. Ubezpieczenia społeczne w dobie przemian, Warszawa, 1948, s. 96 + 4 nłb.

OŚWIADCZENIE REDAKCJI w sprawie opisu „introwizora”

W numerze 34—35 tyg. społ.-lit. „Wies” zamieściliśmy fragment z opisu „introwizora”, prof. Hugo Steinhausa.

Opis aparatu otrzymał niżej podpisany od prof. Steinhausa do osobistego wglądu. Redakcja przedstawiając delegację polską na Kongres posłużyła się tym materiałem, drukując fragment opisu bez porozumienia się z Autorem. Za co na tym miejscu gorąco prof. Steinhausu przepraszamy.

Za Redakcję
Leonard Sobierajski

Kazimierz Podlasiak

WYDAWNICTWA SZKOLNE

Przebudowa szkolnictwa polskiego z etapu przekształcania przedwojennej szkoły powszechnej na szkołę podstawową i rozbudowę szkolnictwa zawodowego — wchodzi w nowy etap pracy. Staje przed nią organizacyjna i programowa przebudowa szkoły średniej na drodze do pełnej jednolitości ustroju szkolnego.

Jednym z podstawowych zagadnień szybkiej realizacji planu szkolnego było zaopatrzenie szkół w nowe podręczniki, odpowiadające zmianom organizacyjnym, programowym szkoły i jej nowej ideologii wychowawczej.

Dzisiaj, po trzech latach, stwierdzić możemy, że zagadnienie braku podręcznika, które opóźniało szybkie tempo rozwoju nowej szkoły, już nie istnieje. Książki dla szkół są.

Na specjalną uwagę zasługuje ożywiona działalność Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych — które w 90 proc. zaspakajają szkolny rynek księgarski. Ścisła współpraca PZWS-u od początku jego istnienia (1945 r.) z Ministerstwem Oświaty sprawia, że wszystkie podręczniki tego wydawnictwa zostają aprobowane przez Ministerstwo do użytku szkolnego.

Dorobek wydawniczy PZWS-u do dnia dzisiejszego wyraża się cyfrą 39.674.106 egzemplarzy książek szkolnych. Elementarza na początkowe klasy szkoły podstawowej rozeszły się już w liczbie 2.000.000 egz., czytanki na klasy niższe w liczbie ponad 1.000.000.

Wśród pozostałych kilkunastu wydawnictw dostarczających szkole podręczników wymienić należy ożywiającą działalność „Naszej Księgarni” i „Książnicy Atlas”, które zaopatrują w podręczniki również uczelnie wyższe.

PZWS w swym planie wydawniczym, po zaspokojeniu potrzeb szkoły podstawowej, największą uwagę zwraca na szkolnictwo zawodowe, któremu do chwili dzisiejszej dostarczyło już przeszło 50 pozycji podręczników, w tym najwięcej — specjalnie dostosowanych czytane polskich, następnie podręczników określonych rodzajem specjalizacji (mechanika, fizyka, chemia, elektryka). Dokonano również usprawnienia w rozprawdaniu książek przez: Księgarnię Państwową, Spółdzielnię Wydawniczą, księgarnie prywatne i bezpośrednio do szkół za pośrednictwem Inspektoratu.

Książki docierają w wystarczającej ilości egzemplarzy i na czas.

Do niezmiernie ważnych osiągnięć PZWS-u, prócz imponujących cyfr nakładu należy dodać, że książki szkolne są tanie. Dla przykładu przejrzymy ceny kompletu podręczników na poszczególne klasy szkolne.

Komplet książek na klasę I-szą szkoły podstawowej kosztuje 145 zł, na klasę III-cią (5 pozycji) — 350 zł, na V-tą (7 pozycji) — 465 zł, na klasę VIII-mą (9 pozycji) — 1.210 zł. Jak widzimy ceny o wiele niższe niż wynieść może przeciętna kalkulacja książki.

Drugim równie ważnym działem wydawniczym PZWS-u jest wydawnictwo czasopism szkolnych i pedagogicznych.

Niezmiernie cenne i ważne dla nauczycielstwa są czasopisma przedmiotowe: Polonistyka, Wiadomości Historyczne, Biologia w szkole, Fizyka i Chemia, Polska i Świat Współczesny, oraz dwutygodnik „Z Polski i ze Świata”. Każde czasopismo przedmiotowe jest pomocą w nauczaniu danego przedmiotu, przez pogłębienie wiadomości fachowych, szereg wskazówek metodycznych i wychowawczych.

Każda szkoła zaopatrywana jest bezpłatnie we wszystkie wymienione wyżej czasopisma. Niedługo ukażą się dalsze w tej serii, poświęcone matematyce, językowi rosyjskiemu i francuskiemu.

PZWS wydaje również szereg innych czasopism z zakresu dydaktyki i pedagogiki szkolnej: „Nowa szkoła”, „Dzieci i wychowanie” — pod redakcją Ministerstwa Oświaty.

Równie cenną pozycją PZWS-u są wydawnictwa Biblioteki Popularno-Naukowej (dotychczas ponad 120 pozycji) zwłaszcza, że cena jednego tomu tego działu nie przekracza zwykle 100 zł. Znajdziemy tam szereg popularnych opracowań zagadnień interesujących młodzież i poszatkowego czytelnika z dziedziny przyrody, fizyki, astronomii, historii, geografii, a nawet organizacji pracy świetlicowo-teatralnej. Najbogatszym działem tej serii jest Biblioteczka Ziemi Odkrytych, która informuje i uczy o historii, przeszłości kulturalnej, geograficznej i gospodarczym położeniu Ziemi Zachodnich.

W dzisiejszym wyciągu pracy, jak widać z tego krótkiego przeglądu, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych zajmują czołowe miejsce w spełnianiu planu wydawniczego.

W Y T R W A L I

Już od trzech lat, korzystając z krótkich, kanikularnych wakacji redakcyjnych, jeżdżę na wypoczynek, do wsi rodzinnej, mego przyjaciela. Trochę wypożyczam a trochę podziwiam wytrzymałość mego kolegi i współmieszkańców jego wsi, w sprawie, jak na mój — klepski być może gust pasjonującej.

Wieś T. leży około 30 km. od Łodzi, w pobliżu toru kolejowego Łódź — W-wa, w sąsiedztwie szosy, łączącej niedalekie miasteczko powiatowe ze stacją węzłową. Miejscowość ładnie położona nad rzeczką, miała kiedyś swoich miłośników, czego świadectwem jest kilka willi łódzkich lekarzy, adwokatów i fabrykantów. Dziś mogła by nadal odgrywać rolę miejscowości wypoczynkowej, własność pomieściłaby bowiem przejeżdżający Złoty, gdyby nie przedziwna niechęć mieszkańców do wybudowania odcinka szosy, która połączyłaby wieś ze światem. Ale nie w tym rzecz. W pobliżu także przechodzi lokalnie odgałęzienie linii wysokiego napięcia. Otóż mój kolega uparł się, że rodzinną wieś zelektryfikuje. Trwa to już trzy lata i stąd źródło mojego podziwu dla jego wytrzymałości.

Dwa tygodnie temu byłem na ostatnim gromadzkim zebraniu, zwołanym z inicjatywy mego przyjaciela. Ciekaw byłem, jak też daleko sprawa posunęła się naprzód. W roku 1946, połączenie wsi z linią wysokiego napięcia, przy sprzyjających wówczas okolicznościach, miało kosztować 45.000.— zł. Gromada uznała, że to zbyt wiele i postanowiła czekać. W roku ubiegłym kosztorys robót (niewielkich jak łatwo sądzić można po wysokości tej kwoty) wzrósł do 80.000.— zł. To podwojenie kosztów zniechęciło chłopów. No! bo jakie? Za to samo każą im płacić dwa razy tyle.

Propaganda przecie kolegi, najwięcej, zaś przykład wsi sąsiednich, robiły swoje. Zwłaszcza podobały się chłopom motorki. Tóż to, dopiero mając taki motorek, można roboty odwalić. I kobiety suszyłyby głowę o radio. Zawsze jedno przy drugim łatwiej. Stąd ostatnie zebranie. Ale teraz przyłączenie do linii kosztuje już 400.000.— zł. Chłopi nie przegrali się tym. Z zyczliwą uwagą wysłuchała gromada oświadczenia dwu przedstawicieli Związków Zawodowych, którzy zaofiarowali łącznie 100.000.— zł. (mają tylko dwa domy wypoczynkowe), oraz przedstawicieli „prywatnej inicjatywy” (lekarz, adwokat i jacyś urzędnicy) ofiarujących taką samą kwotę (wszystko to zaś dzięki zabiegom mego przyjaciela).

Z zapalem w oczach wysłuchano także referatu o racjonalnym wyszukaniu energii elektrycznej w gospodarstwie. Wypowiadano się nawet bardzo rzeczowo w tej sprawie, ale decyzję odłożyła gromada do zebrania, wyznaczonoego tydzień temu. Bądź jak bądź rzecz przybrała na tempie.

Wczoraj pytam przyjaciela, co słycać z elektryfikacją? Na zebraniu w poprzednią niedzielę nikt nie przyszedł. Dlaczego? Bo oto ktoś z gromady wpadł na genialną myśl, że choć gromada wybuduje linię to i tak nikt nie będzie mógł korzystać z elektryczności, bo to przecie, wymaga dodatkowych instalacji. A kto będzie za to płacił? Juści! znówu chłop!

Tak więc, będę miał sposobność w roku przyszłym również śledzić pasjonującą sprawę — przeprowadzenia kilkuset metrów linii elektrycznej.

Anatol Tytułko

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA

Ceny ogłoszeń: 1/1 kolumna 60.000.— zł; 1/2 kolumny 30.000.— zł;

1/4 kolumny 15.000.— zł; 1/8 kolumny 8.000.— zł;

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 60.— zł, kwartalnie 180.— zł, półrocznie 360.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto

PKO ŁÓDŹ VII—1080.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, Żwirki 2.

D—028589

Krzysztof Ślawiński

NAUKA RADZIECKA

Książka prof. Dembowskiego jest nader ciekawym dokumentem życia naukowego i uniwersyteckiego Związku Radzieckiego. Jest obrazem zarówno tradycji, sięgających korzeniami czasów carskich, jak i niebywałych przemian dokonanych w nauce i jej organizacji przez rewolucję socjalistyczną. Świadczy poza tym, jak bardzo organizacja i funkcja społeczna nauki zależą od ustroju.

„Stanowisko uczonego, — pisze autor — jest w Związku Radzieckim szczególnie zaszczytne. I rząd i społeczeństwo rozumieją jasno, że nauka jest wielką potęgą, z którą nikomu nie wolno się nie liczyć, że od stanu nauki zależy dziś byt państwa, i że państwo jest bezpośrednio zainteresowane w popieraniu nauki wszelkimi środkami. Ale też uczone poczuwa się tu do obowiązku utrzymywania ścisłego kontaktu ze społeczeństwem, najwybitniejsi badacze znajdują czas na pisanie artykułów popularnych i wygłaszanie odczytów publicznych, nie obawiają się „wulgaryzacji” nauki lub „obniżania jej poziomu”. Uważa się tu, że nadmierna indywidualizacja badań jest raczej szkodliwa dla nauki, niż pożyteczna, gdyż znaczna większość pracowników naukowych składa się w znacznej mierze z wykonawców i odtwórców, dla których wybór opracowanych zagadnień jest w znacznej mierze sprawą przypadku” (str. 9).

Dylemat: — nauka i życie praktyczne, polityczność czy apolityczność nauki i uczonych — został przez historię rozwiązany w sposób jednoznaczny. Nauka jest — z wolać czy wbrew woli uczonych — i to wszędzie — związana z zagadnieniami życia społecznego, gospodarczego i politycznego. Ci, którzy — dziś jeszcze — skłonni są bronić apolityczności nauki, nie zdają sobie zapewne sprawy z tego prostego faktu, że nawet apolityczność jest polityczna (szczególnie w okresie ostro napiętych antagonizmów — jak dziś) — że w pewnych okresach historycznych nawet gesty obyczajowe, abstrakcyjne formuły, zdania, pozornie oderwane od życia praktycznego, nabierają koloru politycznego. Dlatego, że żadna dziedzina życia społecznego nie może się wydzielić z kontekstu spraw społecznych — a więc i politycznych.

Proste stwierdzenie faktu, że przy dzisiejszym rozwoju techniki i metod badań naukowych, szczególnie w zakresie nauk przyrodniczych a częściowo również humanistycznych, niemożliwy jest postęp i rozwój nauki bez znacznych środków finansowych i zasobów materialnych — wykazuje wyraźnie, że zależność nauki od dyspozycyjnych środków finansowych i materialnych, jest dla tej ostatniej czymś niezbędnym.

Problem nie przedstawia się w postaci antytezy: polityczny — apolityczny, ale raczej: jak polityczny, czego broniący, pod czyją opieką się znajduje: klik imperialistycznych, jak w Ameryce — czy państwa pokojowego jak w ZSRR.

Być może trudno jest uczyonemu intelektualistom, zamkniętym w swych pracowniach i gabinetach, dostosować się do nowych metod pracy badawczej: zbiorowego współdziałania i planowania. Być może razi to ich poczucie i umiłowanie prawdy — prawdy metafizycznej, zawieszanej gdzieś wysoko ponad życiem i człowiekiem. Zapytajmy jednak, czy można dokonać wielkich postępów w nauce, w izolacji od życia społecznego, pomijając jego problematykę, trudności i zadania? Czy można stawiać i rozwiązywać zagadnienia unikając „sytuacji problemowych?” — jak mówi prof. Rubinsztajn. Czy prawda oderwana od życia i praktyki nie jest tylko złudną i szkodliwą iluzją?

Niewątpliwą i wielką zasługą nauki radzieckiej jest jasne i jednoznaczne rozwiązanie problemu praktycznych zadań nauki i oddanie jej w służbę społeczeństwa i pokoju.

„Bardzo istotnym momentem (nauki radzieckiej — przypisek mój), pisze prof. Dembowski — jest masowość w nauce. I ta sprawa jest słabo rozumiana na Zachodzie, gdzie twierdzi się często, że oddanie nauki na usługi mas ludzkich z konieczności doprowadzić może do obniżenia jej poziomu. Jest to twierdzenie dość powierzchowne, nie sięgające istoty sprawy” (str. 11).

Oddanie nauki w służbę życia społecznego i narodu „masowość” czyli jak najszersze rozpowszechnienie nauki w masach narodu jest jednym z tych fundamentalnych czynników, które umożliwiły Związkowi Radzieckiemu, nieznanym w historii, rewolucyjny rozwój gospodarczy i społeczny.

Masowe rozpowszechnienie nauki i kultury zapewnia poza tym instytutom naukowym dostateczną ilość kadr naukowych. Jest to zadanie o tyle ważne, że niemożliwy jest postęp nauki — szczególnie w dzisiejszym okresie — bez odpowiedniej bazy pomocniczych sił naukowych i pracowników kultury.

Wielką część książki zajmują opis prac naukowych poszczególnych uniwersytetów, instytutów naukowych, bibliotek, rezerwatów przyrodniczych itd. Daje obraz wielkich osiągnięć nauki radzieckiej. Jest, jednym słowem, dowodem wielkich, pozytywnych wpływów ustroju socjalistycznego na rozwój nauki.

*) Jan Dembowski — Nauka radziecka, „Książka”, Łódź, 1948.